

BĘDZIE INACZEJ
PiS wygrał,
ale nie zwyciężył

POLITYKA U PŁOTA
Nasza demokracja
nie ginie, ona dojrzewa

SAMOTNOŚĆ KURDÓW
Na czym polega
nowy etap wojny w Syrii

PEŁNE ZANURZENIE
O czystej radości
pływania w jeziorze

Kraków 20 października 2019 nr 42 (3667) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Pani Literatura

OLGA TOKARCZUK

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

DODATEK
MAGAZYN
CONRAD





*Polecamy niezawodne
telewizory polskiej firmy.
Kibicuj naszym!*



KS. ADAM

Boniecki: Przeciw naturze

CZTERY DNI PRZED WYBORAMI PONAD 8 PRO-cent uprawnionych nie wiedziało, na kogo głosować. I to wtedy, przez hałas przedwyborczej reklamy, przebił się do nich głos Kościoła. W przedwyborczą niedzielę otrzymaliśmy wskazówki, którymi powinniśmy się byli kierować przy urnach. Niestety, skorzystanie z tej pomocy mogło nieco skomplikować sprawę.

Kandydat, na którego głosuje ten, kto się chce „przyczynić do integralnego i solidarnego rozwoju Polski”, musi być człowiekiem odznaczającym się: a) moralną prawością b) kompetencjami w dziedzinie życia politycznego i obywatelskiego i c) powinien być dobrym ojcem (matką), umiejącym budować rodzinę. Jednym słowem, należało głosować na kandydata lub kandydatkę, których moralną prawość potwierdzały dotychczasowa działalność publiczna, świadectwo życia w rodzinie oraz małej ojczyźnie. A lista przymiotów była dłuższa: d) wyrazista tożsamość e) szacunek... itd.

Z drugiej strony były wskazówki negatywne: katolicy nie mogą wspierać programów, które promują aborcję, redefiniują instytucję małżeństwa, ograniczają prawa rodziców w zakresie odpowiedzialności za wychowanie ich dzieci, propagują demoralizację dzieci i młodzieży. Nie mogą głosować na kogoś, kto wyraża poglądy budzące zastrzeżenia moralne.

Ale jak tu sprawdzić, który z kandydatów posiada wszystkie te cechy? Co robić, jeśli np. ma tylko cechy b i d, ale zaniebduje własną rodzinę: brak mu c? Albo skąd możemy wiedzieć, że ktoś, posiadając nawet większość wymienionych zalet, po wyborach będzie traktował władzę jako służbę (j)? Władza ludzi zmienia. Jakże często przedwyborcze autoprezentacje i deklaracje po wyborach się nie sprawdzały.

Może to lakoniczność wskazówek sprawiła, że katolickie „vademecum wyborcy 2019” pominęło kilka kryteriów, któ-



rych u katolików można by się spodziewać: np. stosunek do osób niepełnosprawnych, inaczej myślących, do imigrantów, ekologii itp.

Kryteria, na kogo nie głosować, też mogły budzić rozterki. Jak np. wyborca katolik miał traktować kandydata, który opowiada się za utrzymaniem obecnych regulacji w sprawie aborcji, przez jednych uważanych za zgony kompromis i kapitulację Kościoła, przez drugich za rygoryzm narzucony państwu przez fanatyczne „koła klerykalne”?

To, że biskupi bronią „nienegocjowalnych” – jak nazwał je Benedykt XVI – zasad moralnych, nie dziwi ani nie oburza. Jednocześnie należy pamiętać, że w ciągu historii „chrześcijaństwo, sprzeciwiając się własnej naturze, stało się nie-estety tradycją i religią państwową” (Benedykt XVI). A „norma o charakterze religijnym nie może stać się prawem państwowym” (Jan Paweł II). Dlatego w walce o respektowanie wartości, w których Kościół widzi wartości ludzkie, nie wyłącznie religijne, musi sięgać nie po argumentację religijną, ale rozumową. Czy trzeba przypominać, ile razy walka polityczna prowadziła do instrumentalizowania religii i Kościoła? Komfort, który Kościół-instytucja dzięki temu uzyskiwał, zawsze okazywał się „sprzeniewierzeniem się własnej naturze”.

Jak się mają wyniki wyborów do przedwyborczych zaleceń Episkopatu? Wielu wierzących woli państwo, które będzie bronić „nienegocjowalnych” zasad moralnych, od państwa głoszącego pluralizm kultur, tolerancję, prawa człowieka. Chcą, by naruszenie katolickich zasad było karane przez państwo. Tylko że wtedy Kościół będzie obroną twierdzą, a nie szpitalem polowym. Mieszkańców twierdzy łączy zewnętrzne zagrożenie i strach. Kontakt ze szpitalem polowym uwalnia od wykluczenia, leczy rany. Obyśmy się nie stali katolikami, którzy tylko w twierdzy są kontenci. ©P



„Tygodnik Powszechny” i Festiwal Conrada

zapraszają na spotkanie

RZECZYWISTOŚĆ UDOKUMENTOWANA

z udziałem ks. Adama Bonieckiego i twórców filmu o nim:
Aleksandry Potoczek, reżyserki, i Adama Palenty, autora zdjęć

Prowadzenie: Anita Piotrowska

Kraków, kino Pod Baranami
środa 23 października, godz. 17.00

TYGODNIK
POWSZECHNY

TEMAT TYGODNIKA

12–21 LITERACKI NOBEL DLA OLGİ TOKARCZUK

Pani Literatura

RYSZARD KOZIOŁEK

Tak, Olga Tokarczuk jest pisarką dobra, ale w tym rozumieniu, w jakim ludzkie opowieści są lekarstwem na metafizyczny horror istnienia.

Do grona szczęśliwych

MONIKA OCHĘDOWSKA

Ten Nobel to wydarzenie symboliczne dla pokolenia dzisiejszych trzydziesto- i czterdziestolatków.

Świat z odwrotnej strony

OLGA TOKARCZUK, 1996 ROK:

To, co postrzegamy, jest w pewnym sensie przedłużeniem świata wewnętrznego.



44 Front Erdoğan

INGA ROGG

Z JEROZOLIMY

Kurdowie czują się ponownie zdradzeni przez Amerykanów. Sprawa nie jest tak prosta, ale turecka inwazja w Syrii może mieć fatalne skutki. Turcja budzi upiory, o których sądzono, że należą do historii.



86 Pani jeziora

ADAM ROBIŃSKI

Daria opiera się o asekuracyjną bojkę, a ja przysiadam na desce i zaczynam gadać do tej wystającej znad powierzchni, ozdobionej uśmiechem głowy. I tak sobie trajkotamy na środku jeziora.



72 Pomyłone życia

Z AGNIESZKĄ GLIŃSKĄ, REŻYSERKĄ, ROZMAWIA KATARZYNA KUBISIOWSKA

Nie ma znaczenia, czy jest się potomkiem kata, czy ofiary. Bo tabu, wata niewiedzy, w której żyje się latami, w identyczny sposób odkłada się w psychice.



40 Ziemia święta

PIOTR KRZYŻEWSKI

Mam do dziś stres pourazowy. Sni mi się całą noc, że kogoś kąpię, i nie mogę tej czynności skończyć. Myślałem, że to miejsce bez Boga.

6 Rozczarowanie rządzących, klęska opozycji

PAWEŁ BRAVO, JAROSŁAW FLIS

8-11 Wiadomości / Komentarze**22-23 Czytania / Widzenia**ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ
ŚPIEWAK / O. WAŁĘW OSZAJCA /
PIOTR SIKORA**■ ■ KRAJ****24 Polityka podeszła do płota**PIOTR STANKIEWICZ: *Co widać między kadencjami***28 Gdańsk stawia tamę**ANNA GOLUS *o kampanii przeciwko programowi edukacji seksualnej dla licealistów***30 Żołnierzyki ulicy**ROZMOWA Z MAŁGORZATĄ
MICHEL, PEDAGOŻKĄ
I STREETWORKERKĄ**■ ■ WIARA****34 Mamy być uczniami**ROZMOWA Z KS. WOJCIECHEM
RZESZOWSKIM I KS. TOMASZEM
TRZASKAWKĄ *o nowej formacji kandydatów na księży***38 Ostatni raz na Jasnej Górze**TOMASZ KRZYŻAK, PIOTR LITKA:
*Od śmierci ks. Popiełuszki mija właśnie 35 lat***40 Ziemia święta**

PIOTR KRZYŻEWSKI

■ ■ ŚWIAT**44 Front Erdoğan**

INGA ROGGE

46 Gorąca irlandzka granicaROZMOWA Z KATY HAYWARD,
SOCJOLOŻKĄ: *Boję się, że brexit bez porozumienia zniszczy Irlandię Północną*

MAREK ZALEJSKI // FOTO HULTON ARCHIVE / GETTY IMAGES

91 MAGAZYN CONRAD

Literatura wciąż może nam pomóc wynegocjować wspólny sens rzeczywistości, gdyż spośród wszystkich języków, jakimi dysponujemy, właśnie ona najlepiej się do tego nadaje, niezależnie od miejsca i czasu, od warunków politycznych i skali ideologicznych nacisków.

Można zacząć w każdej chwili, w dowolnym miejscu, np. w Krakowie, na Festiwalu Conrada, między 21 a 27 października, na jednym z blisko stu wydarzeń, które przygotowaliśmy.

■ DODATEK SPECJALNY ■**67 Festiwal Jazz Jantar****■ FELIETONY ■****33 ANNA DZIEWIT-MELLER 43 SZYMON HOŁOWNIA****60 ANDRZEJ STASIUK 84 JAN KLATA****85 PAWEŁ BRAVO 90 STANISŁAW MANCIEWICZ****90 BARTOSZ MINKIEWICZ**

Okładka: OLGA TOKARCZUK

Fotografia: ŁUKASZ GIZA

Redaktor prowadzący: MICHAŁ KUŹMIŃSKI

50 Kobiety ze stadionu„Wolność” WOJCIECH
JAGIELSKI: *W Teheranie po raz pierwszy od rewolucji wypuszczono kobiety na piłkarskie trybuny***52 Powrót do Maroka**AGNIESZKA ZIELIŃSKA:
*Tożsamość grobów migrantów***■ ■ HISTORIA****56 Przystanek Białystok**KAROL
FRYTA: *W małej syberyjskiej wiosce trwa odbudowa spalonej świątyni. To także rodzaj pomnika dla tutejszych Polaków***■ ■ NAUKA****62 Noble 2019***O nagrodach z medycyny i fizjologii, fizyki i chemii piszą* MARIUSZ GOGÓL,
SEBASTIAN SZYBKA
I MIROSLAW DWORNICZAK**66 Tygodnik Czytelników****■ ■ KULTURA****72 Pomyłone życia**ROZMOWA
Z AGNIESZKĄ GLIŃSKĄ**76 Mit o prapoczątku**DOROTA
KOZIŃSKA *o operze „Drach” w wersji Arkadiusza Nowaka***79 Pod ziemią i w lesie**DARIUSZ KOSIŃSKI: *Co się dzieje w Teatrze Polskim we Wrocławiu.***82 Jej portret**ANITA PIOTROWSKA
*o filmie „Portret kobiety w ogniu”***84 Taki klimat**LEKTOR *o książce „Anda Rottenberg, Lista. Dziennik (styczeń – czerwiec 2005)”***■ ■ ZMYŚŁY****86 Pani jeziora**

ADAM ROBIŃSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ Woś się jeży: Czym głosem jest Lewica

Lewica znów przemówi w Sejmie. Problem w tym, że najpewniej nie będzie to głos ofiar neoliberalizmu i wyzysku – **RAFAŁ WOŚ** zastanawia się, czym SLD, Wiosna i Razem zajmą się wyborach. tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy

➔ Synod dla Amazonii – serwis specjalny

Za nami pierwszy tydzień synodu biskupów. Czy Kościół będzie miał – o co apeluje papież Franciszek – barwną i bardzo zróżnicowaną twarz Amazonii? – komentarze i relacje **EDWARDA AUGUSTYNA** w serwisie specjalnym na powszech.net/amazonia

**Wojciech Jagielski: STRONA ŚWIATA****Autorski serwis specjalny**[WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONA ŚWIATA](http://WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONA_SWIATA)

f /TygodnikPowszechny ■ t /Tygodnik ■ i /Tygodnik ■ y YouTube /TygodnikPowszechny



OBRAZ
TYGODNIA

ROZCZAROWANIE RZĄDZĄCYCH, KLĘSKA OPOZYCJI

W wyborach PiS wykorzystał swój potencjał mobilizacji i skorzystał na większej frekwencji, ale jednak uderzył w sufit.

PAWEŁ BRAVO, JAROSŁAW FLIS

DEMOKRACJA PARLAMENTARNA TRAFIŁA pod władzę nieustannej presji sondaży i kreowanych na ich podstawie narracji, które trwają tylko do następnej burzy medialnej. Dlatego przyjęło się uważać wybory za jeden z rzadkich momentów pewności. Twarde wyniki głosowania przynajmniej na moment mogą zatrzymać potok retoryki (zarówno tej topornej, w stylu TVP, jak i tej

bardziej wysublimowanej, choć naznaczonej emocjonalnym szantażem). Elektorat, któremu partyjni spin doktorzy przez całą kadencję wmawiają, co tak naprawdę myśli, teraz mówi: sprawdzam. Te kilka dni po wyborach bywało dotąd otrzeźwiająącym momentem. Król stawał się nagi: pychę wygranych tłumiły liczby wskazujące na realny zakres sukcesu, przegrani mogli zbadać anatomię

*Premier
Mateusz Morawiecki
i Jarosław Kaczyński
podczas wieczoru
wyborczego
w sztabie PiS,
Warszawa,
13 października
2019 r.*

swoich słabości. Leciąły głowy liderów, frakcje liczyły szable.

Powyborcze godziny i dni tego roku to jednak czas, w którym polska polityka zrobiła kolejny krok w stronę totalnego spektaklu. Jak rzadko kiedy, wyniki exit poll w niedzielę i te cząstkowe podawane stopniowo w poniedziałek wskazywały na wyrównaną walkę. Rzecz nie w tym, że PiS nie był pewien najlepszego wyniku, bo w to nikt nie mógł wątpić, ale długo nie było jasne, czy wynik przełoży się na większość mandatów (i jak solidną). Poza tym w sposób zupełnie nowy w stosunku do poprzedniej kadencji kształtowała się reszta sejmowego układu – rzecz równie ważna dla odpowiedzi, czy Jarosław Kaczyński będzie mógł rządzić równie bezceremonialnie jak dotąd. Zwłaszcza że na włosku wisi – do chwili zamknięcia tego numeru – podział mandatów w Senacie. Jeśli senatorzy wybrani jako niezależni będą głosować przeciw PiS, to tzw. blok senacki ma w nim większość.

Z obozu władzy poszedł jednak na tychmiast przekaz o triumfie, tak jakby próbowano czym prędzej przykryć własne rozczarowanie i samych siebie przekonać, że te wszystkie sprzeczności, w jakie się wikła obrastająca w tłuszcz partia władzy, nigdy nie zaistniały. Rozczarowanie, bowiem liderzy PiS jeszcze niedawno nie ukrywali, że liczą na większość pozwalającą odrzucać prezydenckie weto (276 posłów), czego wcale nie zapewnił teraz niewątpliwy przyrost poparcia (z 37,5 proc. na ok. 43,7 proc.). PiS okazał się nie całkiem teflonowy. Choć kolejne afery z udziałem jego polityków, a także nieudolność w kluczowych obszarach usług publicznych nie kosztowały go utraty władzy, to strata pewnej części najbardziej prawicowo nastawionych wyborców na rzecz Konfederacji, a także pewnej liczby na rzecz PSL postawiły go w sytuacji, w której może dalej rządzić – lecz raczej za przyzwoleniem niż na fali znacznego wzmocnienia.

W stosunku do wyborów prezydenckich z 2015 r. PiS zbliżył się do wyniku Andrzeja Dudy (wówczas 8,6 mln), co oznacza, że wykorzystał swój potencjał mobilizacji (bo nie wszyscy wyborcy „prezydenccy” zwykli chodzić na wybory sejmowe) i skorzystał na większej frekwencji, ale jednak uderzył w sufit. Owszem, zawieszony wysoko, ale widać, że wyjście poza niecałą połowę wszystkich wyborców jest poza jego zasięgiem. Co ważniejsze – uderzył w warunkach do-

KRAJ W SKRÓCIE

NIEZADOWOLENI

„Poważna część społeczeństwa uznała, że nie należy nas popierać. To jest powód do tego, by się zastanowić, by sytuację w naszym kraju ulepszyć, byśmy sami stali się lepsi z punktu widzenia społeczeństwa, by te rzeczy, które nas osłabiają, zostały wyeliminowane” – powiedział po wyborach prezes PiS Jarosław Kaczyński.

TROCHĘ ZADOWOLENI

„Chcę przekazać tym wszystkim, którzy marzyli o wielkim zwycięstwie i dominacji: nie będzie Budapesztu w Warszawie” – zapowiedział z kolei lider Koalicji Obywatelskiej Grzegorz Schetyna i ostrzegł: „Przed nami są kolejne wybory, wybory prezydenckie, i tam też będziemy gotowi”.

ZADOWOLENI

„To jest wielki sukces. Dwa dni temu nas nie było jako Lewicy. Teraz jesteśmy trzecią siłą, bardzo nas to cieszy” – oświadczył przewodniczący SLD Włodzimierz Czarzasty. „Podaliśmy sobie ręce, zmieniliśmy oblicze polskiej polityki” – oznajmił jego koalicjant Robert Biedroń.

BARDZO ZADOWOLENI

„Mamy wielki mandat zaufania od naszych rodaków dla racjonalnego centrum. Razem stworzyliśmy nową jakość, nowe centrum, które trzeba rozwijać” – powiedział szef PSL Władysław Kosiniak-Kamysz.

SZALENIE ZADOWOLENI

„Graliśmy jako jedna drużyna i poszło nam wspaniale – stwierdził jeden z przywódców Konfederacji Janusz Korwin-Mikke. – Chciałbym również podziękować telewizji, konkretnie telewizji piosowskiej. Polacy nienawidzą, jak kogoś się krzywdzi, widzieli, jak oni nas traktują, i dzięki nim mamy tak wspaniały wynik”.



brej koniunktury, licznych prezentów dla elektoratu, topornego wsparcia mediów publicznych oraz niezbornej opozycji. W rozgrywce o władzę na następne cztery lata liczy się głównie to, kto za kilka dni powoła nowy rząd, ale nie ma mowy o znaczącym wzmocnieniu mandatu.

Ponad połowa głosujących Polaków nie wystawiła Kaczyńskiemu czeku *in blanco* na kontynuowanie swoistej rewolucji (nawet jeśli zamiast tego niebezpiecznego słowa prezes woli sformułowania w rodzaju „budowa nowych elit”). Ale warto zauważyć, że grubo ponad połowa też zagłosowała na partie odwołujące się w warstwie emocjonalnej do lęku przed zbyt szybką zmianą codzienności (nie tylko PiS, także mocno konserwatywne PSL i Konfederacja). Stanowi to ogromny problem dla Platformy, która utraciła kontakt z wyborcami środka, przestała być partią umiarkowanego postępu w granicach prawa. Na sporych obszarach Polski, z powodu przejścia części tych wyborców przez PiS, doszło do niespotykanej dotąd nierównowagi. Ale nic z tego nie przebiło się do myślenia liderów Platformy, którzy w ucieczce przed rzeczywistością niczym nie ustępowali ludziom Kaczyńskiego.

Przy skali obecnej klęski najważniejszej i wciąż niezastąpionej siły opozycyjnej byłoby niepoważne, gdyby czekała zgodnie ze statutowymi terminami aż do stycznia, żeby rozliczyć Grzegorza Schetynę. Owszem, okazał się mistrzem przetrwania, ale już w maju czekają nas jeszcze jedne wybory. A potem kolejne lata zdecydowanego reagowania na dynamiczną sytuację, w której znajdzie się Polska pod rządami PiS (o czym pisze na następnej stronie Andrzej Stankiewicz).

Lewica wraca na należne jej w ławach poselskich miejsce, co sprawi, że ten Sejm będzie jednak bardziej „proporcjonalny” od poprzedniego, ale warto pamiętać, iż wyraża wolę mniej niż jednej ósmej wyborców. Owa proporcjonalność zadziała też w drugą stronę – do Sejmu wchodzi Konfederacja. Zagłosowało na nią ponad 1,2 mln osób, czyli dwa razy więcej niż dość stała dotychczas liczba, którą w kolejnych wyborach zbierały podobnie skrajne formacje. Konfederaci będą nie tylko budzić niesmak liberalnie nastawionej części opinii publicznej, ale sprawią też niejedną kłopot PiS-owi. Zbierze on zasłużone zatrute owoce własnej polityki podgrzewania konfliktów. Gdy już opadną emocje – i wyborcy, i politycy będą mieli nad czym myśleć. ©P

PiS, czyli zadyszka zwycięzcy

ANDRZEJ STANKIEWICZ



WPARTII NIE MA EUFORII. KACZYŃSKI chciał zmiażdżyć opozycję, a ledwie ocalił większość. To zakonserwuje sytuację w obozie władzy. Premier Mateusz Morawiecki liczył, że po wyborach uda mu się zmarginalizować Zbigniewa Ziobrę. Jego ludzie dostaną około 10 mandatów. Przy wyniku PiS na poziomie nawet 250 posłów Ziobro stałby się niezbyt ważny. Dzięki wynikowi słabszemu wciąż pozostaje jęczyciem u wagi – bez niego nie da się rządzić.

W rządzie nie będzie wielkich zmian. Jarosław Kaczyński nie wróci na stanowisko premiera, przynajmniej nie teraz. Najpierw Morawiecki musi dopiąć negocjacje budżetu UE, w czym na pewno będzie sprawniejszy od prezesa. Na kontynuację zanoszą się w resortach siłowych: ministrem sprawiedliwości pozostanie Ziobro, w MON nadal będzie Mariusz Błaszczak, zaś w MSWiA – Mariusz Kamiński. Nie zmieniają się zapewne ministrowie edukacji, rolnictwa, pracy. Wicepremier Jacek Sasin ma objąć wskrzeszony resort skarbu. Na placówkę dyplomatyczną może wyjechać Piotr Gliński. Na pewno zmieni się szef MSZ.

Co Kaczyński zrobi w drugiej kadencji? Znow weźmie się za sądy. W kwietniu przyszłego roku kończy się kadencja I prezes Sądu Najwyższego prof. Małgorzaty Gersdorf. Władza wstawi w jej miejsce swego nominata. Podobnie będzie z rzecznikiem praw obywatelskich, bo za rok kończy się kadencja Adama Bodnara. Kaczyński będzie chciał też osłabić samorządy, bo im nie ufa, a także weźmie pod lupę te media prywatne, które nie pałają miłością do PiS.

Ale druga kadencja wcale nie będzie siełanką. Wprowadzanie kontrowersyjnych zmian może nie być dla PiS łatwe, jeśli partia straci wyraźną większość w Senacie. Zagadką jest też zdrowie Kaczyńskiego (po wyborach czekają go operacje wszczepienia endoprotezy stawu kolanowego w obu nogach). Dla PiS oznacza to poważne turbulencje.

Inne zagrożenia pochodzą z zewnątrz. Spowalnia gospodarka Niemiec, czego echo może niedługo dotrzeć do Polski. Z kolei jeśli za rok Trump przegra prezydenturę USA, to oboz władzy może się znaleźć pod presją ze strony Ameryki. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP”.

Ksiądz wśród Nauczycieli Roku

W CIENIU szykowanego strajku włoskiego (miał się zacząć już po zamknięciu tego numeru „TP”) Związek Nauczycielstwa Polskiego ogłosił w ubiegłym tygodniu wyniki organizowanego od 18 lat konkursu na Nauczyciela Roku (nagrodę przyznaje wydawany przez ZNP „Głos Nauczycielski”, wcześniej wraz z MEN, który jednak wycofał się z inicjatywy). Główny laur przypadł Zycie Czechowskiej, nauczycielce i pedagogce w Zespole Szkół Specjalnych w Kowanówku, która pracuje z niepełnosprawnymi dziećmi. Wyróżnienia przypadły Ewie Drobek, warszawskiej anglistce i germanistce, oraz ks. Damianowi Wyżkiewiczowi, nauczycielowi religii w stołecznym Zespole Szkół nr 22. To pierwszy przypadek uhonorowania duchownego w historii konkursu.

Wyżkiewicz, należący do Zgromadzenia Księży Misjonarzy, pytany o recepty na bycie dobrym katechetą, wymienia trzy: samokształcenie (zrobił m.in. kurs z zarządzania, jest doktorantem z filozofii), interdyscyplinarność (prowadzi dodatkowe godziny zajęć – z filozofii, łaciny, historii sztuki i historii muzyki; organizuje klub dyskusyjny „Więzi”) oraz



ARCH. PRYWATNE

„nierobienie kościoła ze szkoły”. – Lekcje katechezy to rozmowa, a nie rekolekcje czy nabożeństwa – mówi „TP”. – Może dlatego na moje zajęcia chodzą niewierzący albo muzułmanie.

Mimo zaleceń wielu diecezji wsparł wiosenny strajk nauczycieli (w proteście włoskim udziału nie weźmie: nie chce, by jego uczniowie tracili zajęcia dodatkowe) – Nie jestem w szkole ciałem obcym, obowiązuje mnie solidarność zawodowa – mówi. – A że identyfikowałem się z postulatami nauczycieli, nie mogłem jako duszpasterz powiedzieć: „Wy strajkujcie, a ja sobie idę”.

© © PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Jak zanieczyszczenia powietrza wpływają na dzieci

NAJWYŻSZE W UE – takie były do zeszłego piątku polskie normy alarmowania o smogu. Według nowego rozporządzenia ministra środowiska alarm smogowy będzie ogłaszany przy przekroczeniu średniodobowej wartości 150² g (mikrogramów) na m³ dla pyłu PM₁₀ (dotychczasowy wskaźnik był dwukrotnie wyższy). Po przekroczeniu poziomu alarmowego Rządowe Centrum Bezpieczeństwa rozsyła ostrzeżenia, a instytucje państwowe muszą podjąć natychmiastowe działania w celu obniżenia stężenia pyłów.

Zanieczyszczenia powietrza kilkakrotnie zwiększają ryzyko wystąpienia u dzieci alergii i astmy – ogłosili tymczasem lekarze i naukowcy z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego z Politechniki Warszawskiej. „Przepisujemy pacjentom leki przeciwzapalne, na astmę, na przeziębienie, nie zdając sobie sprawy, że za przynajmniej kil-

kunastoma procentami tych objawów stoi złe powietrze – powiedział pediatra dr hab. Wojciech Feleszko. – Na sto dzieci kaszlących, stale ekspozowanych na zanieczyszczone powietrze, 16 kaszle z powodu smogu”.

To na razie częściowe wyniki badań (pierwszych takich w skali kraju) pt. „Wpływ stężenia pyłów zawieszonych PM₁₀ i PM_{2,5} na występowanie dolegliwości górnych dróg oddechowych u dzieci w wieku 3-12 lat”. Na ich ogłoszenie badacze zdecydowali ze względu na początek sezonu grzewczego. Najważniejsze wnioski? Zanieczyszczenie powietrza wiąże się z 4-krotnie większym ryzykiem wystąpienia objawów alergii (m.in. katar, drapanie w gardle, pieczenie oczu). Pyły zawieszone działają powoli, objawów nie obserwuje się od razu, co usypia czujność rodziców. Zanieczyszczenia wpływają niekorzystnie nie tylko na zdrowie, powodują też problemy z pamięcią, uwagą i postrzeganiem.

Badacze radzili, by dbać o czystość powietrza we własnym otoczeniu, np. stosując oczyszczacze powietrza w domach i biurach. © © MACIEJ MÜLLER

SYNOD W SKRÓCIE

EKOLOGICZNE

Podczas synodu zostaną wyemitowane do atmosfery 573 tony CO₂ (podróże lotnicze, energia, woda, żywność, śmieci).

W ramach rekompensaty Watykan zalesi 50 hektarów w Amazonii – poinformował kard. Lorenzo Baldisseri, sekretarz synodu.

Organizatorzy zrezygnowali z plastikowych kubków, teczek dla uczestników wykonano z juty, ograniczono zużycie papieru.

REWOLUCYJNIE

„Celibat musi być zniesiony. Indianie go nie rozumieją. Mężczyzna musi mieć żonę, stworzyć dla niej dom. Jeśli nie potrafi zadbać o własny mały dom, jak może zadbać o większy, jakim jest parafia?” – tak pomysł święcenia viri probati tłumaczył bp Erwin Kräutler z Brazylii.

FEMINISTYCZNIE

Możliwym postulatem synodu jest diakonat kobiet. Siostra Alba Teresa Castilla z Kolumbii opowiada: „Gdy ksiądz nie może przyjechać, a potrzeba kogoś ochrzcić, chrzczymy. Jeśli ktoś chce wziąć ślub, jesteśmy obecne jako świadkowie miłości tej pary. Wiele razy zdarzało się nam nawet słuchać spowiedzi, choć nie dawaliśmy rozgrzeszenia”.

OPOZYCYJNIE

„Słyszę, że niektórzy traktują synod niczym poletko doświadczalne Kościoła powszechnego” – tak pomysł wyświęcenia żonatych mężczyzn i diakonatu kobiet komentuje kard. Robert Sarah, prefekt Kongregacji Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów. „Tymczasem synod ma specyficzny i lokalny cel: ewangelizację Amazonii. Obawiam się, że niektórzy na zachodzie Europy próbują go wykorzystywać do realizacji własnych planów”.

Pomoc dla ofiar, kary dla sprawców

ARTUR SPORNIAK



EPISKOPAT POWOŁAŁ FUNDACJĘ ŚWIĘTEGO Józefa, która będzie finansować profesjonalną pomoc dla małoletnich ofiar seksualnego wykorzystywania w Kościele. Między innymi prowadzony przez świeckich telefon zaufania „Zranieni w Kościele”, powstała dotychczas w diecezjach sieć ekspertów (psychologów, prawników i duszpasterzy), a w perspektywie – wyspecjalizowane ośrodki pomocy, a także stypendia edukacyjne dla osób skrzywdzonych.

Fundacja jest zwińczeniem starań delegata KEP ds. ochrony dzieci i młodzieży abp. Wojciecha Polaka o to, by profesjonalna pomoc przybrała formę systemową. Finansowanie takiej pomocy przestanie być doraźne i zależne od woli biskupa danej diecezji. Przyjęcie pomocy stanie się też psychologicznie łatwiejsze dla ofiary, jeśli oferować ją będzie inna instytucja niż lokalny Kościół, na terenie którego została ona skrzywdzona.

Jak mówi „Tygodnikowi” kierownik biura delegata KEP ks. Piotr Studnicki, fundusz założycielski fundacji wynosi 2,5 mln zł: – Co najmniej tyle biskupi zobowiązali się przekazywać co roku fundacji na jej działalność.

Wielkość rocznej raty uzależniona będzie od liczby księży w diecezji. Powodzenie tego przedsięwzięcia ma gwarantować także prezeska fundacji. Funkcję tę powierzono Marcie Titaniec, mającej długoletnie doświadczenie w pracy w organizacjach pozarządowych, współinicjatorce telefonu „Zranieni w Kościele”.

Ale to nie ta inicjatywa – choć na pewno pozytywna – sprawia, że nadchodzi rewolucja w podejściu do pedofilii w Kościele.

Gdański sąd drugiej instancji zasądził dla Marka Mielewczyka (jednego z bohaterów filmu Tomasza Sekielskiego „Tylko nie mów nikomu”) 400 tys. zł zadośćuczynienia solidarnie od jego oprawcy (wówczas księdza) oraz parafii, w której doszło do wykorzystania w latach 80., i diecezji pelplińskiej. Sąd uznał, że w tym wypadku nie wchodzi w grę przedawnienie czynu, porównując seksualne wykorzystywanie dzieci do długo zadawanej tortury. To nowe podejście – jeśli się w polskim orzecznictwie przyjmie – znacznie zmieni sytuację osób skrzywdzonych w Kościele. ©

Strach i potępienie zamiast nadziei i odwagi

„**ODZYSKAJMY NASZ KOŚCIÓŁ**” – pod takim hasłem w Krakowie, Szczecinie i Poznaniu 10 października zbierali się świeccy katolicy protestujący przeciw utwierdzaniu przez Kościół podziałów między ludźmi. W Krakowie kilkudziesięciu uczestników stało w milczeniu, z zapalonymi świecami, przed zamurowanym oknem papieskim. Kilka dni wcześniej ogłosili petycję (można ją wciąż podpisać na platformie avaaaz.org, dotychczas zrobiło to 2 tys. osób).

W Kościele „nie odnajdujemy już nadziei i odwagi, ale raczej strach i potępienie (...) nie znajdujemy w nim nauczania papieża Franciszka o przyjmowaniu tych, którzy są inni od nas pod różnymi względami: rasy, pochodzenia, wiary czy orientacji seksualnej”.

„Bola nas słowa o »tęczowej zarazie« i wszelkie wypowiedzi katolików wykluczających mniejszości: w ostatnim czasie głównie osoby LGBT+, ale również Żydów, muzułmanów czy niewierzących – czytamy w petycji. – Nie zgadzamy się z tym, że zbyt wielu biskupów i księży wspiera otwarcie partię polityczne. (...) Nie chcemy, by podczas mszy św. wiernych strasz-



no ideologiami, które mają rzekomo przymuszać do odchodzenia od wiary. Odstęcza nas od Kościoła brak wrażliwości biskupów wobec ofiar, odstręczają nas ich zaniedbania, poniżanie ludzi inaczej myślących. (...) Zamiast prowadzić wojnę z wydumanym abstrakcyjnym wrogiem, chcemy walczyć z psychiczną i fizyczną przemocą, która faktycznie ma miejsce w polskich domach”.

Protestujący zaznaczyli, że czują się częścią Kościoła, ale coraz trudniej im odnaleźć w nim swoje miejsce. ©

MACIEJ MÜLLER

Premier zaprowadza pokój

WOJCIECH JAGIELSKI



43-LETNI ABIY AHMED, NAJMŁOD-szy przywódca Afryki, otrzymał tegoroczną Pokojową Nagrodę Nobla. Rządząc Etiopią zaledwie półtora roku, przyczynił się do przerwania trzech ośmiennych wojen i uchronił kraj przed wojną domową.



Pokojowego Nobla otrzymał za zakończenie konfliktu z Erytreą, była etiopską prowincją, która najpierw sto-

czyła z metropolią krwawą i wyniszczającą (od końca lat 60. do 1991 r.), ale zwycięską wojnę secesyjną (w 1993 r. za zgodą Addis Abeby Erytrea ogłosiła niepodległość), potem żyła z nią przez kilka lat w przyjaźni, by na przełomie wieków wdać się z nią w kolejną wojnę, graniczną. Przerwana w 2005 r., przemieniła się w zimną wojnę, drenującą państwowe skarbcze w Addis Abebie i Asmarze i dającą rządzącym w nich dyktatorom usprawiedliwienie ich tyranii.

Zaraz po wyborze na premiera Abiy Ahmed wybrał się do Asmary i zaproponował Erytrejczykom pokój. W tym roku, dodatkowo, przysłużył się jako mediator i pośrednik do przerwania barbarzyńskiej wojny w Sudanie Południowym oraz rozruchów w Sudanie, które groziły krwawą rozprawą z antyrządowymi demonstracjami, a zakończyły pokojową transformacją i odsunięciem wojska od władzy.

Najważniejszą wojną, jakiej zaradził, była jednak ta, do której nie doszło, w jego rodzinnej Etiopii, gdzie od 2015 r. trwały bunt Oromów, najliczniejszego z jej ludów, ale niemającego dotąd nic do powiedzenia w najważniejszych sprawach państwa. Abiy Ahmed, wywodzący się z Oromów, udobruchał rodaków i zabrał się do przebudowy etiopskiego państwa z satrapii, wzniesionej na modłę chińską w budowlę, wzorowaną na Zachodzie.

© P

Halle: atak na synagogę

ZBIEG OKOLICZNOŚCI sprawił, że nie doszło do masakry 80 Żydów zebranych w synagodze w Halle (wschodnie Niemcy), by świętować Jom Kippur. Ocalili ich nieudolność napastnika i mocne drzwi: były zamknięte, a 27-letni Niemiec Stephan Balliet (z zawodu technik radiowy, z poglądów antysemita i neonazista) nie sforsował ich, choć miał 4 kg materiału wybuchowego i kilka sztuk broni (własnej konstrukcji). Sfrustrowany, zabił na ulicy dwie przypadkowe osoby. Po aresztowaniu zeznał, że zamierzał uśmier-

cić tylu Żydów, ile tylko możliwe. Napad transmitował w internecie z kamery na swoim hełmie – chciał zyskać sławę.

Atak wywołał falę solidarności ze społecznością żydowską (liczy ponad 100 tys. osób) i dyskusję, na ile Balliet to kazus pojedynczy i czy Żydzi w Niemczech są bezpieczni. Profil sprawcy sugeruje, że niemieckie służby nie mogły wcześniej go namierzyć: samotnik, radykalizował się za sprawą chatów i gier w sieci, nie był w środowiskach neonazistów. Świadomość, że pojawił się taki nowy typ neonazysty-terrorysty, jest przyjmowana w Niemczech z dużym niepokojem.

© WP / FAZ, EPD, DPA

Lekcja dla Europy

KRZYSZTOF STRACHOTA



TURECKA ARMIA ZACZĘŁA INWAZJĘ NA kurdyjskie parapaństwo w Syrii. Byłby to doskonały odcinek bliskowschodniego thrillera politycznego. Są wyraziste postacie: autorytarna i neoimperialna Turcja, która chce zniszczyć mały i bohaterski naród po przejściach (lewacka i terrorystyczna przeszłość PKK), na przekór wszystkim budujący oazę lepszego świata. Jest tragedia jednostek i społeczności: śmierć pokazywana na Twitterze, uchodźcy uciekający na pustynię. Jest mocarstwo (USA), które czy to z cynizmu, czy z zapaści wewnętrznej w niesławie opuszcza sojuszników (Kurdów), czy też pozostaje tragicznie wierne soюзom (tj. NATO-wskiej Turcji). Są zwroty o 180 stopni (Kurdowie zamieniają USA na Asada) i powrót Rosji jako rozgrywającego szwarcharakteru z poprzednich serii.

Tylko to życie, nie serial. I nie jest to koniec, a nawet początek końca, lecz co najwyżej koniec początku, jak mawiał Churchill. Lejąca łzy i trzymająca się za portfel Europa nie będzie siedzieć na widowni – będzie musiała zjawić się na scenie.

Tylko z czym? Trump niegrzecznie, ale trafnie powiedział, że uchodźcy, terroryści i sąsiedztwo to problemy Europy, nie USA. Amerykanie wycofują się i nie mają do kogo wracać na Bliski Wschód. Turcja, przez dekady bufor, a ostatnio filar walki z kryzysem migracyjnym, dziś straszy Unię milionami uchodźców. Groźby sankcji (jedyne instrument), unijnych czy amerykańskich, utopiłyby Turcję, uderzając w Europę. Bierność i pohukiwanie są zachętą do kolejnych blefów Ankary, Teheranu, Moskwy... Trzeba będzie sporo rzeczy poustawić na nowo w Brukseli, Paryżu, Berlinie, Atenach, odrabiając tę lekcję. I będzie to bolesne.

©



Demonstracja poparcia dla Kurdów w Marsylii, 12 października 2019 r.

BORIS HORVAT / AFP / EAST NEWS



AGNIESZKA ZIELIŃSKA, autorka korespondencji z Hiszpanii (s.58), będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie Radia Tok FM”, w środę 16 października, o godz. 15.00
Radio TOK FM 87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

KULTURA W SKRÓCIE

DWADZIEŚCIA PIĘĆ
TYSIĘCY

Na terenie nowohuckich Kujaw w Krakowie powstanie Las Prawiek – ogłosił w związku z przyznaniem literackiego Nobla Oldze Tokarczuk prezydent Jacek Majchrowski. Nazwa lasu nawiązuje do wydanej w 1996 r. powieści „Prawiek i inne czasy”. Wydarzenie będzie częścią Festiwalu Conrada, a na sadzenie 25 tys. drzew zapraszamy już 29 października 2019 r. o godz. 10.00.

DWAŃCIE TYSIĘCY

Jedna z sieci księgarń poinformowała, że tylko w ciągu 10 godzin od ogłoszenia laureatów Nagrody Nobla sprzedała 12 tys. książek Olgi Tokarczuk. „Efekt Nobla” zaczął być wyraźnie zauważalny już po godz. 14.

Przed otrzymaniem wyróżnienia od Akademii Szwedzkiej nagrodzone Nike w 2015 r. „Księgi Jakubowe” sprzedały się w nakładzie 170 tys. egzemplarzy.

SIEDEMSET TYSIĘCY

Z kolei minister Głiński poza obietnicą doczytania powieści noblistki chwali się także, że resort kultury wydał w ciągu dwudziestu lat ponad 700 tys. zł na tłumaczenia książek Olgi Tokarczuk. Cieszymy się, że odpowiedzialny za te działania Instytut Książki spełnia statutowe obowiązki, do których należy promocja polskiej literatury za granicą. Książki noblistki przetłumaczono dotąd na 19 języków.

BEZCENNE

Tłumaczenie to jednak nie wszystko. W opublikowanym w „The Paris Review” esej o tłumaczce Tokarczuk Jennifer Croft (na angielski przełożyła m.in. nagrodzonych Międzynarodowym Bookerem „Biegunów”) wspomina, z jakim trudem przekonywała do książek noblistki amerykańskich wydawców, którzy nie byli pewni, że pisarka z Europy ma szansę zaistnieć na amerykańskim rynku.



JACEK TARAN DLA TP

WEŻ, PODAJ! W weekend w Krakowie odbył się ósmy już ogólnopolski zjazd Klubów „Tygodnika Powszechnego”, w którym udział wzięto ponad sto osób z całej Polski i z zagranicy (kluby istnieją też m.in. w Berlinie, Brukseli, Paryżu oraz w Oslo). W programie były m.in. przemówienia rabina Michaela Schudricha, abp. Grzegorza Rysia oraz s. Barbary Chyrowicz, wystąpienie RPO Adama Bodnara. W sobotę odbył się także mecz Redakcja vs Kluby, po bardzo zaciętej walce zakończony wynikiem 6:6. Po nim spotkaliśmy się w Piwnicy Tagasta augustiańskiego klasztoru na Kazimierzu, gdzie wystąpienie dla klubowiczek i klubowiczów przygotował kierownik działu Wiara Artur Sporniak.

© P PS

Granice doświadczenia



ALAIN JOCARD / EAST NEWS

LAUREATEM NOBLA w dziedzinie literatury za rok 2019 został Peter Handke, austriacki powieściopisarz, dramaturg, poeta, eseista, scenarzysta i reżyser filmowy. Wyróżniono go za „wpływową pracę, która z lingwistyczną pomysłowością bada obrzeża i specyfikę ludzkich

doświadczeń”.

Od debiutu w latach 60. XX w. Handke zajmuje się pisarstwem eksperymentalnym. W jednym ze swych wczesnych manifestów napisał, że od powieści bądź sztuki teatralnej oczekuje nowości, przez co należy rozumieć inny sposób mówienia i przedstawiania człowieka, jego relacji z innymi i ze światem, taki mianowicie, który ukaże wszelkie zakłamanie i manipulacje skrywające prawdę o wypartych impulsach skłaniających nas do absurdalnych czynów. Kontrowersje wzbudziły jego wypowiedzi oraz artykuły na temat konfliktu bałkańskiego, w których stawiał po stronie Serbii. Jeśli na początku wskazywał na historycznie warunkowaną wrogość nacji zaangażowanych w wojnę, przede wszystkim Serbów i Chorwatów, tłumacząc, że odpowiedzialność za rozlew krwi ponoszą wszyscy, to z czasem jego gesty stały się jednoznacznie proserbskie, czego przykładem był udział w pogrzebie Slobodana Miloševića, podczas którego wygłosił mowę pożegnalną.

© P GRZEGORZ JANKOWICZ

Kosmiczny malarz

„CO ON ROBI? Dlaczego zachowuje się jak młodociany chuligan? Wszyscy inni potrafią wysiedzieć wewnątrz kapsuły, co on robi, wyłazac na zewnątrz?” – krzyczał Archip Leonow do dziennikarzy pod domem. Jego syn Aleksiej wygramolił się właśnie z kapsuły Woschod, by jako pierwszy człowiek unosić się swobodnie w próżni. Nie mógł wcześniej powiedzieć o planie nawet ojcu. Był 18 marca 1965 roku.

„Czułem się jak mewa z rozpostartymi skrzydłami, szybująca wysoko nad Ziemią” – wspominał. Wrócił w kosmos jeszcze raz, jako dowódca misji Sojuz-Apollo. Miał być pierwszym obywatelem ZSRR na Księżycu. Został za to pierwszym kosmicznym malarzem – do końca życia wracał w kosmos na płótnie.

Był jednym z ostatnich astro- i kosmonautów pierwszego pokolenia. Informacja o jego śmierci dotarła na stację kosmiczną, gdy astronauta Christina Koch i Andrew Morgan pracowali na zewnątrz. Ich spacer kosmiczny trwał 405 minut. 34 razy dłużej niż ten pierwszy Leonowa. Dowódca ISS Luca Parmitano zakończył rozmowę z Ziemią słowami: „Żegnaj, Aleksiej. Ad astra”. © WOJCIECH BRZEZIŃSKI

TEMAT
TYGODNIKA

PANI LITERATURA

Tak, Olga Tokarczuk jest pisarką dobrą,
ale w tym rozumieniu, w jakim ludzkie opowieści
są lekarstwem na metafizyczny horror istnienia.

RYSZARD KOZIOŁEK





Przez najbliższe miesiące czytający świat będzie mówił głównie słowami Olgi Tokarczuk. Co sobie powiemy? Jak ją teraz przeczytamy, kiedy stała się na jakiś czas Panią Literaturą?

Nie wiadomo. Radość mnie przepelnia, ale pamięć mi jeszcze dopisuje i nie godzę się, aby dopiero Komitet Noblowski uświadamiał nam, jak wybitną pisarkę mamy wśród nas. Teraz wszyscy śmieją się z ministra Piotra Glińskiego, ale sceptyków i zgryźliwców przez lata było wcale niemało i nie pierwszy on, który książkę Olgi Tokarczuk nie doczytał.

Nawet ci, którzy towarzyszą jej twórczości wiernie i w zachwyceniu od prawie 30 lat, nie zawsze nadążali za nagłymi zwrotami tematycznymi i gatunkowymi jej pisarstwa.

Historia całości

Kiedy na początku lat 90. Olga Tokarczuk pojawiła się na scenie literackiej, wielu było jej pisarstwem zdezorientowanych. Byliśmy ciągle pod wpływem spóźnionego postmodernizmu, który świetnie się sklejał z ówczesną humanistyką akademicką i jej koncentracją na języku, na jego kreacyjnej samowystarczalności i nieskończonych kombinacjach słownych znaków. Rzeczywistość jako odniesienie opowieści mniej nas interesowała, a obecność rzeczywistości duchowej w języku literackim wydawała się jakimś zabobonem paranaukowym. Z drugiej strony, po latach życia w PRL-u byliśmy na konsumpcyjnym głodzie, pragnęliśmy rzeczy, szynki, prawdziwych pieniędzy, zagranicznych podróży, kolorowych obrazów, a nie tylko czarnych liter na papierze. A już na pewno nie myśleliśmy wiele o ekologii, równości płci, zrównoważonym rozwoju, pułapkach niekontrolowanego wzrostu gospodarczego, rozmaitych odmianach wykluczenia.

Upraszczam oczywiście, ale także na takim tle twórczość Olgi Tokarczuk zjawiała się z całą bezczelną odwagą anachronizmu literackiego, który porównać można tylko z debiutem Schulza. Oto bowiem wraz z jej „Podróżą ludzi Księgi” (1993) dostaliśmy powieść jakby z ducha „Imienia róży” Umberta Eco, ale prostszą, trochę przewrotną, ironiczną, jakby nieco zawstydzoną brakiem inwencji formalnej, nieobecnością wielkich problemów społecznych lub egzystencjalnych. Konsekwentnie więc widzieliśmy w kolej-

nych powieściach „E.E.” (1995) oraz „Prawieku i innych czasach” (1996) przede wszystkim euforię snucia opowiadań. Kipiały nią te patchworkowe narracje oraz „przegięty” realizm, który szybko został sprowadzony do kliszy realizmu magicznego. Sugerowano też, że autorka reaktywowała zgrane już motywy literackie (odmieniec, inność, choroba, szaleństwo, parapsychologia itp.). Towarzyszył temu nieśmiertelny grymas: „to już było”, połączony z prychnięciem na terapeutyczno-pocieszający wymiar twórczości. Tymczasem Olga Tokarczuk rozpoznała potrzeby czytelników daleko lepiej niż krytycy i literaturoznawcy.

Chyba niewiele sobie robiła z naszych uszczypliwości. I miała rację. Niemniej, kompozycja jej powieści zaczęła się komplikować. „Dom dzienny, dom nocny” (1998) przyniósł już narracje pokawałkowane, z których niekoniecznie dało się ułożyć kompletną całość fabularną. Ukształtowała najbliższy sobie model kompozycyjny, który sama nazywa powieścią-konstelacją. Narracje i fabuły w rozpadzie i rozproszaniu nie tworzą wrażenia chaosu. Scala je bowiem struktura symboliczna wprowadzona do powieści pod postacią mitów, Jungowskich archetypów, baśni. Przed bohaterami otwierają się kanały komunikacyjne z innymi światami i czasami.

Wierność mitom i baśniom nie jest u niej skutkiem sentymentalnego przywiązania do opowieści dzieciństwa czy zamykaniem oczu na rzeczywistość. Jest strategią oporu wobec faktu, że za oszalałymi sukcesami stosowanego rozumu zapłaciliśmy utratą odczucia świata jako całości. Nieludzka sprawność rozumu i technologii zbudowała nam nowoczesny świat. Sukcesy nauk szczegółowych: fizyki, genetyki, informatyki, medycyny... opierają się na odseparowaniu pola badawczego od całości obiektu i koncentracji wysiłku na rozpoznaniu prawidłowości lokalnych.

Mówiąc wprost: na zapomnieniu o całości. Ten sam proces stoi za cywilizacyjnym sukcesem Zachodu, który przez setki lat koncentrował się na rozwoju Europy i Ameryki, kosztem sporej części świata, w tym świata naturalnego: zwierząt, roślin, wód, paliw kopalnych. Odrzucona „reszta” wraca do nas niechciana i kłopotliwa pod postacią uchodźców, zdegradowanego środowiska, zmian klimatycznych, kryzysów ekonomicznych.

Nie sprzyja to na pewno uznaniu całości świata za swój dom.

Tak, Tokarczuk, na długo przed zwiastunami wspomnianych kryzysów, zaczęła tworzyć literaturę jako program symulacyjny do gry w odzyskiwanie odczucia świata jako całości. Nie przez jakieś psychologiczne hokus-pokus, ale za sprawą wyobraźni jednoczącej literackie obrazy, skomponowane jako konstelacja różnorodnych, niespójnych z sobą elementów: niepasujących do siebie ludzi, braku porozumienia, rozdzielonych człowieka i zwierzęcia, niemych rzeczy wypełnionych pamięcią, niechcianej przeszłości, walczących z sobą płci.

Nie fundowała nam fabularnego zjednoczenia w finale ani nie głosiła kazań o łatwej reintegracji postrzegania świata. Dyskretnymi sztuczkami literatury dawała poczuć, jak przyjemnie i wyzwalać jest zobaczyć prześwit „całości”, na przykład w czymś tak zwyczajnym, jak młynek do kawy. „Młynek Misi powstał za sprawą czyichś rąk, które połączyły drewno, porcelanę i mosiądz w jeden przedmiot. Drzewo, porcelana i mosiądz zmaterializowały ideę mielenia. Mielenia kawy, żeby ją potem zalać wrzątkiem. Nie ma nikogo takiego, o kim można by powiedzieć, że wymyślił młynek, tworzenie jest bowiem tylko przypominaniem sobie tego, co istnieje poza czasem, czyli od zawsze” („Prawiek i inne czasy”).

Trzeba przyznać z pokorą, że nie od razu przyszło uznanie dla takiej architektury literackich światów. Do Tokarczuk się dojrzeła, trochę jak do Szymborskiej, której złudna prostota frazy prowokuje lekkomyślne uwagi o intelektualnej naiwności. Takim podstępem prostoty są u niej nowoczesnie przepisane mity, baśnie, symbole, teorie psychologiczne, zabobony, magiczne formuły, gawędy domowe. Czyli cała ta przednaukowa alternatywa, za pomocą której rozciągnęła świat swoich powieści poza granice naukowego opisu świata.

Córka oświecenia

Zadziwiło i zachwyciło mnie, że Tokarczuk brawurowo przystawiła tej sferze, do pary, ostrą racjonalność, trzeźwe myślenie, krytycyzm, afirmację wiedzy i rozumu. Jej pisarską osobowość oraz estetykę i etykę jej twórczości wykołysały nie tylko mity i domowe opowieści, ale w równym stopniu europejskie oświecenie, na czele z prymatem rozumu, ideą

równości wszystkich ludzi, postulatem egalitarnego kształcenia oraz przekonaniem, że nauka jest najskuteczniejszym instrumentem udoskonalania rozumu i poprawiania świata. Jak w „Prawieku”: „Są dwa rodzaje nauki. Od zewnątrz i od wewnątrz. Ten pierwszy uznawany jest za najlepszy lub nawet jedyny. Toteż ludzie uczą się poprzez dalekie podróże, oglądanie, czytanie, uniwersytety, wykłady – uczą się dzięki temu, co wydarza się poza nimi. Człowiek jest istotą głupią, która musi się uczyć. Dokleja do siebie wiedzę, zbiera ją jak pszczoła i ma jej coraz więcej, użytkuje ją i przetwarza. Ale to w środku, co jest »głupie« i potrzebuje nauki, nie zmienia się”.

Fascynacja mitami i oświeceniowy racjonalizm wydają się raziącą sprzecznością, ale nie w twórczości Tokarczuk. Mit to po prostu logiczna lewa strona wiedzy, „podszewka, nie do ujęcia żadnym spisem treści, taka, której nie poradzi żadna wyszukiwarka; przez jej ogrom nie stąpa się bowiem po słowach, lecz stawia się stopy między słowami, w przepastne otchłanie między pojęciami. Za każdym razem noga się obsuwa i spadamy” („Bieguni”). Poznawczy i emocjonalny spadek zaufania do wiedzy naukowej jest nieunikniony – przekonują jej powieści. A wtedy ona, autorka, podsuwa nam zbiwną siatkę mitu, w którą wpadamy, zapominając na chwilę o otchłani, ku której zmierzamy. To nie tylko miejsce poznawczego wytnienia, ale też źródło

Mit, dogmat i racjonalność trwają u Tokarczuk w ciągłym zwarcu. Żadne nie odpuszcza.

Najdziwniejsze wierzenia
plenią się w granicach
roзумu, ożywiając go.

marzenia o lepszym urządzeniu świata i innej kondycji człowieka.

Na pytanie o sens i znaczenie dostajemy nie odpowiedź, ale kolejną opowieść: „Bóg niepokoił Kłóskę także cielesnie. Był obecny w jej piersiach, które nagle i cudownie wypełniły się mlekiem. Kiedy dowiedzieli się o tym ludzie, przechodzili ukradkiem do Kłóski i podstawiali pod sutek chore części ciała, a ona strzykała na nie białym strumyczkiem. Mleko wyleczyło zapalenie oczu młodego Krasnego, kurzajki na dłoniach Franka Serafina, wrzód u Florentynki, liszaj u zydowskiego dziecka z Jeszkotli. Wszyscy wyleczeni zginęli w czasie wojny. Tak właśnie przejawia się Bóg” („Prawiek i inne czasy”).

Skoro nikt nie wie, dlaczego ludzie nagle zdrowieją, a potem muszą umierać na wojnie, opowieść jest zamiast odpowiedzi. Taka kompozycja obrazuje strategię

obronną umysłu, który odpycha niepokojące pytanie: „dlaczego?”. Zamiast odpowiedzi wyrasta więc następna historia, którą trzeba by włączyć w szereg lub strukturę objaśnienia, gdyby nie to, że jest tak ciekawa, iż zasłuchani zapominamy o jej zwodniczej funkcji.

Ale Tokarczuk nie chce, żebyśmy spali. Ten, kto pyta „dlaczego?”, łamie reguły mitu. I to jest ten drugi, racjonalistyczny filar jej pisarstwa, który dziś, kiedy autorka wypowiada się głośno i często w sprawach publicznych, szczególnie mocno jest widoczny. Jej bohaterowie chcą wiedzieć, jak działa świat, a mit i racjonalność towarzyszą sobie w tych próbach nieustannie. Sumeryjska bogini Anna Inn wie, że ludzkość do świata umarłych, aby toczyć rewizyjną walkę o przywrócenie kobietom skradzionej im historii. Animalistyczny horror w „Prowadź swój pług przez kości umarłych” (2009) okazuje się desperacką próbą oporu, jaką podejmuje starsza bezradna kobieta współczująca zabijanym zwierzętom. W „Księgach Jakubowych” (2014) członkowie nowo ochrzczonej wspólnoty mesjańskiej pytają racjonalnie: „Chrząst nas uchroni od śmierci, ale jak to będzie? Będziemy się starzeć? Czy zatrzymamy się w jakimś wieku i tak będziemy już trwać na zawsze? Podobno każdy z nas mieć będzie trzydzieści lat. (...) I jak to tak – nie umierać? Mieć dużo czasu na wszystko, zebrać sporo grosza, dom pobrać, trochę powędrować, to tu, to

→

Pilch, Lem i Tokarczuk

MOJE MYŚLENIE

O LITERATURZE jest takie, że np. ogłoszone w tym samym świątecznym numerze „Tygodnika Powszechnego” opowiadanie Olgi Tokarczuk pt. „Profesor Andrews w Warszawie” uważam za tekst wybitny. Jest to wydarzenie, jest to być może opowiadanie co najmniej dziesięciolecia. Wpierw z rosnącym podziwem, a potem z coraz większą zazdrością czytałem tę bezbłędną, w każdym szczególe utrzymaną narrację, a zazdrość moja była tym większa, że sam swego czasu

podobnego chwytu [spojrzenie na naszą rzeczywistość cudzoziemskim okiem] w „Spisie cudzołożnic” użyłem.

Proszę bardzo, oto jest za wiść moja: od pierwszych jej tekstów wiedziałem, że Olga Tokarczuk umie trzymać pióro w garści, teraz widzę, że trzeba na nią uważać, kobieta ta bowiem zaczyna pisać w sposób znamionujący literacką wielkość. Czystość tej opowieści, to, że właśnie opowieść się liczy, nie opowiadający, że od tego dopiero, samego w sobie

trudnego do osiągnięcia momentu zaczynają się zalety i konstrukcyjne konsekwencje tej prozy, plasuje ją bardzo wysoko, jest to po prostu znakomite opowiadanie.

Stanisław Lem: „Eksperymentów mitograficznych w rodzaju prozy pani Tokarczuk nie uważam niestety za nic takiego, co olśni świat” (tenże świąteczny „Tygodnik Powszechny”). „Próbowałem czytać Tokarczuk i poprzestawałem na trzeciej kartce” (noworoczny „Przekrój”). Można by rzec: układanka

ułożyła się w logiczną całość, różnice upodobań są niezbite i nawet logicznie uzasadnione. Otóż nic się tu nie układa w logiczną całość, ponieważ argumenty nie tworzą całości z fanaberiami. Odczuwam przykrość, że muszę tu używać tekstu Olgi Tokarczuk (co może sprawiać wrażenie instrumentalnego traktowania), ale ta akurat proza daje mi podstawowy argument dla mojego obcowania z literaturą. Jest to argument zachwytu.

© JERZY PILCH,

■ fragment felietonu pt. „Dobra noc” w „Tygodniku Powszechnym” nr 2/1999

→ tam, bo przecież całej wieczności nie da się spędzić w jednym miejscu”.

Mit, dogmat i racjonalność trwają u Tokarczuk w ciągłym zwarcu. Żadne nie odpuszcza. Najdziwniejsze wierzenia pełnią się w granicach rozumu, ożywiając go podobnie jak herezja ożywia doktrynę. Ale nie byłoby ich, gdyby nie oszalałymi sprawny, racjonalny umysł nowoczesnego człowieka Zachodu.

Bohaterka „Biegunów”, Karen, charakteryzuje ten sposób pojmowania świata: „To umysł szaradzysty, umysł, który operuje odsyłaczami i przypisami jak nożem i widelcem. Umysł racjonalny i dyskursywny, samotny i sterylny. Umysł, który zdaje sobie ze wszystkiego sprawę, także i z tego, że niewiele rozumie; lecz porusza się szybko, bystry, inteligentny elektroniczny impuls, bez ograniczeń, łącząc wszystko ze wszystkim, przekonany, że wszystko to coś razem znaczy, ale nie wiemy – co”.

Autorka z szacunkiem i ciekawością używa filozofii i nauki do wyjaśniania owego „co”. Tam jednak, gdzie odpowiedzi już nie ma, usadowiła się ze swoją powieściową mitografią, przeczuwając słusznie, że ludzka potrzeba opowieści nie ma podłoża hedonistycznego, ale lękowe. Nie mam nic przeciwko terapii literaturą z użyciem techniki godzącej racjonalność i mit. Jej powieści, nie obrażając naszej inteligencji, wiedzy i doświadczenia, pozwalają odczuć jedność świata. Sztuka opowiadania ma w jej powieściach antropologiczne uzasadnienie. Jest to dyspozycja człowieka wypracowana na drodze ewolucji, której funkcją jest dostarczanie jednostce sensownych wyobrażeń pojedynczego życia. Tak, jej powieści są terapeutyczne i pocieszające. Tak, Olga Tokarczuk jest pisarką dobra, ale w tym rozumieniu, w jakim w ogóle ludzkie opowieści są lekarstwem na metafizyczny horror istnienia.

Jasność jako wartość polityczna

To, co przy okazji pierwszych powieści nazywano prostotą, łatwością, brakiem skomplikowania i dydaktyzmem, krytyka anglosaska nazwała krystaliczną jasnością. Z czasem, kiedy struktura i kompozycja jej powieści oraz opowiadań zaczęły coraz bardziej wskazywać na to, że historia jest nieciągła, pełna dziur, domniemań lub narracji alternatywnych, jasność składni i bezpośredniość w wyrażaniu przez bohate-

Tokarczuk jest nieustępliwa,

wręcz uparta, niczym nauczyciel, który wbrew uczniowi i jego rodzicom jest pewien, że ten może opanować trudną wiedzę.

rów swoich poglądów stała się etyczną marką Olgi Tokarczuk.

Kiedy czytamy taką powieść jak „Bieguni”, nie mówiąc o ogromnych „Księgach Jakubowych”, precyzja i jasność języka jest pracą wykonaną przez pisarza dla nas. Jej wartość wykracza daleko poza korzyści estetyczne. Mówienie jasno ze środka potwornie złożonej historii jest cnotą etyczną, ale także polityczną. Zakłada bowiem, że czytelnik, bez względu na rodzaj wykształcenia i poziom czytania, zasługuje na opowieść, która przełamie bariery rozumienia zjawisk i zdarzeń, tak z odległej przeszłości, jak i z dziejącej się współczesności.

Literatura w rękach Tokarczuk jest znów najważniejszym narzędziem demokratyzowania wiedzy: o historii, polityce, religii, ciele, tożsamości, naturze, śmierci. Nawet w mrocznych opowiadaniach z tomu „Ostatnie historie” (2004), gdzie poduszka mitu nie łagodzi głośnie zetknięcia z trumną, jasność języka nie przygasa. Mimo że to jej najbardziej mroczna, gorzka i przejmująca książka, a zdania bohaterów opowiadających o śmierci łamią się, kawałkują, osuwają w milczenie, to jednak czytelnik wie, o czym mówią i co się za tą pustką kryje.

Jasność nie usuwa trudności, ale pozwala je zrozumieć. Tokarczuk wydaje się w tym nieustępliwa, wręcz uparta, niczym nauczyciel, który wbrew uczniowi i jego rodzicom jest pewien, że ten może opanować trudną wiedzę. Jakby mówiła, że w świecie idei powinniśmy być równi w ich rozumieniu i w zabieraniu głosu na ich temat; pozbawieni obaw o śmieszność, jeśli nie pojmujemy ciemnego stylu mądrości.

Jasność języka to obietnica, że porozumienie jest możliwe. Domaganie się jasności wypowiedzi demistyfikuje tajemnice pozorne, desakralizuje uzurpatorską świętość. Nie omija to literatury, sztuki czy po-

szczególnych nauk. Tokarczuk beczere-monialnie wciąga je w swoje narracje, nie troszcząc się o zarzut dyletantyzmu czy powierzchowności, jakby mówiła: „hej, to nie jakieś cuda, to ważne ludzkie myśli, które każdy powinien móc zrozumieć”.

Nie jesteśmy jednością

Świat w jej powieściach jest jeden, wspólny, ludzki. Chcemy czy nie chcemy, jesteśmy rodziną, w dużej mierze toksyczną, o czym przekonują nas dawne mity i antyczne tragedie. Wszystkie jej książki (może poza „Biegunami”) interioryzują tę kłopotliwą jedność świata w przestrzeń rodziny.

To pierwsze i często jedyne miejsce, w którym uczymy się, jak żyć blisko z innymi. Dziecko z dorosłym, stary z młodym, mężczyzna z kobietą. A każdy z nas wprowadza do domu konstelację swojego życia: przyjaciół, znajomych, ukochanych, książki, wiedzę, poglądy, podróże, stroje, potrawy, opowieści i tajemnice. W dodatku mieszkamy w domach nawiedzonych przez historię lub nasze domy stoją na hierofanicznych miejscach, bo przecież wszędzie pod stopami mamy martwe istoty – ludzkie i nieludzkie. Najpełniej to zagęszczenie świata w domu dokonuje się w powieści „Dom dzienny, dom nocny”. Terytorium Dolnego Śląska, własnej Nowej Rudy, jest nasycone historią i niewyjawionymi opowieściami. Domy Marty, Kummer-nis, Paschalisa, Nożowników, domy wysiedlonych... wszystkie są, wbrew ich zamkniętym konstrukcjom, otwarte na świat i zaświaty. Nie da się w nich schronić nawet przed sobą, a zarazem ich symboliczna analogia z ciałem ustanawia bezalternatywną wartość kulturową i egzystencjalną domu.

„Domowość” jest jedną z kluczowych figur pisarstwa Olgi Tokarczuk. Do niedawna rodzina i świat były dwiema opozycyjnymi stronami ludzkiego życia. Dziś świat tak się zagęścił i zbliżył do siebie, że choć pozostajemy na różnych kontynentach, słyszymy się przez ściany.

Przez całą jej twórczość przewija się zarys jakiegoś projektu pedagogicznego; próba pomyślenia wizji wspólnoty jako swoistej „rodziny zastępczej” dla ludzkości. Nie ma ta rodzina jasnej struktury ani prostych ról „mamy” i „taty” do wypełnienia. Rodziny w jej utworach dalekie są od sielanki. Znajdziemy w nich przemoc, samotność, stłumienie, zawiedzione

uczucia, brak porozumienia. Jako prototyp lepszej wspólnoty, rodzina jest raczej zadaniem: jak żyć blisko z innymi i nie krzywdzić się wzajemnie? Jednym z warunków jest według Tokarczuk wyzwolenie się z gorsetu jednej, spójnej i kompletnej tożsamości: kobiety, mężczyzny, dziecka, ojca, matki, Polaka. Przekonuje nie tyle do płynnej i wymiennej tożsamości, ile do tego, że jesteśmy wielością, która mieści się swobodnie w jednej osobie.

O tym właśnie traktuje najbardziej „oświeceniowy” z jej utworów, czyli „Księgi Jakubowe”. Z cudowną przewrotnością Olga Tokarczuk umieściła akcję tej masońsko-mesjańskiej powieści o tysiące mil od salonowych centrów Rozumu, w samym środku sarmackiego obskurantyzmu. A filarami oświeconej wspólnoty uczyniła fałszywego mesjasza Jakuba Franka i niewydarzonego encyklopedystę księdza Benedykta Chmielowskiego. Ich porażka jest porażką pięknej wiary w lepszy świat i naiwnego rozumu, który chce ten świat wyjaśnić w książkach.

Nie smuci nas ich porażka. Wspólnota pod przywództwem silnych liderów, oparta na fundamencie religii lub wiedzy, łatwo wynaturza się w swoje przeciwieństwo. Wielu chce mówić w imieniu tych, którzy mają tylko głos. Nawet jeśli pozwalają nam mówić, to i tak słyszą w naszych słowach tylko głos polityczny. Posiadanie głosu politycznego to bardzo dużo. A jednak ten, kto cieszy się przywilejem jego posiadania, uświadamia sobie rychło, że pozwala on na krótki spazm głosowania, a ludzka treść tego głosu trwa w milczeniu lub rodzi złą mowę, zapętloną w spiralne zwoje gniewu, rozczarowania lub przeciwnie – bezkrytycznej aprobaty.

Z literaturą jest inaczej. Proza Olgi Tokarczuk jest wspaniałą pochwałą różnorodności i bogactwa mówiącego świata, który nie ma kulturowego centrum, do którego każdy skądś przybył i ma do opowiedzenia swoją historię. Nie ma w nim już wszystkowiedzącego narratora, nie ma głównego bohatera, każdy ma swoją wersję. Świat puchnie i trzeszczy od nadmiaru opowieści. Nie sprostą im encyklopedia księdza Chmielowskiego ani Wikipedia, rozsądzą każdą narrację historyczną i przygodową fabułę. Pozostaną szczątki i ułamki, z których swoje konstelacje buduje Pani Literatura.

© RYSZARD KOZIOŁEK



LEIF R. JANSSON / TT NEWS AGENCY / FORUM

Sztokholm 2011 r.

Do grona szczęśliwych

MONIKA OCHĘDOWSKA

Literacka Nagroda Nobla dla Olgi Tokarczuk to wydarzenie dla pokolenia dzisiejszych trzydziesto- i czterdziestolatków symboliczne. Potwierdzające, że do grona czytelników, których formowały jej pierwsze powieści, dołączyliśmy nieprzypadkowo. I to w momencie dla literatury szczególnym.

OD POZĄTKU LAT DZIEWIĘDZIESIĄTych polska literatura próbuje wysławiać nową rzeczywistość. Opisać jej gwałtowną, dla wielu nieprzyjemną metamorfozę. Narracja chce oddać niepewne, rozedrgane doświadczanie siebie wobec dysonansu doświadczania zmieniającego się świata.

Obserwując płynną, potransformacyjną kondycję kraju pisarze najwięcej uwagi poświęcają jednak rynkowi, traktując go jednocześnie jako źródło oraz ostateczny weryfikator przemian. Oślepiający, drapieżny kapitalizm zachwyca, uwodzi i demoralizuje. Wyludnia wsie i miasteczka, demontuje więzi rodzinne i społeczne, odbiera poczucie bezpieczeństwa. Ale literackie próby zbadania przyczyn i skutków gospo-

darczej i tożsamościowej destabilizacji szybko zamieniają się w protekcyjne, anachroniczne lamente i napomnienia, a powieść – w sumariusz narodowych gaf. To wtedy rodzi się – jak napisze później Dariusz Nowacki – podmiot frustracyjny. Z biegiem lat zmienia się poddawany jego krytyce model konsumpcji, ale zapiekła pretensja wciąż obecna jest w książkach debiutujących autorów. Nawet autorów urodzonych w czasie, gdy swoje pierwsze kroki w polu literackim stawiali pisarze urodzeni w latach 60.

Wśród podmiotów frustracyjnych szczęśliwie okrzykli jednak twórcy osobni, uciekający od łatwych diagnoz i doraźnej publicystyki, wyglądający poza ciasne krawędzie codzienności. ➔

→ Nie tyle chcieli nam coś o rzeczywistości powiedzieć, ile ją kreować. Dla nich rzeczywistość nie była tematem do opracowania, stawiała się nim dopiero dzięki literaturze, zamieniała się w ich książkach w niekompletne, międzygatunkowe historie, mitologie, dzienniki podróży i sylwy, ukazując życie w przekrojach poprzecznych. Taka perwersyjna joga mózgu – napisze o tamtych czasach Olga Tokarczuk – i to właśnie ona okazała się ostatecznie formująca dla pokolenia, którego literacka inicjacja przypadała na lata 90.

Izabela Filipiak, Natasza Goerke, Manuela Gretkowska, Andrzej Stasiuk, Marcin Świetlicki i wreszcie – Olga Tokarczuk. Tamte ich lektury, tak bardzo wtedy prywatne, jakby – parafrazując Tokarczuk – pisane tylko z myślą o nas i dla nas, do podróży, do połknięcia na raz, bez gryzienia – pozwalające z ulgą zniknąć z aktualizowanych w tamtym czasie map i układów współrzędnych, z biegiem lat przeobrażały się, odradzając na nowych ładach, w nowych językach. Dorastały i wyruszały w świat razem z nami. Literacką Nagrodę Nobla dla Olgi Tokarczuk odbieram jako wydarzenie dla naszego pokolenia symboliczne, potwierdzające, że do tamtego, liczego przecież grona szczęśliwych czytelników należeliśmy nieprzypadkowo.

Dwukrotna laureatka Nagrody Nike, pięciokrotna zdobywczyni Nagrody Nike (od szczęśliwych) czytelników, laureatka Międzynarodowego Bookera, także dwukrotnie do tej nagrody, rok po roku, nominowana. Pisarka odznaczona Srebrnym Medalem dla Zasłużonej Kulturze „Gloria Artis”. Wyróżniana w Szwecji i we Francji, za sprawą fantastycznych tłumaczeń na język angielski Antonii Lloyd-Jones i Jennifer Croft szeroko omawiana w ostatnich miesiącach w amerykańskiej prasie. Jej prozę filmowano („Pokoł” Agnieszki Holland), adaptowano na

Ma skłonność do zamazywania oczywistości, podawania w wątpliwość niezbitych argumentów, lubiła zmieniać zdania i poglądy.

operowe libretta („Ahat il! – siostra bogów” Aleksandra Nowaka) oraz komiksy.

Dlaczego Tokarczuk? Przecież nigdy nie rejestrowała tej nowej rzeczywistości, nie zajęła się problematyką społeczną, obyczajową ani polityczną, nie stanęła po żadnej ze stron. Miała raczej skłonność do zamazywania oczywistości, poddawania w wątpliwość niezbitych argumentów, lubiła zmieniać zdania i poglądy. Zawsze była „pomiędzy”. Nie wierzyła, że „przyszłością ludzkości jest parodia”, nie lansowała wygodnej tezy o bezsilności sztuki i literatury, wręcz przeciwnie – wciąż zadawała niemożliwe pytania o ich status. Aktualnych tematów dotykała najczęściej w prozach krótszych, opowiadaniach i esejach, wkładając staroświecki często kostium gatunku, który zaraz porzucała. Odświeżała lekko przykurzone literackie tradycje, odpominała martwe języki. Od zawsze wołała błądzić po zaświatach, zatapiać czytelnika w tekstach kultury, archetypach i mitach, w alternatywnej historii.

„Człowiek, społeczeństwo nie mogą bez mitu funkcjonować – mówiła w jednym z wywiadów. – To podstawowa siatka naszego rozumienia świata, relacji w nim zachodzących”. Za pomocą mitów badała więc płynność naszych czasów i charakterystyczne dla nich kolekcjonowanie wrażeń. Poszukiwanie porządku, własna tożsamość i podróż, a przede wszystkim parametafizyczny punkt wi-

dzenia – tak wypunktowała kiedyś w rozmowie z „Tygodnikiem” najważniejsze tematy swoich książek. Bo jakkolwiek byśmy opowiadali o świecie, bez wprowadzenia elementu, który zaburza realistyczną, skończoną równowagę powieści będzie niepełna – wyjaśniała.

„Zasada jest prosta” – napisała przewrotnie Tokarczuk w swojej ostatniej książce, wydanych rok temu „Opowiadaniach bizarnych” – „im bliżej środka, tym bardziej wszystko wydaje się prawdziwe i namacalne, im dalej zaś, tym mocniej świat jakby się rozłaził, jak zetlałe płótno w wilgoci”. Jak o tym opowiadać? Współczesna rzeczywistość to stan ciągłego negocjowania granic. Także granic i możliwości własnego „ja”, które od lat staje się coraz wyraźniejsze i bardziej dojmujące, wręcz anektuje świat. Z drugiej strony nasze życie to krótkie przejście, intermezzo, jak chciał Giles Deleuze. Napędza i mieli nas mityczny młyn świata, Młyn Prawieku. Istniejemy na pograniczach, obrzeżach, na marginesie, będąc jednocześnie w nieustannej migracji do centrum. Chcemy stworzyć społeczeństwo osiągnięć, stajemy się wolni od zewnętrznych instancji, które zmuszałyby nas do czegokolwiek, ale upajamy się maksymalizacją.

O tym pisze Olga Tokarczuk. Wyjątkowość poszukiwań literatury, którą nam zaproponowała, polega właśnie na tym, że stwarza szansę uchwycenia ruchu i pograniczności, rozpadania i tworzenia nowych konfiguracji, które w innych dyskursach są często niewyraźne. W „Opowiadaniach bizarnych” Tokarczuk pozostawia nas z obietnicą, że spisuje to, co zobaczyła na rubieżach, „uczciwie, tak jak było, niczego nie dodając, niczego nie ujmując; i liczę, że Czytelnik pomoże mi pojąć, co się tam wtedy wydarzyło i co mnie zrozumieć trudno, jako że peryferia świata naznaczają nas na zawsze tajemniczą niemocą”.

©© MONIKA OCHĘDOWSKA

TP

OLGA TOKARCZUK – SERWIS SPECJALNY

- Rozmowy z pisarką i opowiadania, które napisała specjalnie dla „Tygodnika” (jedno z nich w wersji do słuchania, czyta Anna Dymna).
- Archiwalne recenzje pierwszych książek i artykuły o najnowszych utworach.
- A także odcinek Podkastu Powszechnego, w którym o twórczości Noblistki opowiada krytyk literacki Grzegorz Jankowicz – to wszystko i jeszcze więcej materiałów o twórczości Olgi Tokarczuk, o której piszemy już od ćwierć wieku, znajduj Państwo w specjalnym serwisie pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/olgotokarczuk.

Świat z odwrotnej strony

OLGA TOKARCZUK

Kilka razy w życiu zdarzyło mi się czytać coś i mieć wrażenie, że już to znam, już to wiem, lecz nie jest to ten rodzaj wiedzy, który przychodzi z zewnątrz, ale potężne „tak” tkwiące we mnie i czekające na słowa.

WYCHOWAŁAM SIĘ W RODZINIE ATEISTYCZNEJ. WYZNANIA religijne były w niej traktowane jako egzotyczne mitologie, do których jednakże należy się odnosić z szacunkiem, bowiem stanowią wyraz ludzkich pragnień, cierpień i tęsknot. Gdy miałam sześć lat, moja ciocia pod nieobecność rodziców zorganizowała szybki chrzest. Po wszystkim z księdzem na plebanii pili kawę i rozmawiali. Pamiętam, że się nudziłam.

Kilka lat potem przyszedł okres dziecięcej religijności, treściowo nieprawdopodobnie poplątanej i eklektycznej, ale silnej i wywierającej duży wpływ na moje widzenie świata. Nie miałam z zewnątrz żadnego wsparcia, ale i nie potrzebowałam żadnego wsparcia. Wystarczałam sama sobie. I do tej pory zostało mi z tego okresu przekonanie, że przeżycia religijne to coś bardzo prywatnego, nawet intymnego, jak seks.

Jeszcze później przyszedł okres agresywnego buntu przeciw wszystkiemu, co zastane, ubrane w struktury i dogmaty. Psychologia była dla mnie nauką tajemną, poszukiwaniem odpowiedzi na wszelkie naprawdę ważne pytania: kim jestem, dlaczego jestem taka, jaka jestem, co to znaczy „ja” i co to znaczy „inni”? Świat wydawał mi się wtedy straszny, nieatrakcyjny i – miałam wtedy to uczucie – fałszywy (1980-85). Jakby był marną kserokopią jakiegoś innego świata. Do tej pory nie wiem, czy ta bylejałość brała się ze mnie, czy rzeczywistość tkwiła w tamtym świecie.

Fascynował mnie behawioryzm i socjobiologia, potem miałam krótki romans z psychoanalizą, a potem odkryłam Junga. Wydawało mi się, że Jung łączy dwie istotne dla mnie sprawy: zaufanie doświadczeniu i intelektowi oraz, z drugiej strony, tym wewnętrznym potężnym intuicjom, bez których życie byłoby trudne do przelknięcia jak kawałek suchego chleba. Niezwykłość filozofii Junga polegała na połączeniu dwóch sposobów postrzegania świata, które sama zawsze widziałam jako nie tyle rozłączone, co nawet sprzeczne. Z jednej strony myślenia racjonalistycznego, obiektywnego, przyczynowo-skutkowego, empirycznego, mówiąc w skrócie: doświadczenia naukowego, oraz z drugiej – całej sfery nieracjonalnej, intuicyjnej, niesprawdzał-



PIOTR MOŁĘCKI / AGENCJA GAZETA

Olga Tokarczuk, 1995 r.

nej, a więc subiektywnej, niepowtarzalnej i nieprzekazywalnej, w skrócie: doświadczenia religijnego. I jak to zwykle bywa z przeciwieństwami, ich połączenie nie okazało się prostą mieszanką, ale sumą, która tworzy nową, trzecią jakość.

Współczesne zaklęcie

Przeżycie religijne często bywa tak silne, tak przemożne, że domaga się ekspresji. Szukamy więc języka dla tego, co ze swej natury jest pozajęzykowe. Ludzie często uciekają się do słownika wiary, wyznania, w którym się wychowali. Ja nie miałam takiego słownika. Nigdy nie należałam do żadnej wspólnoty wyznaniowej, która mogłaby mnie wesprzeć. To, co pisał Jung, wydało mi się zrozumiałe i bliskie. Nie wymagało ode mnie wyrzeczenia się intelektu, nawyków myślenia. Nawiązywało do tego, czego nauczyłam się studiując psychologię, odwoływało się do moich pierwszych doświadczeń z pacjentami, z szacunkiem i uwagą odnosiło się do snów, zawsze bardzo ważnych w moim życiu. A przy tym nie było „odlotowe”.

Człowiekiem religijnym stałam się już jako osoba dorosła, na własną rękę próbując wszelkich możliwych dróg. W tej sferze swojego życia spostrzegam jakąś uporczywość, potrzebę, która domaga się przejawienia i zaspokojenia. Jung mówił, że potrzeba religijna jest rodzajem instynktu.

Widzę dwóch C.G. Jungów. Jeden jest młody, aktywny w świecie, twórczy, inteligentny, pełen erudycji, inspirujący, odważny, ➔

→ wnikliwy, genialny psycholog i psychoterapeuta. Drugi, trzydzieści lat później, jest mądry. To Jung filozof. Istnieją też dwie koncepcje Junga: ta pierwsza to niezwykle spójna i przenikliwa naukowa koncepcja psychologicznego funkcjonowania człowieka, druga zaś – to koncepcja filozoficzna.

Czytając Junga często spotykałam się z jego deklaracjami, w których podkreślał, że jest naukowcem, empirykiem, i czasem miałam nawet wrażenie, że robił to tak, jakby chciał się wytłumaczyć, albo jakby miało to być jakieś współczesne zaklęcie, coś w rodzaju magicznego zapewnienia, że mówi prawdę. Lecz im późniejsze pisma Junga, tym bardziej to zaklęcie – znak czasów, w których tylko to, co naukowo potwierdzone, może być prawdziwe – staje się niepotrzebne. Późne listy Junga, a także opowiadana autobiografia pokazują, że pod koniec życia podjął próbę nakreślenia czegoś większego niż naukowa koncepcja psychologiczna.

Tworzenie boga

Przede wszystkim więc świadomość i nieświadomość. Nosimy w sobie dwa światy. Jeden z nich to ten, który znamy i rozumiemy albo przynajmniej możemy zrozumieć. Tu mieści się nasze poczucie tożsamości, nasze „ja”. To jest świat słowa, świat poddający się nazywaniu, różnicowaniu i wartościowaniu.

Drugi świat jest trudny do określenia. Wiemy o nim, ponieważ przejawia się nam w obrazach, w snach i czasem na zewnątrz nas samych – w sztuce, w religii, w głębokich przeżyciach, w zdarzeniach synchronicznych. Pewne obszary tego świata są wspólne dla wszystkich ludzi. Inne są wspólne dla ludzi i zwierząt, nawet i roślin. Oba te światy są sprzeczne ze sobą, ale i pozostają jednym. Może będzie to ryzykowne porównanie, lecz dla mnie ta sprzeczność wyraża się w filozofii jako przeciwieństwo rozumu i wiary.

Jedynym ludzkim sposobem zjednoczenia tych przeciwieństw jest rozwój wewnętrzny, który Jung nazywa indywiduacją. Indywiduacja jest procesem spontanicznym i naturalnym, potencjalnie danym każdemu, polegającym na syntezie tego, co świadome, i tego, co nieświadome. Jest poszerzaniem świadomości, czyli poznawaniem coraz rozleglejszych obszarów siebie samego, a więc wychodzeniem w siebie poza to, co indywidualne, jednostkowe i niepowtarzalne. Tak rozumiany rozwój wewnętrzny ma dla mnie zawsze coś wspólnego z doświadczeniem religijnym.

Religijność to bowiem szukanie porządku poza sobą samym, to w pewnym sensie uwolnienie od siebie. Myślę, że przeciwieństwem religijności będzie więc nerwica, czyli beznadziejne i bolesne uplątanie się w siebie, w swoje lęki, obawy, rojenia „ja”. Nerwica to niemożność wyjścia poza siebie. Tam, gdzie zatryumfował indywidualizm rozumiany jako hołdy składane „osobowości” i przecenianie jednostkowej świadomości, religijność zostaje zepchnięta na margines życia, sprowadzona do sekciarskich utarczek o „prawdziwego Jedynego Boga” lub o dogmaty.

Istnieje jakaś bolesna, paradoksalna sprzeczność między świadomością odrębności jednostki a religijnością – w rozwoju człowieka jest jednak punkt, gdzie tak rozumiana indywidualność musi zostać poddana próbie, tzn. jednostka musi doświadczyć, że jej niepowtarzalność, wyjątkowość,

jej odrębność jest w pewnym sensie złudzeniem, jest etykietą, która przedmiot wprawdzie opisuje, ale nim nie jest. Osobowość jest tylko psychicznym narządem służącym przystosowaniu się do życia w konkretnym, zróżnicowanym na wszelkie sposoby świecie. To, co ulega przystosowaniu, leży głębiej. I nie pochodzi z „tego świata”. Religijność to właśnie życie psychiczne tego czegoś. To Jung nazywa jaźnią.

Od momentu nazwania (specjalnie nie używam tu słowa „odkrycia”, bo – nie tylko w przypadku Junga – odkrywanie jest reinterpretacją starego, zna-

lezeniem nowego języka) nieświadomości zbiorowej oraz jaźni, koncepcja Junga przestaje być dla mnie tylko koncepcją psychologiczną, a staje się koncepcją teologiczną. Jaźń rozumiem jako to miejsce w psyche człowieka, w które przenika Bóg. Albo – jak chcieliby np. gnostycy – które pochodzi bezpośrednio od Boga. Albo – jeszcze inaczej – to miejsce zamieszkania ducha lub umysłu. Bóg w nas, ale i poza nami. Bóg, w którego istnieniu partycypujemy. Bóg, którego znamy tylko z przejawów, niepoznawalny, ale którego jesteśmy częścią, którego nosimy w sobie. Bóg, który jest poza naszym rozróżnieniem dobra i zła, co znaczy, że dla nas zachowuje swoje podwójne oblicze, jest sumą przeciwieństw. Te przeciwieństwa ma zjednoczyć człowiek i to jest celem ludzkiego życia.

Znaczy to, że Bóg jest czymś, co potrzebuje refleksyjnej świadomości człowieka, żeby się przez nią samemu określać, a więc żeby się wciąż stawiać. W tym sensie poznając Boga, rozwijamy go, czy nawet – tworzymy go i urzeczywistniamy go w świecie. Wynika z tego, że jedynym wartym wysiłku ludzkim działaniem jest poznawanie tego, czym jest Bóg. Proces poznawania potrafię zaś określić tylko w terminach psychologicznych: jest to uświadamianie sobie coraz większych obszarów psyche, czyli coś, co Jung nazwał „indywiduacją” (Jung napisał: „Proces rozumienia zaczyna się w duszy indywiduum, to zaś oznacza psychologię”). Z pewnością coś podobnego miał na myśli święty Augustyn mówiąc: „Nie wychodzi na świat... We wnętrzu człowieka mieszka prawda”.

Można powiedzieć, że Bogu chodzi o to, żeby być w człowieku rozpoznany. Musi się więc objawiać, musi z nami nawiązać kontakt.

Biały szachowy konik

Samo istnienie świata zewnętrznego jest taką próbą nawiązania kontaktu. Jednakże nasze postrzeganie świata jest zapośredniczone przez nasz system nerwowy i inne procesy psycho-sensoryczne. Nie jesteśmy w stanie widzieć świata takim, jakim on jest. Widzimy go poprzez naszą psyche, co nie znaczy, że zewnętrzny świat nie istnieje.

Świat, który postrzegamy,
jest w pewnym sensie
przedłużeniem świata
wewnętrznego. Gdyby mnie
zapytano, co uważam za
najbardziej oczywisty dowód
na istnienie Boga, podałabym
właśnie synchroniczność.

Jung ukuł termin „rzeczywistość psychiczna”, funkcjonuje ona jako pośredni świat między domenami fizycznymi i psychicznymi. Byłby to obszar, gdzie te domeny spotkałyby się ze sobą i mieszały. Najlepszym przykładem funkcjonowania rzeczywistości psychicznej jest zjawisko synchroniczności, którą można rozumieć jako nieprzyczynową zasadę łączącą zdarzenia. Na takiej synchroniczności oparta jest większość technik wróżebnych, m.in. astrologia.

Żeby dać małej przykład takiego zdarzenia, przypomina mi się to, co opowiadała mi ostatnio moja znajoma. Będąc nad morzem z mężem, grywali codziennie w szachy, jednak któregoś dnia zginął im biały konik szachowy. Przeszukali cały dom, ale konik się nie znalazł. Żli i rozzarowani przestali grywać w szachy i teraz chodzą codziennie na długie spacery po plaży. W czasie takiego spaceru ich pies przyniósł im w zębach białego konika szachowego. Gdy go jednak obejrżeli dokładnie, okazało się, że to nie był ich konik. Ten pochodził z jakiegoś innego kompletu. Był mniejszy, bardziej ozdobny i wyszukany, i na dodatek przetrawiony przez słoną wodę. Wyglądało na to, że wyrzuciło go morze.

Dla mnie zdarzenia synchroniczne pokazują, że rzeczywistość jest poprzerastana sensami i znaczeniami istniejącymi w świecie niejako niezależnie od naszego postrzegania. Sądzę, że sens może być jedynie nadany przez świadomą istotę ludzką, wydaje mi się teraz przejawem pychy. Świat zawiera w sobie znaczenia. Daje nam znaki. Zdarzenia, które zachodzą w tym samym czasie i przestrzeni, posiadają jednocześnie pewne silne związki psychologiczne. Znaki na zewnątrz odpowiadają znakom wewnątrz.

Różnica między tym, co zewnętrzne, a tym, co wewnętrzne, jest pozorna. Świat, który postrzegamy, jest więc w pewnym sensie przedłużeniem świata wewnętrznego. Gdyby mnie zapytano, co uważam za najbardziej oczywisty dowód na istnienie Boga, podałabym właśnie synchroniczność.

Poza siebie

W ujęciu Junga człowiek, jak świat, jest trzystopniowy. Ma trzy natury, żyje w trzech światach: fizycznym, psychicznym i duchowym. Nauki przyrodnicze próbują zrozumieć, czym jest ciało i przyroda nieożywiona. Z nauk przyrodniczych

całkiem niedawno rozwinęła się psychologia. Z psychologii powinna rozwinąć się, czy też wierzę, że się rozwinie, dyscyplina, która będzie próbowała zrozumieć, czym jest duchowość człowieka.

Koncepcja Junga to pierwszy krok: pogranicze psychologii, teologii, próba znalezienia wspólnych mianowników z nowoczesną fizyką, nawiązanie do tradycji filozofii, mistyki, niezwykle wzbogacającej nasze myślenie tradycji Wschodu. Na tym rozległym obszarze nie istnieje jeszcze język tak precyzyjny i tak pełen mocy, żeby był w stanie ująć tak wiele różnych problemów. A może to wcale nie będzie język nauki (choć to też wydaje mi się możliwe). Może to będzie język sztuki, ponieważ sztuka jest w tej dobrej sytuacji, że nie musi być „obiektywna” i może „po prostu wsłuchiwać się w to, co spontanicznie mówi nam psyche”. (...)

Jung jednak przez całe życie powtarzał, że filozofem nie jest, że jest tylko empirykiem, opisuje i nazywa to, czego doświadczył w pracy ze swoimi pacjentami. Punkt wyjścia jest zupełnie nowy, opis świata zaczyna się w człowieku; wszystko zaczyna się i kończy w psyche człowieka, obiektywne zaczyna się od subiektywnego. Pod koniec życia napisał: „W istocie jest bardzo możliwe, że oglądamy świat z odwrotnej strony, że moglibyśmy znaleźć właściwą odpowiedź wtedy, gdybyśmy zmienili punkt widzenia i spojrzeli nań z drugiej strony, to znaczy nie od zewnątrz, lecz od wewnątrz”.

Dla mnie Jung pozostanie nie tylko jednym z największych myślicieli naszych czasów, ale i moim prywatnym mistrzem, który nie tyle naucza, co wskazuje drogę. Rozumiem jego język, który nazywa to, co przeczuwam – w ten sposób Jung budzi mnie z uśpienia. Z Jungiem zaczynałam od opisów sesji terapeutycznych i studiów przypadku, z Jungiem doceniłam starą mądrość astrologii, to z jego pism dowiedziałam się, co muszę przeczytać, żeby pójść dalej. Zawdzięczam mu też wiele inspiracji do pisania. Wciąż znajduję coś nowego dla siebie, czuję, że się zmieniam i dojrzewam. Ostatnio mam wrażenie, że Jung powoli wyprowadza mnie poza siebie.

© OLGA TOKARCZUK

■ „Tygodnik Powszechny” nr 46/1996

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabiń
Mariusz Sepiolo, Andrzej Stankiewicz,
Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik),
Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka,
Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frotow,
Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuczyńska (kierownik),
Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz,
Monika Ochędowska, Mateusz Gawron,
Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz,
Anna Dziwiał-Meller, Szymon Hołownia,
Jan Kłata, Stanisław Mancewicz,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus
Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk,
Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata
Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna
Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek,
ks. Tomasz Halik, ks. Michał Heller, o. Wacław
Hryniewicz, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota
Kozłowska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński,
Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski,
Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin
Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena
Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech,
Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina
Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik,
Adam Robiński, Dariusz Rosiak, abp Grzegorz Ryś,
Tadeusz Stawek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk,
Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz,
Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczyńska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11,
redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70,
reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83,
prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak: Księga ironii



CZAS POŻEGNAĆ SIĘ Z KSIĘGĄ JONASZA – opowieścią o zbuntowanym proroku, który wbrew sobie przyniósł dwa arcyważne przesłania.

Pierwsze: Bóg Izraela nie jest Bogiem plemiennym zatroskanym tylko o swój lud, Izrael, ale jest Bogiem wszystkich ludzi, również wrogów Hebrajczyków. Otacza ich opieką nie dlatego, że są tego godni, lecz dlatego, że są. Objawia się jako Bóg uniwersalny, pamiętający również o tych, którzy w niego nie wierzą i czi mu nie oddają. Bóg Izraela ma władzę nad ludami ziemi i nad przyrodą. Bydło z Niniwy też uczestniczy w akcie skruchy i postu. W rękach Boga jest sztorm, wielka ryba, robak, krzak rycynusa. Wszystko, co istnieje, Jemu tylko służy.

Drugie: Jonasz niesie tak ważne dla nas wszystkich przesłanie skruchy, wybaczenia. Bóg objawia się nie jako Bóg kary, odpłaty, surowej sprawiedliwości, ale jako Ten, który władny jest zmasać nasze winy. Jak czytamy w modlitewniku na dzień Rosz Haszana (Nowy Rok): „Dziś ważysz i sądzisz wszystkie nasze czyny... z pokorą i drzeniem wyroku wyglądamy. Ułituj się Panie, ulituj się nad nami! Jeżeliśmy dziećmi, niech Cię żal poruszy, a zmaż jako Ojciec winy naszej duszy. Jeżeli sługami – wzrok ku Tobie wnosim, aż rozjaśnisz los nasz, aż ulgę uprosim” (przeł. Izaak Cyłkow).

Na koniec chciałbym przywołać tylko księgę Zohar. Fantazja twórcy midraszy jest nieograniczona, ale zawsze zakorzeniona w biblijnej tradycji. Komentarz odnosi się tylko do pierwszego i drugiego rozdziału Jonasza. Z mistycznej księgi dowiadujemy się, że wielka ryba została stworzona dnia piątego razem z innymi istotami pływającymi i latającymi. Razem z krukami, które żywiły na pustyni Eliasza. Powstała tylko po to, by ocalić proroka. Wedle Zoharu zejście Jonasza na statek odnosi nas do symbolu zejścia duszy do tego świata i wejścia w ludzkie ciało. Gdy tylko dusza połączy się z ciałem, pełna jest niepokoju. Człowiek – jak ów statek – pokonuje burzliwe oceany niemal się rozbijając. Na tym świecie popełniamy błędy i grzechy, i wydaje się nam (jak Jonaszowi), że uciekniemy przed obecnością Boga. On domaga się od człowieka naprawy, ale człek skryty na dnie świata zwykle udaje, że nie słyszy wezwania. Wreszcie połyka go ryba, która jest grobem, ale po trzech dniach przywrócony zostaje do życia i wypłuty z ciemności. Tak też ziemia Izraela będzie w przyszłości poruszona do nowego życia. Początek Księgi zawiera więc w sobie metaforę ludzkiego życia i zarazem eschatologiczną obietnicę początku nowego świata.

Warto odnotować i takie ironiczne czytanie Księgi, w której nie człowiek-prorok kieruje swoimi losami, ale Bóg – i to często wbrew nam samym i wbrew naszemu zamiarom. Musimy się z tym godzić, co nakazuje i czego uczy Kohelet. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Obrzydzeni światem



CZŁOWIEK, JAK TO CZŁOWIEK, ALE BÓG „Czy nie weźmie w obronę swoich wybranych, którzy wołają do Niego dniem i nocą? Czyż będzie zwlekał w ich sprawie? Mówię wam, że szybko uczyni zadość sprawiedliwości. Czy jednak Syn Człowieczy znajdzie wiarę na ziemi, gdy przyjdzie?” – mówi Jezus. Apostoł Piotr wprost twierdzi, że „Pan wcale nie zwleka z dotrzymaniem obietnicy, jak niektórzy sądzą. Jest tylko wobec was cierpliwy i nie chce, aby ktokolwiek zginął”.

Po zapewnieniu o wierności Boga ewangelista Łukasz stawia pytanie: „Czy jednak Syn Człowieczy znajdzie wiarę na ziemi, gdy przyjdzie?”. To pytanie dotyczy również nas. Na początek warto sobie uprzytomnić, że Jezus, chcąc przyjść nam z pomocą, wcale nie potrzebuje ruszać się z miejsca. Nie musi pokonywać przestrzeni ani tracić czasu na podróż, gdyż jest zawsze i wszędzie. Tam również, a może przede wszystkim, gdzie człowiek najmniej się Go spodziewa. Najbardziej przekonującym dowodem na to są wydarzenia na Golgocie, ale równie ważny jest Nazaret, Betlejem, Samaria, w ogóle całe świeckie życie Jezusa na tym kawałeczku świata, który nazywamy Ziemią Świętą. To tam ludzie spotykali Boga i z Nim się rozmijali, ufali Mu i posądzali o najgorsze rzeczy, kochali Go i nienawidzili, dawali Mu schronienie i zdradzali, wreszcie zabili. To, czego nie mogli dokonać, to zmienić nastawienia Boga do nich.

Co sprawia, że Jezus dla jednych jest wszystkim, dla innych niczym? Papież Franciszek mówi: „Wiara przechodzi przez »aparat destylacyjny« i staje się ideologią. A w ideologiach nie ma Jezusa: Jego czułości, miłości, łagodności. Ideologie zawsze są surowe. Pod każdym względem sztywne. A kiedy chrześcijanin staje się wyznawcą ideologii, to stracił wiarę”. Dlatego dzisiaj mamy „Dwa modele Kościoła: Kościół tych ideologii, w które sam się uwikłał, i Kościół, który patrzy na Pana zbliżającego się do takiej rzeczywistości, jaką jest. (...) Nasze grzechy nie budzą w Nim obrzydzenia do nas (...) Ponieważ On przyszedł, aby leczyć, On przyszedł, aby zbawiać; nie, aby potępiać”.

A zatem ci, którzy nie brzydzą się światem, czyli mają odwagę widzieć świat takim, jaki jest, piękny i obrzydliwy, którzy również siebie tak widzą – ci już znaleźli odpowiedź na pytanie: „Gdzie jest Bóg i dlaczego milczy?”. Jest w tym wszystkim, co się tu i teraz dzieje. I mówi do nas niekoniecznie szeptem w intymności serca, ale zwiłokrotnia skargą pokrzywdzonych, również przez nas. Chcąc się ustrzec przed wsiąknięciem w obrzydliwość świata, nie ma innego sposobu, jak wejść w nią, wierząc, że to sam Bóg tam nas posyła i prowadzi, by przez nas odpowiedzieć tym, którzy u Niego szukają ratunku. Częściej, zamiast „Panie, przyjdź”, winniśmy prosić „Panie, poślij mnie!”. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Szczęśliwe łono

Nie sposób stać się
człowiekiem mądrym
i dobrym w krótkim
czasie, ale osiąga się
to mozolną medytacją,
odpowiednim sposobem
życia, doświadczeniem,
nakładem czasu,
ćwiczeniem i pragnieniem
dobrych czynów.

PRZYPISYWANE
ANTONIEMU WIELKIEMU



Kto może powiedzieć:
„Nikt przeze mnie
nie płakał. Nigdy w nikim
nie wzbudzałem strachu”.

EGIPSKA KSIĘGA UMARŁYCH



Wybrał PIOTR SIKORA



„GDY JEZUS MÓWIŁ, jakaś kobieta z tłumu głośno zawołała do Niego: Błogosławione łono, które Cię nosiło, i piersi, które ssałeś. Lecz On rzekł: Tak, błogosławieni są raczej ci, którzy słuchają słowa Bożego i go przestrzegają” (Łk 11, 27-28). Niedawno Liturgia przyniosła nam to właśnie Słowo. Usłyszeliśmy je? Strzeżemy go w swoim wnętrzu? Jeśli nie – to skąd ma się w nas brać „szczęście”?

Wcale nierzadko mówi się o tym wydarzeniu (ni to żartem, ale chyba jednak serio), że się „Panu Jezusowi nie chwali”! Że jakby chciał zademonstrować jakiś niespodziewany zupełnie dystans do Maryi; jakby wziąć w nawias Jej wielkość i intymność łączącej ich relacji; jakby pomniejszyć Jej szczęście płynące z Jej wyjątkowości.

Nie. Nic takiego. Jezus nie zamierza w żaden sposób bagatelizować szczęścia swojej Matki. Mówi natomiast, że takie samo szczęście Bóg przygotował każdemu z nas. I że łono każdego z nas może być błogosławione.

Staje się takim wówczas, gdy człowiek zatrzymuje w nim Słowo Boże. Gdy go „strzeże” (w ten sposób tłumaczy św. Hieronim: „*beati, qui audiunt verbum Dei et custodiunt*”). Słowo trzeba ustrzec – tak jak kobieta ochrania poczęte w sobie życie. W końcu Słowo się z nas rodzi – wtedy, gdy wprowadzamy je w życie – tzn. gdy staje się czynem.

W tym fragmencie Jezus mówi wszakże o szczęściu (błogosławieństwie), którego doświadczamy, gdy jesteśmy brzemienni

Słowem – kiedy nie odbiło się ono od naszych uszu jak od ściany; ani nie przeleciało przez nas (wpuszczone jednym uchem, drugim – wypuszczone).

Nie. Nie przeleciało. Zatrzymaliśmy je w naszym wnętrzu: w łonie. Właśnie w łonie, a nie w „sercu”.

Skoro „w łonie”, to znaczy, że czeka nas radość doświadczenia jego wzrostu. Będziemy wyczuwać jego życie w nas. Co więcej, dość długi czas nasze szczęście pozostanie naszą intymną tajemnicą – ukrytą przed ludzkimi oczami; dopiero po dłuższym czasie stanie się ona widoczna i znana innym. Aż poczujemy, że wypełnia nas wręcz całkowicie.

W zrozumieniu tego szczęścia liczy się także precyzyjnie zapisany przez św. Łukasza kontekst Jezusowej wypowiedzi. Pierwsze zdanie przytoczonej na wstępie perykopy brzmi dosłownie następująco: „Stało się jednak, gdy te (rzeczy) powiedział, iż jakaś kobieta...”. Jakie rzeczy? O czym Jezus mówi wcześniej?

Wcześniej (zob. Łk 11, 24-26) Pan opowiada o człowieku, który – po wyrzuceniu zeń złego ducha – pozostał pusty w swoim wnętrzu – jak mieszkanie wyściełane i posprzątane, przez nikogo niezajęte. Jego stan staje się po chwili gorszy niż uprzedni, ponieważ zły duch nie tylko sam wraca, skąd wyszedł, ale jeszcze „przyprowadza ze sobą siedmiu innych – gorszych niż on”.

Jezus mówi: Uważajcie. Nie zostawiajcie waszych wnętrz pustymi. Niech się staną jak łono, w którym przyjmujecie Słowo Boga. Z nim we wnętrzu będziecie nie tylko bezpieczni, ale i... szczęśliwi. ©

CYTANIA LITURGICZNE (20 – 27 X)

29. niedziela zwykła: Wj 17, 8-13;
Ps 121; 2 Tm 3, 14 – 4, 2; Łk 18, 1-8;
Poniedziałek: Rz 4, 20-25; Łk 1; Łk 12, 13-21;
Wtorek: Rz 5, 12. 15b. 17-19. 20b-21;
Ps 40; Łk 12, 35-38;
Środa: Rz 6, 12-18; Ps 124; Łk 12, 39-48;

Czwartek: Rz 6, 19-23; Ps 1; Łk 12, 49-53;
Piątek: Rz 7, 18-25a;
Ps 119; Łk 12, 54-59;
Sobota: Rz 8, 1-11; Ps 24; Łk 13, 1-9;
30. niedziela zwykła: Syr 35, 12-14. 16-18;
Ps 34; 2 Tm 4, 6-9. 16-18; Łk 18, 9-14.



POLITYKA PODESZŁA DO PŁOTA

Wybory to czas wzmożenia, nie tylko dla polityków i bukmacherów.

Wyraźniej widać to, co zwykle pozostaje w cieniu.

Przez szczeliny między kadencjami wpada niemało światła.

PIOTR STANKIEWICZ

CZY WIDZIELI PAŃSTWO KIEDYŚ PRZED 2015 r. w Polsce tabliczkę z wizerunkiem polityka w czyimś ogródku? Albo na zderzaku polskiego samochodu naklejkę z polityczną deklaracją? Albo powieszony z własnej woli baner na prywatnym płocie? Może się mylę, ale uważam, że to była zawsze rzadkość. Aż do teraz.

Polityka oddolna

Kiedy kilka lat temu mieszkalem w Stanach, niezmiernie fascynowało mnie, jak organicznie rozpolitykowane jest tamto społeczeństwo. Podróż przez miasteczka Nebraska przynosiła coraz bardziej intrygujące odkrycia. Wydawało się, że to nawet nie kampania Obamy i Romneya rozpalala głębie kontynentu, ale że iskra wyborów do lokalnych rad szkolnych wystarczała, by wybuchł oddolny pożar. Naklejki na samochodach, plakaty na posesjach. Refleksja barbarzyńcy na stypendium była jasna: może i nie taki znowu tutaj rajski ogród, ale społeczeństwo obywatelskie mają niezłe. To właśnie społeczeństwo obywatelskie, które w Polsce każe nam budować od lat.

Czy właśnie nie zaczęło nam się udawać? Zaczynając od znaczków i naklejek: jakąś forpocztą była wlepka „raty za mnie spłaca 500+”, która w pewnym momencie zaczęła się pojawiać na polskich samochodach. Co ciekawe, nie jest oczywiście, czy ta deklaracja jest pochwałą

transferów socjalnych, czy właśnie kpina z nich. Przede wszystkim jest jednak *coming outem*, którego dotąd brakowało. A jeszcze wyraźniejsza zmiana zaczęła się przy ostatniej kampanii parlamentarnej. Trudno tu o twarde statystyki, uważam jednak, że jesień 2019 r. to czas, kiedy Polki i Polacy zaczęli znacznie śmieiej wywieszać plakaty we własnych oknach i wieszać banery na płotach.

I jeżeli to prawda – jest to prawda budująca. Nie uważam, by była to zasługa działań lub zaniechań PiS, względnie anty-PiS. Co prawda raport o „politycznym cynizmie Polaków” autorstwa Sadury i Sierakowskiego sugeruje, że wyborcy PiS są bardziej „tożsamościowi” niż inni, to znaczy głębiej i prawdziwiej identyfikują się ze swoją partią, chodzą na spotkania wyborcze i bardziej otwarcie swoje poparcie manifestują. W głębszym jednak sensie mówimy tutaj po prostu (aż!) o dojrzewaniu demokracji w Polsce.

Oczywiście to paradoks (jeśli nie prowokacja) mówić takie rzeczy w chwili, kiedy tyle lamentu się wylewa, że demokracja nad Wisłą umiera. Przypomnę jednak, na co zwrócił niedawno uwagę Andrzej Leder na łamach „Magazynu Piśmo”. Demokracje „stare” czy „dojrzałe” to te, które już zaznały na własnej skórze, jak absurdalne (Trump, brexit) czy wręcz tragiczne (Hitler) konsekwencje mogą mieć demokratyczne wybory. Innymi słowy: miarą demokratycznej dojrzałości

społeczeństwa jest to, że maksymę Churchilla o demokracji jako o nie najlepszym ustroju zna ono nie z książek, lecz z własnego doświadczenia. I mimo wszystko tej demokracji się uporczywie trzyma – bo nie ma lepszego systemu.

Czy nie jest to lekcja, którą w Polsce odbieramy właśnie teraz? Jej wizualną miarą jest coraz większa otwartość, z jaką rozwieszaliśmy te plakaty. Nasza demokracja parlamentarna wkracza już w swoją czwartą dekadę i stajemy się po prostu coraz lepsi w te klocki. Coraz bardziej rozumiemy, że polityczność jest bliżej, niż myślimy, a sam proces polityczny nie jest ani taki bezbłędny, ani taki czysty, jak się „obrońcom demokracji” wydaje. I że mimo to nie jest czymś wstydliwym. Stara idea władzy robionej przez ludzi i dla ludzi wydaje się powoli zapuszczać korzenie nad Wisłą. Oczywiście dobrze by było, żeby ktoś ich zaraz nie wyrwał w imię spalanej ziemi. Ale to zupełnie inny temat.

Oczywiście nie tylko o płoty i zderzaki tu chodzi. Trudno nie zauważyć, że dla różnych środowisk, ale też różnych pokoleń, ostatnie cztery lata były solidną lekcją politycznego zaangażowania. Lata 2015-19 to zarazem „dobry czas dla Polski”, jak i czas ciągłych manifestacji, demonstacji, protestów. Przypadkowa zbieżność? Nie jest bynajmniej tak, że wzmożenia doznał tylko najbardziej radykalny anty-PiS. Jest raczej odwrotnie: →

⇒ impulsy rozeszły się naprawdę daleko, wzbudzając aktywność na skali zaskakująco szerokiej.

Polityka irracjonalna

W czasie okołowyborczym ostrzej niż zwykle widać, jak bardzo irracjonalne jest życie polityczne. Widać to już w tym, co wyżej: protesty przeciwko „niszczeniu demokracji” są zarazem... tworzeniem tej demokracji. Są bowiem oddolnym, konstruktywnym ruchem, w którym część społeczeństwa – nierzadko wcześniej bierna – tyleż podejmuje świadomą decyzję o zaangażowaniu politycznym, co akceptuje polityczność samej sytuacji protestu. Brzmi trochę dziwnie. Ale taka właśnie jest polityka: irracjonalna.

Najlepiej o tym wiedzą zawodowi politycy i polityczki, a także ci, którzy dopiero aspirują do statusu „zawodowych”. Przez ostatnie tygodnie obserwowaliśmy ich na ekranach telewizorów i laptopów, patrzyliśmy, jak gimnastykowali się, starając się trafić w nasze gusta, żeby dostać się na Wiejską. Oni dobrze wiedzą (a ci naprawdę dobrzy nie tyle wiedzą, co instynktownie czują), że szukanie i znajdowanie poparcia, nawiązywanie łączności z elektoratem, próba trafienia na właściwą drogę – to jest ciemny i irracjonalny labirynt, gdzie widać tylko na pół kroku do przodu. Czy raczej: to jest wnętrze kombajnu, w którym wszystko się stale rusza, trzęsie i młóci. Nawet największy wyjadacz porusza się w nim po omacku. Ambicją jest nie dać się zgnieść, a *damage control* – to stały tryb działania.

Na wojnie pierwszy kontakt z przeciwnikiem sprawia, że wszystkie, nawet najlepiej dopracowane plany idą do kosza. Trochę podobnie w sporcie – rysować strzałki i ustalać taktykę można do momentu pierwszego gwizdka. A potem objawia się Życie: rozrzuca klocki, którymi się bawiliśmy. Jak u Hitchcocka: najpierw trzęsienie ziemi, a potem amplituda rośnię. Te wszystkie krzywe szczególnie gorączkowo drgają w dzisiejszych czasach. Żyjemy przecież w stanie głębokiej polaryzacji, czyli mamy nie tyle wrogie sobie polityczne obozy, co alternatywne rzeczywistości, między którymi trudno już nawet nie o dialog, ale w ogóle o zgodę co do jakichkolwiek faktów. Wyparowały nam wspólne mianowniki. Taka rzeczywistość jest coraz bardziej niestabilna i coraz mniej przewidywalna. Jak to trafnie punktuje Michał Sutowski: „Jeden *fake*

Miarą demokratycznej dojrzałości społeczeństwa jest to, że maksymę Churchilla o demokracji jako o nie najlepszym ustroju zna ono nie z książek, lecz z doświadczenia.

**I mimo wszystko
tej demokracji się
uporczywie trzyma.**

news może obalić rząd, zdestabilizować region, wywołać zamieszki, a jedno nagranie z knajpy rozmontować politykę surowcową państwa”.

Polityka przewrotna

Nie trzeba być zresztą politykiem ani publicystą, by zobaczyć powyższe. Świetnie widać to w mikroskali, w tych wszystkich codziennych konfrontacjach, stałym ścieraniu się i ucieraniu, które jest istotą demokratycznej polityki. Czas okołowyborczy to czas przymusowego „wyjścia z bańki” – zetknięcia z rzeczywistością społeczną spoza naszych najbliższych kręgów. W dniu wyborów społeczeństwo, ten Wielki Niemowa, mówi wielkie „Sprawdzam” wszystkim aspirującym politykom, politologom, publicystom i profetom. Ale nie tylko. Również i nam, szarakom, przypomina, że inne światy są bliżej, niż myślimy.

I znów: to się wydaje szczególnie aktualne w dzisiejszych czasach. Kiedyś strefa politycznego dyskomfortu narzucała się – chyba – jakoś ostrzej, wyraźniej. „Nie mieć telewizora” to dzisiaj norma, ba, kompulsja w moim pokoleniu. W latach 90. było to jednak nie do pomyślenia. Przekaz medialno-informacyjny był bardziej zuniformizowany, trudniej było od niego uciec, trudniej było się zamykać w kółku myślących tak samo. Dzisiaj jest inaczej. Dużo łatwiej i niemal odruchowo kształtujemy naszą sieć społeczną tak, by dawała przyjemne wrażenie, że wszyscy się ze wszystkimi zgadzają. Stąd też każdorazowe wyjście z niej jest małym świętem. Konfrontacją nie tylko z innymi poglądami, ale więcej, w ogóle zetknięciem z zewnętrzną rzeczywistością. Zetknię-

ciem, a częściej zderzeniem. Bolesnym, ale i cennym.

Każdy zna to uczucie. Przykład najprostszy: mamy ulubionego polityka czy polityczkę. Lajkujemy jej wpisy, oglądamy przemowy na YouTube. Jak przyjdzie co do czego, to może nawet wywiesimy ten plakat w oknie. Pięknie. I niby wiemy, że nie wszyscy podzielają naszą fascynację i wybór, ale i tak zawsze wraca zaskoczenie, gdy wdamy się w rozmowę z kimś z innej bajki. Ów ktoś nie zagłusuje na naszą faworytkę, to jasne. Ale często okaże się, że w ogóle nawet o niej nie słyszał. Że nazwisko jest pustym dźwiękiem. A być może – to jest wbrew pozorom całkiem możliwe – nasz rozmówca nie słyszał nawet, że w ogóle są jakieś wybory.

I to jest wielka przewrotność polityki: im bliżej się jej przyglądamy, tym bardziej zapominamy, że reszta świata patrzy zupełnie gdzie indziej.

Polityka przypadkowa

A kogo powyższe nie przekonuje, ten niech pamięta o przypadku. Im bliżej było do dnia wyborów, tym bardziej polityka upodabniała się do pola bitwy czy meczu o wysoką stawkę. Nie w sensie brutalności (choć często też), ale w tym znaczeniu, że coraz większą rolę, nie do przecenienia, nie do pominięcia, odgrywa przypadek.

Pomyślmy tylko. Kto mógł przewidzieć, że w samej końcówce polskiej kampanii Trump nagle ogłosi zniesienie wiz? Kto mógł przewidzieć, że 14 dni przed wyborami umrze ojciec premiera? Albo że na 65 godzin przed ciszą wyborczą umrze Jan Szyszko? Czy też, na jaśniejszej nucie, kto mógł przypuszczać, że na zaledwie 35 godzin przed ciszą Olga Tokarczuk dostanie Nobla?

Każde z tych zdarzeń mogło przechylić dłoń Nike, która się wiecznie waha. Ale jak? W którą stronę? Tego nigdy nie da się ustalić. Co najciekawsze – tego nie da się stwierdzić nawet po fakcie. Nike pocałowała w czoło tych, których miała pocałować. Ale i tak nie wiadomo, dlaczego właśnie ich. Analizy powyborcze nigdy nie mają ostatecznej puenty. I to jest w jakimś sensie fascynujące czy wręcz wspaniałe. Delikatna groza niepoznawalności, ciemność, niemożliwe do poskromienia żywioły, które się tam kłębią. Albo weselszy obrazek: kampania wyborcza jest jak festiwal techno, na którym gra naraz dzie-

sięciu didżejów. Każdy naszprycowany czym innym i każdy ma sto suwaków na konsolce. Wszystko się dzieje w czasie rzeczywistym, a nawet zapętlonym. Rano się budzimy... i coś, kto ustali, który ruch którego z suwaków odpowiada za nasz dzisiejszy ból głowy?

Polityka jurodiwego

Ale i tak najciekawsze jest to, co na marginesach. Poza mainstreamem, poza tym, co możliwe do pokazania przed godziną dwudziestą trzecią. A tej jesieni na marginesach polityki – jakże barwnie kolorowanych – nie wydarzy się już chyba nic ciekawszego niż wypuszczenie Zbigniewa Stonogi z więzienia.

Dla tych z Państwa, którzy nie wiedzą (niewiedza zarazem błogosławiona, jak i godna pożałowania): Zbigniew Stonoga jest przedsiębiorcą i filantropem, niespełnionym politykiem, ale aż nadto spełnionym skandalistą i internetową sławą. W czerwcu 2015 r. opublikował na Facebooku akta postępowania w sprawie afery podsłuchowej, ale największą sławę przyniosło mu nagranie z października tegoż roku, gdy tuż po wyborach skomentował ich wyniki – w sposób skrajnie wulgarny, ale zarazem surrealistycznie barokowy. Niektóre zwroty z tej wulgarnej tyrady przeszły do języka potocznego („coś się popsuło i nie było mnie słyszać”, „będą wam odbierały smak życia”, „nie warto było robić nic”), a samo nagranie doczekało się mnóstwa próbek pod muzykę – od Vivaldiego po Lady Gagę – i milionów sumarycznych wyświetleń.

Zbigniew Stonoga jest postacią kompletnie „spoza” – spoza mainstreamu

**To jest wielka
przewrotność polityki:**
im bliżej się jej przyglądamy,
tym bardziej zapominamy,
że reszta świata patrzy
zupełnie gdzie indziej.

i spoza logiki. Zarazem, jak to w internecie bywa, nie oznacza to, że jest nieznany. Wręcz przeciwnie. Jego profil na Facebooku śledzi więcej osób niż oficjalne profile PiS, PO, PSL i Lewicy razem wzięte. Niczym w starej dobrej definicji łączy elementy *tremendum* i *fascinans*. Jest radykalnie wulgarny, niewytłumaczalnie napastliwy... ale w sposób, który mimo wszystko czyni go intrygującym. Jest jurodiwym na naszą miarę. Jest postacią z innego świata, z innego obrządku. Jest nieustającą transgresją i samozaprzeczeniem. Jest rybą w wodzie mediów elektronicznych, ale też staropolskim warcholem, żywcem przeniesionym z czasów Kmicica.

Świat nie rozpadł się dlatego, że Stonoga się w nim pojawił, ale nie był najwyraźniej w stanie tolerować jego ciągłej obecności. 7 maja 2017 r. Stonoga został zatrzymany i spędził w aresztach i więzieniach niemal dwa i pół roku. Nie wiem, na skutek jakiego splotu zdarzeń wyszedł na wolność niespełna miesiąc przed wyborami. Ale wyszedł. I festiwal niesamowitości rozpoczął się na nowo.

W pierwszej relacji wideo Stonoga wybaczał politykom partii rządzącej i sam

prosił o wybaczenie, z żarliwością proka apelując o powstrzymanie nienawiści w życiu publicznym. Zawieszenie jadu trwało mniej niż dobę. Potem ponownie zaczął zamieszczać w sieci wulgarno-surrealne tyrady, w których oskarża wszystkich o wszystko, grozi „kwitami” i tropi przekrety na dziewięciocyfrowe kwoty. Jednocześnie zaczął jeździć po Polsce i zbierać pieniądze dla chorych i potrzebujących. I publikować nagrania, które naprawdę trudno wyjaśnić. To jakby precesja symulaków, która wróciła sama do siebie. Stonoga, który jest znany z tego, że remiksują go inni, zaczął bowiem remiksować sam siebie, śpiewając własne teksty do znanych melodii.

Z lekką przekorą chciałoby się powiedzieć, że Stonoga jest soczewką, która skupia paradoksy i pytania naszych czasów. Wszechdostępność nowych mediów, kulturę remiksu, pozorną łatwość internetowej sławy, wreszcie pytanie o polityczność tego wszystkiego. A zdumiewający akompaniament najgorszych przekleństw? Cóż, Stonoga jest takim bardem opozycji, na jakiego zasługujemy. Po co nam „Polityka” Patryka Vegi, skoro Stonoga w prawdziwym życiu robi więcej niż Vega na ekranie? Ucieleśnia sumę tego wszystkiego, czego „fajna Polska” się wstydzi i czego nigdy na swój temat nie przyzna. Czy to nie dlatego z taką perwersyjną przyjemnością go ogląda?

Stonoga jest też lustrem i grzeszną rozkoszą polskiej polityki. Ona widzi w nim wszystko to, czym wie, że już być nie powinna, ale z czego ciągle nie może się do końca wyzwolić.

© PIOTR STANKIEWICZ

TP

W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA”

magazyn literacki KSIĄŻKI W TYGODNIKU

Tym razem tematem numeru uczyniliśmy opowiadanie, gatunek literacki, który w ostatnich latach powrócił w wielkim stylu. MONIKA OCHEŃDOWSKA i GRZEGORZ BOGDAŁ opowiedzą o najważniejszych twórcach krótkich form ostatnich lat i dekad, a MACIEJ MIŁKOWSKI w rozmowie z Michałem Sowińskim spróbuje odpowiedzieć na pytanie, czym właściwie opowiadanie jest (lub też czym być nie powinno). Oprócz tego publikujemy wiele recenzji nowości wydawniczych oraz teksty naszych stałych felietonistów, czyli JOANNY OLECH, STANISŁAWA BAJTLIKA, ks. ADAMA BONIECKIEGO, INGI IWASIÓW oraz PIOTRA ŚLIWIŃSKIEGO.

W magazynie także **specjalny dodatek** powstały we współpracy z wydawnictwem Ossolineum

poświęcony Bibliotece Narodowej, najważniejszej polskiej serii wydawniczej, która w tym roku obchodzi stulecie istnienia. Zapraszamy do lektury!

100 LAT
SERII
OSSOLINEUM

BIBLIOTEKA
NARODOWA

Gdańsk stawia tamę

ANNA GOLUS

Kampania przeciwko programowi edukacji seksualnej dla licealistów odwołuje się do haseł obrony przed pedofilią, chociaż skierowany jest on do nastolatków, którzy mogą już zgodnie z prawem uprawiać seks.

NAUKA W SZKOLE ŚREDNIEJ TO DLA tegorocznych pierwszoklasistów z Gdańska nie lada wyzwanie – nie tylko ze względu na podwójny rocznik, ale przede wszystkim nowe, straszne niebezpieczeństwa, jakie czyhają na nich w murach szkół, do których z takim trudem się dostali.

Pierwsze zebrania z rodzicami. Przed wejściem do szkół średnich w Gdańsku przedstawiciele stowarzyszenia Odpowiedzialny Gdańsk rozdają rodzicom ulotki i mniej lub bardziej nachalnie informują o zagrożeniu, na jakie narażeni są uczniowie pierwszych klas. O co chodzi? Przemęczenie spowodowane nauką na dwie zmiany? Problemy z ochroną przeciwpożarową i ewakuacją podwójnego rocznika? Nie, deprawacja! A konkretnie: samorządowy program edukacji psychoseksualnej ZdrovveLove.

Uwaga! Gender!

„Tolerancji tak, nie deprawacji. Chrońmy nasze dzieci w naszych szkołach. Czy wiesz, co kryje się za Zdrovve Love i »Modelem na rzecz równego traktowania«? – czytają rodzice nastolatków na jednej stronie ulotki. Po drugiej stronie znajdują odpowiedź: „Obok tzw. edukacji tolerancyjno-równościowej wdraża się w szkołach zajęcia, które dostarczają nierzetelną wiedzę o orientacji seksualnej i o tożsamości płciowej LGBT. Jest to pseudo-edukacja, która narzuca ideologię gender oraz realizuje postulaty ruchów promujących kontrowersyjne praktyki seksualne. Ideologia ta forsuje celowo dezorientację dzieci wobec tożsamości płciowej i prowadzi do zaburzeń w rozwoju psychoseksualnym”. Dalej rodzice otrzymują kilka porad, jak chronić swoje dzieci przed deprawacją w szkole.

Jedną z metod ochrony jest podpisanie i przekazanie dyrekcji „Rodzicielskiego

oświadczenia wychowawczego” przygotowanego przez Ordo Iuris i wręczenia rodzicom wraz z ulotką pod szkołą. Rodzic może oświadczyć, że żąda możliwości wyrażania pisemnej zgody na udział dziecka w zajęciach, których treść wykracza poza podstawę programową i odnosi się w całości lub częściowo do problematyki m.in. edukacji seksualnej, pojęć płci kulturowej lub społecznej, tożsamości płciowej, przeciwdziałania dyskryminacji, przeciwdziałania przemocy w powiązaniu z tematyką seksualności, profilaktyki ciąży i chorób przenoszonych drogą płciową.

Na oświadczeniu znajduje się również informacja, że składający je rodzic „korzysta z programu wsparcia prawnego Instytutu na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris”, oraz miejsce na podpis dyrektora szkoły, potwierdzający otrzymanie pisma. Oświadczenie wygląda profesjonalnie, ale nie bardzo wiadomo, czemu służy (poza podkreśleniem władzy rodziców nad dzieckiem), bo rodzice i tak muszą wyrazić zgodę na zajęcia ZdrovveLove – i to nie na wszystkie naraz, jak w przypadku religii, etyki i wychowania do życia w rodzinie, lecz osobno na każdy z tematów poruszanych na zajęciach. Rodzic może więc zgodzić się na udział jego dziecka w zajęciach poświęconych bezpiecznym relacjom czy rozwojowi psychoseksualnemu i nie wyrazić zgody na udział dziecka w zajęciach o antykoncepcji czy rolach płciowych i społecznych.

ZdrovveLove to przygotowany na zlecenie miasta i przez nie finansowany program edukacji psychoseksualnej dla uczniów pierwszych klas szkół średnich. Program ten, opracowany przez Polskie Towarzystwo Programów Zdrowotnych, obejmuje osiem 45-minutowych warsztatów poświęconych następującym tematom: wprowadzenie do seksualności, dojrzewanie i rozwój psychoseksualny,

anatomia (zdrowie i higiena), antykoncepcja i metody planowania rodziny, ryzykowne zachowania seksualne i choroby przenoszone drogą płciową, role płciowe i społeczne, bezpieczne relacje. Ostatniemu tematowi poświęcone są dwa zajęcia, bo jednym z głównych celów tego programu jest uczenie młodzieży asertywności, mówienia „nie” i rozumienia, że „nie” zawsze znaczy „nie”, czyli przeciwdziałanie przemocy seksualnej i przedwczesnej inicjacji. W zeszłym roku szkolnym program realizowany był w siedmiu szkołach średnich, w tym roku – nie wiadomo, bo rozdawanie ulotek i oświadczeń pod szkołami to nie jedyne działania, jakie podejmują przeciwnicy ZdrovveLove.

Pedagog-pedofil

Jeszcze przed uruchomieniem programu, w styczniu 2018 r., stowarzyszenie my-Gdańsk.pl w piśmie do pomorskiej kurator oświaty i wojewody pomorskiego wyrażało oburzenie faktem, że treści ulotki ZdrovveLove „są skandaliczne i godzą w zasady moralne i naszą wiarę”. Interpelację w tej sprawie złożyła do prezydenta miasta, Pawła Adamowicza, radna PiS i wiceprezes stowarzyszenia my-Gdańsk.pl Anna Wirska. W kwietniu zeszłego roku grupa osób sprzeciwiających się uruchomieniu tego programu w gdańskich szkołach protestowała pod Urzędem Miejskim w Gdańsku. Protestujący (m.in. z Kongresu Nowej Prawicy oraz Fundacji Mamy i Taty) trzymali transparenty z napisami: „Stop demoralizacji naszych dzieci”, „Ręce precz od naszych dzieci” i „Stop homodyktatowi. Chłopak i dziewczyna normalna rodzina”.

Mimo protestów program ZdrovveLove został uruchomiony i w zeszłym roku szkolnym wzięło w nim udział ok. 150 uczniów z siedmiu szkół ponadgimnazjalnych. Głosy sprzeciwu wróciły pod koniec maja, kiedy to stowarzyszenie Odpowiedzialny Gdańsk wysłało do wszystkich dyrektorów gdańskich szkół średnich listy z apelem o niewprowadzanie programu do szkół lub wycofanie go, jeśli został wprowadzony. Do listu dołączono przygotowaną przez fundację „Pro – Prawo do życia” obszerną broszurę pt. „Jak powstrzymać pedofila? Poradnik dla rodziców i nauczycieli”, której autorzy uważają, że edukacja seksualna „oswaja dzieci z patologiami seksualnymi, aby stały się łatwymi ofiarami

pedofilów”, a edukatorzy seksualni to nie tylko deprawatorzy, ale też pedofile. W rozdziale „W jaki sposób pedofile wchodzą do polskich szkół i przedszkoli?” czytamy: „Pedofile i deprawatorzy seksualni zakładają w Polsce liczne stowarzyszenia i fundacje o pozytywnie brzmiących nazwach, które dobrze się kojarzą i nie budzą podejrzeń. Finansowani są z zagranicy – przez organizacje deprawatorów seksualnych z zachodniej Europy i USA oraz producentów antykoncepcji i wytwórnie pornograficzne. Podają się za wychowawców, psychologów, edukatorów i pedagogów, którzy w swojej ofercie mają przeprowadzanie ciekawych zajęć na terenie szkoły lub przedszkola”.

Autorzy broszury wyrażają ponadto oburzenie faktem, że uczniowie biorący udział w programie ZdrovveLove dowiedzą się, że masturbacja i homoseksualizm są normalne i naturalne, i że ludzie mają prawa seksualne. Nie wspomina się tu jednak, że program skierowany jest do uczniów w wieku 15 i 16 lat, gdyż zabużyłoby to przesłanie o pedofilskim charakterze edukacji seksualnej.

Postawić tamę złu

Sprzeciw wobec ZdrovveLove nasilił się pod koniec wakacji. Radni PiS na zorganizowanej specjalnie konferencji ponownie zaprotestowali przeciw jego realizacji i zachęcali do rozpowszechniania oświadczeń rodzicielskich, o których była już mowa. Do składania takich oświadczeń namawiają również biskupi Rady Stałej Konferencji Episkopatu Polski, którzy pod koniec sierpnia wydali komunikat o ochronie dzieci przed seksualizacją. Według biskupów „Obowiązujące przepisy pozwalają rodzicom skutecznie wpływać na sytuację w szkole, w tym oferując środki prawne umożliwiające powstrzymanie godzącej w dobro dzieci seksualizacji przestrzeni szkolnej”.

Pod koniec sierpnia w pierwszym szeregu walczących o niewinność gdańskich nastolatków ponownie stanęło też stowarzyszenie Odpowiedzialny Gdańsk, którego przedstawiciele wręczali wydrukowane oświadczenia rodzicielskie wraz z ulotkami „Tolerancji tak, nie deprawacji”. We wrześniu akcja przybrała na sile – odbywała się bowiem pod szkołami średnimi w dniach pierwszych wywiadówek. Wobec niewystarczającej w opinii aktywistów skuteczności działań



Molo w Gdańsku, luty 2004 r.

PAWEŁ SZWAPCZYŃSKI / FORUM

20 września członkowie stowarzyszenia ponownie wysłali do wszystkich dyrektorów gdańskich szkół średnich list – tym razem drogą mailową i bez poradnika „Jak powstrzymać pedofila?”. Ponownie przestrzegają w nim przed wprowadzeniem zajęć ZdrovveLove do szkół i apelują o „niezwłoczne ich przerwanie”, jeśli zostały już wprowadzone.

Najciekawsze w tym liście jest jednak jego zakończenie, w którym autorzy przytaczają słowa prezydent Gdańska, Aleksandry Dulkiewicz, wypowiedziane podczas Trójmiejskiego Marszu Równości: „To my wszyscy musimy reagować na to, gdy dzieje się zło. Bądźmy odważni i postawmy tamę złemu językowi, postawmy tamę złu. Kiedy widzimy, że ktoś słabszy potrzebuje pomocy – wyciągnijmy mu rękę. Bo taki marzy mi się mój Gdańsk”. Autorzy kończą swój list słowami: „W pełni podzielamy marzenie pani prezydent. Dlatego zgodnie z jej słowami chcemy być odważni i postawić tamę złu, które przenika do gdańskich szkół i chce dotknąć tych najsłabszych – nasze dzieci”.

Wszyscy krytykujący ten program najwyraźniej zapominają, że ZdrovveLove jest skierowane do osób w wieku 15 i 16 lat, bo właśnie tyle lat mają uczniowie

pierwszych klas szkół średnich. To program skierowany do osób, które zgodnie z polskim prawem mogą już uprawiać seks. Nigdzie jednak nie widać, by oburzeni walczyli o podniesienie tzw. wieku przyzwolenia do 18. roku życia. Nie, oni walczą o to, by nastolatki, które mogą już „legalnie” uprawiać seks, niczego o tym seksie nie wiedziały. Nadzieja, że uda im się to w dobie internetu osiągnąć, byłaby nawet zabawna, gdyby nie fakt, że w sieci łatwiej znaleźć strony z pornografią niż rzetelną wiedzę o seksualności. Młodzież homoseksualna i transpłciowa również nie może uczyć się, że istnieje coś takiego jak LGBT+, a pozostali uczniowie – że osób nieheteronormatywnych nie należy obzierać wyzwiskami.

Wielu dorosłych oburza się, że na zajęciach młodzież uczy się, jak zakładać prezerwatywę. Tymczasem – o czym ci dorośli wiedzą (np. stowarzyszenie Odpowiedzialny Gdańsk samo publikuje takie dane na swojej stronie internetowej) – 19 proc. chłopców i 13 proc. dziewcząt w Polsce doświadcza inicjacji seksualnej przed ukończeniem 15. roku życia. Prawie co piąty chłopiec, którego ci dorośli chcą chronić przed wiedzą o seksie, zna go już z praktyki. Nie może się jednak o nim uczyć.

©

Żołnierzyki ulicy

MAŁGORZATA MICHEL, PEDAGOŻKA, STREETWORKERKA:

Udajemy, że nie ma w Polsce gangów dziecięcych, a potem dziwimy się, że starsze nastolatki wylatują z maczetą na rówieśnika.

KAROL WILCZYŃSKI: Ile dzieci żyje na ulicy?

MAŁGORZATA MICHEL: Nie znamy liczby. Każde miasto podaje inną, w oparciu o to, ile dzieci korzysta z placówek wsparcia dziennego lub jest pod opieką organizacji streetworkerskich. Do tego dochodzą dzieci uchodźców i imigrantów, które często spędzają czas na ulicy, szczególnie jeśli mieszkają w różnego rodzaju ośrodkach. Myślę, iż możemy szacować, że ogółem około 3-4 procent dzieci w Polsce, ok. 200-250 tys., spędza czas na ulicy.

Są to dzieci, które mają swój dom, ale w nim nie przebywają lub przebywają bardzo rzadko. W Polsce praktycznie nie ma „dzieci ulicy”, czyli takich, które się na tej ulicy urodziły i spędzają na niej właściwie całe życie. System jest na tyle szczelny, że dzieci szybko trafiają pod skrzydła opieki społecznej.

Dlaczego uciekają z domów?

Zwykle boją się w nim przebywać ze względu na przemoc, odurzonego rodzica lub samotność. W domu takim nie ma dorosłego, który zaopiekuje się dzieckiem, nakarmi, przytuli. Innymi słowy: z różnych powodów dzieci czują się bezpieczniej na ulicy. Światlice środowiskowe i placówki wsparcia dziennego nie są w stanie dotrzeć do wszystkich. Dziecko nie zawsze tam przyjdzie. Dlatego w ostatnich latach poszerza się działalność streetworkerów i pedagogów podwórkowych, ale nie jest to niestety wystarczająco popularne.

Skoro te metody są skuteczne, dlaczego nie są częściej wdrażane w Polsce?

Przede wszystkim dlatego, że streetworker nie jest usankcjonowanym zawodem. Nie może być realizowany przez jednostki systemowe, bo nie ma możliwości stworzenia etatu dla zawodu, który nie istnieje. Żyjemy w kraju, w którym za-

wodem jest wróżka, a nie jest nim pedagog ulicy czy streetworker. Obecnie tylko jedna ustawa wspomina o „pedagogach podwórkowych”, lecz jedynie w kontekście tworzenia placówek wsparcia dziennego.

Czym grozi brak streetworkerów?

Tym, że ludzie – nie tylko dzieci – będą coraz częściej żyć na ulicy. Streetworkerzy przeciwdziałają również innym zjawiskom. Przykładowo, niewiele mówi się o istnieniu gangów dziecięcych w Polsce. Właściwie to udaje się, że tak naprawdę ich nie ma, a potem nagle dziwimy się, że starsze nastolatki wylatują z maczetą na rówieśnika. Oni nie biorą się znikąd. Ktoś ich przygotował, przeszkolił, „zsocjalizował”.

Kim są dzieci żyjące na ulicy? Gdzie możemy je znaleźć?

W wielu miastach Polski. To z ulicy biorą wszystkie normy, zasady, wzorce zachowań, tradycje, obyczaje, sposoby komunikacji z innymi. A ulica, jak wiadomo, jest jednak dosyć brutalna i surowa. Grupy funkcjonują w różnych melinach, przestrzeniach ulicznych, pustostanach, na strychach, klatkach schodowych czy komórkach na węgiel. Przystają chodzić do szkoły lub nigdy w niej nie były. Wynajdują w śmietniku stary fotel, stare drzwi, z których robią stolik, i budują swoje „centra aktywności lokalnej”. Są one przyjaźniejsze niż ich własne domy. To bazy, w których jest ciepło, miękko i bezpiecznie, często naprawdę imponująco wyposażone. Można tam odpocząć, schronić się, uciec od przemocy w domu, spędzić czas z dziewczyną lub odurzając się.

Jak dzieci radzą sobie z praktycznymi wyzwaniami życia codziennego?

Dziecko na ulicy jest dzieckiem „idealnym”, ponieważ radzi sobie w każdych

warunkach. Jest szybkie, ma strategię przetrwania, zdobycia jedzenia i pieniędzy, wystarczy mu jedna bluza i jedna para butów na rok, potrafi zrobić coś z niczego, otworzy samochód, jeśli trzeba, lub naprawi domofon. Oczywiście prowokuję, gdyż dziecko takie często naraża swoje zdrowie, a nawet życie, działa nielegalnie, jest samotne i cierpi.

Czy dzieci należące do takich grup pochodzą przede wszystkim z ubogich środowisk?

Głównie tak. Chodzi jednak również o domy ubogie moralnie, wychowawczo, kulturowo. To inne aspekty niskiej jakości życia, której najczęściej nie podniosą świadczenia socjalne. Mam chociażby na myśli stosowanie przemocy fizycznej przez jednego z członków rodziny, szkodliwe sięganie po alkohol, nieobecność rodzica. Pieniądże nie rozwiążą tego typu problemów.

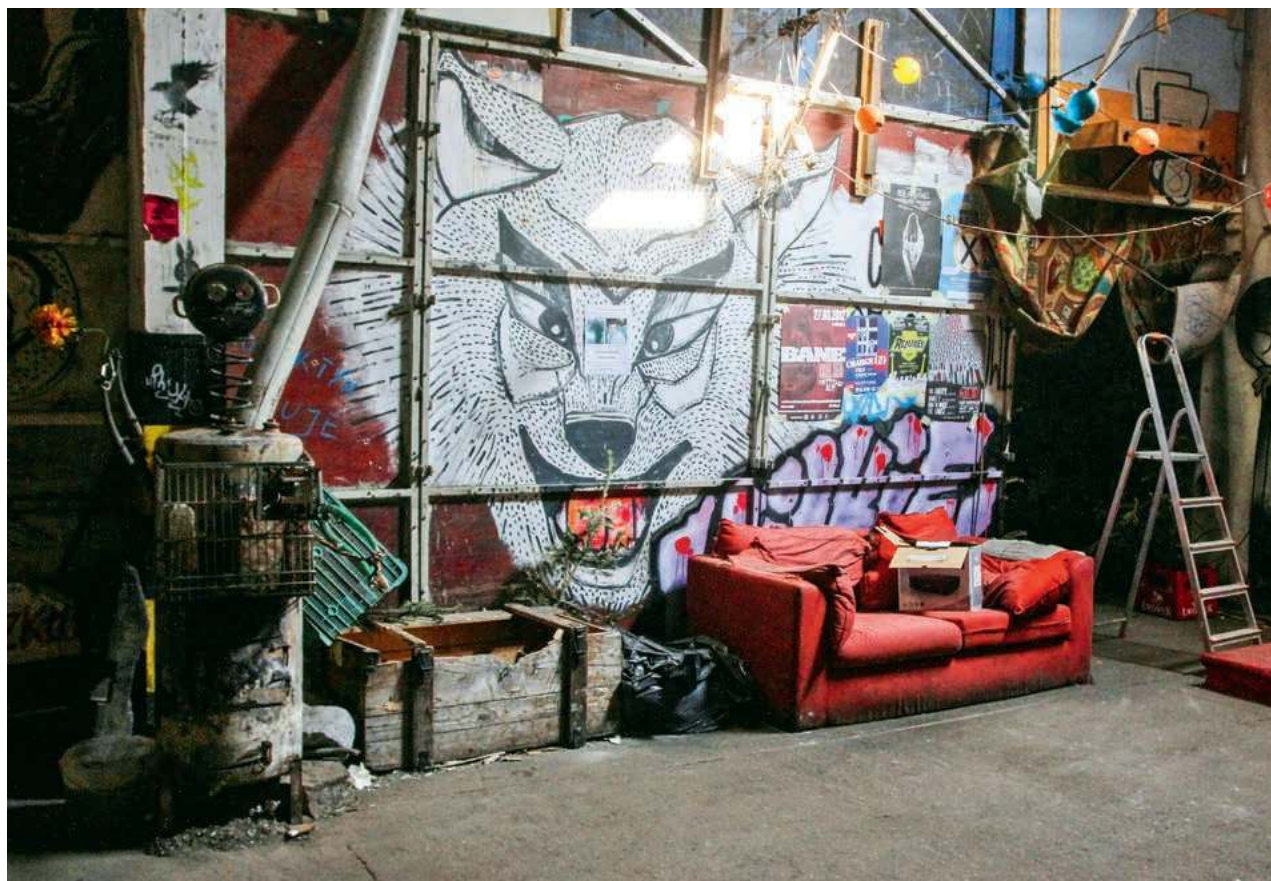
W jakim wieku dzieci trafiają na ulicę?

Najmłodsze, które poznałam, to dzieci jeszcze w wózkach. Spędzają większość czasu na ulicy razem z mamami, które również są dziećmi z ulicy. Często obecnie ze względu na posiadanie dziecka powielają wzorzec aktywności w przestrzeni ulicy. Robiąc badania widuję również ciężarne nastolatki.

Najczęściej jednak pod opieką streetworkerów są dzieci w przedziale 4-9 lat. Potem dziecko często znika z przestrzeni pracy pedagogów. Ale nie oznacza to, że znika z podwórka – ono jest wrośnięte w ulicę. W wieku kilkunastu lat zaczyna interesować się działaniami przestępczymi. I to jest ostatni moment, w którym możemy je „wyłapać”, uratować przed wejściem w gang, w jakąś zorganizowaną grupę uliczną.

Jak trafia się do gangu?

Na początku powoli zaciera się granica między zabawą a przestępstwem. W Poznaniu poznałam kilkuletnich chłopców bawiących się w wymuszanie haraczy i uliczne kradzieże. Pamiętajmy, że nie jest to przysłowiowa zabawa w wojnę, w którą podobno od zawsze każdy chłopiec bawi się na podwórku. Wejście w gang zaczyna się od wymuszania haraczy od innych dzieci, handlowania drobnymi ilościami narkotyków lub wcho-



SŁAWOMIR OLSZACKI / FORUM

dzenia w rolę „żołnierzyków ulicy”, którzy pilnują przestrzeni, atakują na niej „obcych”, „wrogów”. Młodzi gangsterzy dają znać starszym rangą, że pojawia się ktoś obcy na ich terytorium lub przejeżdża policja, ktoś coś maluje na murze, dzieje się coś, co zaburza naturalny porządek tej konkretnej ulicy lub podwórka. Później zaczyna się handel narkotykami, wymierzanie sprawiedliwości, pilnowanie terytorium.

Czy przywódca gangu mogą być nieletni?

Oczywiście. Poznałam niedawno takiego chłopaka w ośrodku szkolno-wychowawczym. Zagadałam do niego, gdy zobaczyłam jego tatuaże wskazujące na przynależność do środowiska gangsterskiego.

Opowiedział, jak się tam znalazł?

Przyznał, że wszystko zaczęło się w dzieciństwie. Jego tata został zamordowany w porachunkach, ma tylko mamę. Zaczął pielęgnować w sobie od małego chęć zemsty, która rozlała się właściwie na cały świat zewnętrzny. Zemsta i złość na świat są niestety jednymi z głównych motywów, które prowadzą do wejścia na drogę przestępczą. Obecnie chłopak jest

w jeszcze trudniejszej sytuacji, ponieważ przez to, że przebywa w ośrodku szkolno-wychowawczym, zyskał etykietkę konfidenta. A konfident to ktoś, kogo bardzo się nie lubi na ulicy. Należy mu zrobić krzywdę. Dlatego chłopak nie wraca do domu na przepustkę, boi się pojawiać w swojej okolicy. Wie, że może po prostu nie dojechać.

Co tak naprawdę skłania dzieci, oprócz zemsty, do wejścia w takie grupy?

Na pewno jest to chęć zaistnienia w grupie, która rozumie, akceptuje, zaspokaja potrzeby psychospołeczne, daje możliwość kształtowania i ugruntowania tożsamości oraz przeżycia przygody. Gang jest też kolejnym etapem wsiąkania w ulicę. Z moich wywiadów z młodymi gangsterami, najczęściej 15- lub 16-latkami, bardzo często wynika, że „nie mają wyjścia”.

Spotyka Pani dziewczyny działające w gangach?

Rzadziej. Ale chodzą na mecze i są zaangażowane w pseudokibicowskie akcje, również te o charakterze przestępczym. Przypomnę choćby ostatnią sprawę Magdaleny Kralki, która z dużym powodzeniem kierowała grupą przestępczą.

Dla mnie mało istotny jest fakt, czy pomagała chłopakowi czy robiła to za niego, bo w tym momencie odsiadywał karę pozbawienia wolności. Istotny jest fakt, że przywództwo nad gangiem przejęła kobieta.

Z badań mojej studentki wynika, że udział dziewcząt i kobiet w aktywnym życiu grup pseudokibicowskich i w gangach jest znaczący. Są często bardziej bezwzględne, zadziorne, nieustępliwe, kochają zemstę, intrygi, manipulowanie relacjami. Dodatkowo atutem dziewcząt jest seksualność, którą potrafią manipulować i wykorzystywać w wielu sytuacjach, również przestępczych.

Jak rozpoznać, do którego gangu należy dana część miasta?

Choćby przez napisy na murach. Zwykle znajdują się w specyficznych punktach, na rogach ulic, przy wejściu na dane terytorium. Mimo że wydają się chaotyczne i często nazywane są bazgrołami, to graffiti odwzorowuje pewien porządek, który ustanawiają grupy przestępcze i pseudokibicowskie na ulicach polskich miast. Są też napisy, które stanowią „zlecenie”, „wyrok” na danego człowieka, ostrzeżenie, cenną informację. Policja posiada wyspecjalizowane komórki, które →

→ rozpoznają tego typu symbole, dzięki czemu są w stanie pomóc komuś, komu grozi zemsta, uratować ludzkie życie. Bezrefleksyjna walka z takimi „bazgrołami” jest nonsensem i skazana na niepowodzenie. Są inne sposoby i metody pracy z ludźmi na ulicy.

Czy napisy na murach mają również konotacje polityczne?

Oczywiście. W ostatnich latach coraz więcej grup pseudokibicowskich zaczyna sympatyzować z narodowym socjalizmem, neonazizmem, faszyzmem. Wiele wlepek ma symbolikę neonazistowską: popularne są czaszki z mundurów SS, krzyż celtycki, runy, teksty o „aryjskiej sile”. Mam całą kolekcję zdjęć takich naklejek. Na ulicy jest też – można powiedzieć „tradycyjnie” – wiele napisów antysemitkich, które ostatnio mieszają się z nienawiścią skierowaną wobec osób LGBT+. Figura Żyda transferowała w figurę „pedała” czy „ciapatego”. Na mieście musi być wróg.

Czy jako kobieta, badaczka, nie ma Pani trudności, by wejść w to środowisko?

Gdy rozmawiam z dziećmi, to one często się otwierają – popisują się przede mną i innymi swoją wiedzą na temat życia na ulicy. Łatwo się od nich wiele dowiedzieć. Dzieci na ulicy operują pewną narracją więzienną, bo często bliscy członkowie ich rodzin przebywają w więzieniu. Jest to dla nich coś bardzo normalnego. Inaczej jest z nastolatkami, które raczej ukrywają to, co widziały albo wiedzą.



JAKUB PORZYCKI / AGENCJA GAZETA

DR HAB. MAŁGORZATA MICHEL, wykładowczyni UJ, jest pedagogką resocjalizacyjną, streetworkerką, badaczką aktywności dzieci na ulicy i gangów młodzieżowych w nurcie urban studies. Działaczka społeczna i aktywistka lokalna.

Mnie jest łatwiej, pochodzę z krakowskich Azorów i pewne rzeczy nie są mi obce. W momencie, gdy mówię o tym moim rozmówcom, buduję zaufanie. Oczywiście są granice, których nie przekraczam, i tajemnice ulicy, których nie zdradzam. Mam czasem poczucie, że wchodzę w sferę sacrum tych ludzi i że nie powinnam o niej mówić.

Jakie są ich najważniejsze zasady?

Przed wszystkim to, że białe to białe, a czarne to czarne. Wywodzą się głównie ze środowiska więziennego. Chodzi przede wszystkim o lojalność, poczucie braterstwa: „braci się nie traci”. Jest też na przykład zasada zemsty, mówiąca o tym, że „oko za oko”. W starszych grupach obowiązuje zasada, że „matka jest święta” i że każdy wulgaryzm skierowany wobec

matki członka gangu będzie pomszczony. Jest też zasada zakazująca donoszenia oraz nakazująca „likwidację konfidentów”. Są zasady dotyczące homoseksualizmu, który w kontekście więziennym ma zupełnie inne znaczenie: „przecwelenie” kogoś oznacza bowiem zniszczenie kogoś, objęcie nad tą osobą władzy poprzez akt seksualny. Ważne jest również prawo „własności kobiety”, które mówi, że nie wolno dotknąć kobiety, która „należy” do kogoś innego. Za złamanie tego kodeksu grożą dotkliwe sankcje.

Czy osoby, które weszły w takie struktury, da się z nich wyciągnąć?

Wszystko zależy od tego, w jakim wieku jest dana osoba i na jakim etapie otrzymała pomoc od specjalistycznych ośrodków wychowawczych czy socjoterapeutycznych. Czasami relacja ze streetworkerem wystarczy, aby odbić się od dna. Aby wyciągnąć osobę z neonazistowskich grup pseudokibicowskich, potrzebne są jednak specjalistyczne działania oparte na profesjonalnej strategii wyjścia.

Niestety w Polsce nie mamy programów dla takich osób, które są niepełnoletnie. I później okazuje się, że skuteczniejszy w całej tej resocjalizacji jest nie wykształcony pedagog resocjalizacyjny, lecz uliczny artysta lub fotograf, pisarz. Dlaczego? Nie jest uwikłany w papiery i system. I ma pasję, którą przekazuje tym, którzy łatwo się nią zarażają, bo są podatni na wpływy i mają ogromny potencjał do zmiany. To jest tak trudno zrozumieć? © Rozmawiał KAROL WILCZYŃSKI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Ostatnie dni sprzedaży wydania specjalnego, a w nim rozmowa „Awantura o kury” z **Olgą Tokarczuk**!

Głaszcz, dbaj, szanuj, weź i czytaj!

„Zwierzenia zwierząt” tylko w sklepach z dobrą prasą.
E-book: powszech.net/zwierzenia

Serwis specjalny poświęcony noblistce
na powszech.net/tokarczuk

TYGODNIK POWSZECHNY

ANNA

Dziewit-Meller:

Disco disco ponad wszystko



W TYGODNIU, W KTÓRYM OLGA TOKARCZUK dostała Nobla, a ktoś na pewno wygra w niedzielę wybory, trudno napisać felieton. Bo albo człowiek za bardzo się cieszy, albo za bardzo stresuje. Państwo już wiedzą, jaka mniej więcej czeka nas przyszłość, ja – oddając felieton do druku przed głosowaniem – wciąż tkwię w słodkiej nieświadomości. By nieco odetchnąć po tym Noblu, napiszę o czymś z innego, że tak powiem, paradygmatu. O disco polo.

Jako osoba urodzona w początkach lat 80. pamiętam doskonale gorący czas transformacji, gdy muzyka chodnikowa szturmem wdarła się do mediów, a wszyscy Polacy jak jedna rodzina zapoznali się z nazwami takich grup jak Top One, Akcent, Milano, Mister Dex czy Bayer Full. Jolanta Kwaśniewska miała fryzurę na Shazę albo odwrotnie, a wszyscy wiedzieli, co znaczy bara bara bara, riki tiki tak.

Ukazało się ostatnio kilka interesujących książek analizujących to zjawisko. Między innymi zbiór reportaży Judyty Sierakowskiej o wiele mówiącym tytule „Nikt nie słucha” oraz praca Moniki Borys pt. „Polski bajer. Disco polo i lata dziewięćdziesiąte”, mająca charakter bardziej socjologicznej i kulturoznawczej analizy.

Wydaje się zresztą, że nie ma lepszego niż dziś momentu na czytanie o tym gatunku, bowiem, jak pisze autorka „Polskiego bajeru”, „odrzucone przez inteligencję w latach dziewięćdziesiątych disco polo powróciło dziś jak bumerang. Chwytał go Jacek Kurski, który uznał, że popularną muzykę można wykorzystać w debacie politycznej i w walce o elektorat. Niektórzy z publicystów wprost stwierdzali nawet, że gdyby nie Prawo i Sprawiedliwość, muzyka ta nadal funkcjonowałaby w podziemiu”.

Ten gatunek, jak żaden inny w Polsce, od swego zarania kuśił polityków – wystarczy przypomnieć wesołe a skuteczne politycznie piosenki Aleksandra Kwaśniewskiego do utworu „Ole! Ole!” zespołu Top One (który to zespół publicznie przeproszał zresztą potem swoich fanów za tę współpracę, wyraźnie rozczarowany prezydentem) czy romans PSL i Waldemara Pawlaka z twórczością Bayer Full.

Jednocześnie zaś od samego początku szturm disco polo na kulturę, na jego wyrazistą obecność w sferze publicznej zrywali się intelektualisci. Monika Borys przywołuje przykład krytyka filmowego Tadeusza Sobolewskiego, który w artykule „Pusta plaża (nowy wspaniały świat disco polo)” przeciwstawiał sztuce wytwory kultury masowej, której najbardziej twarzą była jego zdaniem właśnie muzyka chodnikowa.

Borys poświęca sporo miejsca owemu lękowi przed disco polo przejawianemu przez inteligencję, w kontekście toczonych niedawno debat o w większości chłopskich rodowodach Polaków. Choćby wokół „Prześnionej rewolucji” Andrzeja Lederę. W tym nieprzepracowanym, a wypartym gdzieś do nieświadomości zbiorowym doświadczeniu „pochodzenia ze wsi” upatruje Leder na przykład źródeł polskich wyborów, w tym również estetycznych, co są tak bardzo nie w smak inteligentom. Borys pisze, że „nieustanne odcinanie się od disco polo wynika z charakteru społecznej aspiracji; nie możemy pokazać jako społeczeństwo, że część naszych wytworów kultury jest inna, słabsza, odwołuje się do innych wartości estetycznych niż te postrzegane jako »wysokie«”. Ten lęk – jej zdaniem – utożsamia odwieczny konflikt, w jakim trwamy jako społeczeństwo: ten pomiędzy panem a chamelem.

Bardzo to możliwe. Co nie oznacza bynajmniej, że w swoich refleksjach na temat domniemanego złego smaku polskiego narodu nie powinniśmy się rozejrzeć wokół. O przykładach muzyki chodnikowej w innych krajach obie autorki rzecz jasna wspominają, przywołując a to rosyjską popę, a to turbofolk z Bałkanów, a to wreszcie italo disco. Krótko mówiąc – każdy ma swoje disco polo oraz ambiwalentnie nastawionych do niego odbiorców wyższej kultury.

Także Portugalia, w której piszę ten tekst do „Tygodnika”. Wszystkich tych, którzy byliby skłonni zapłakać nad faktem, że oni dajmy na to mają fado, a my ewentualnie Zenka Martyniuka, spieszę uspokoić, że mają oni także pimbę – gatunek idący tak jak nasze disco polo wprost z głębi serca, a może nawet z trzewi. Pimba ma mieć w sobie trochę disco, trochę popu pożenionego z folkową nutką, tak żeby gdy już wpadnie w ucho, już tam siedziała, najlepiej cały miesiąc. Jeśli zaś komu przyjdzie smuć się na mialkość polskiej liiryki disco polo, niechaj przypomni sobie może tekst do kultowego w Portugalii utworu „Bacalhau à portuguesa” wykonywanego przez Quima Barreirosa, w którego refrenie artysta śpiewa, że chciałby „powąchać jej dorsza, więc niechaj go wpuści do kuchni”, albo refren pieśni o człowieku, którego matka nie miała mleka, by go wykarmić, więc ssal cyczuszki kózki, a teraz z przyzwyczajenia nadal ma to upodobanie i „lubi ssć cyczuszki swojej słodziutkiej (kózki)”.

A zatem – jak mawiali klasycy – ole!

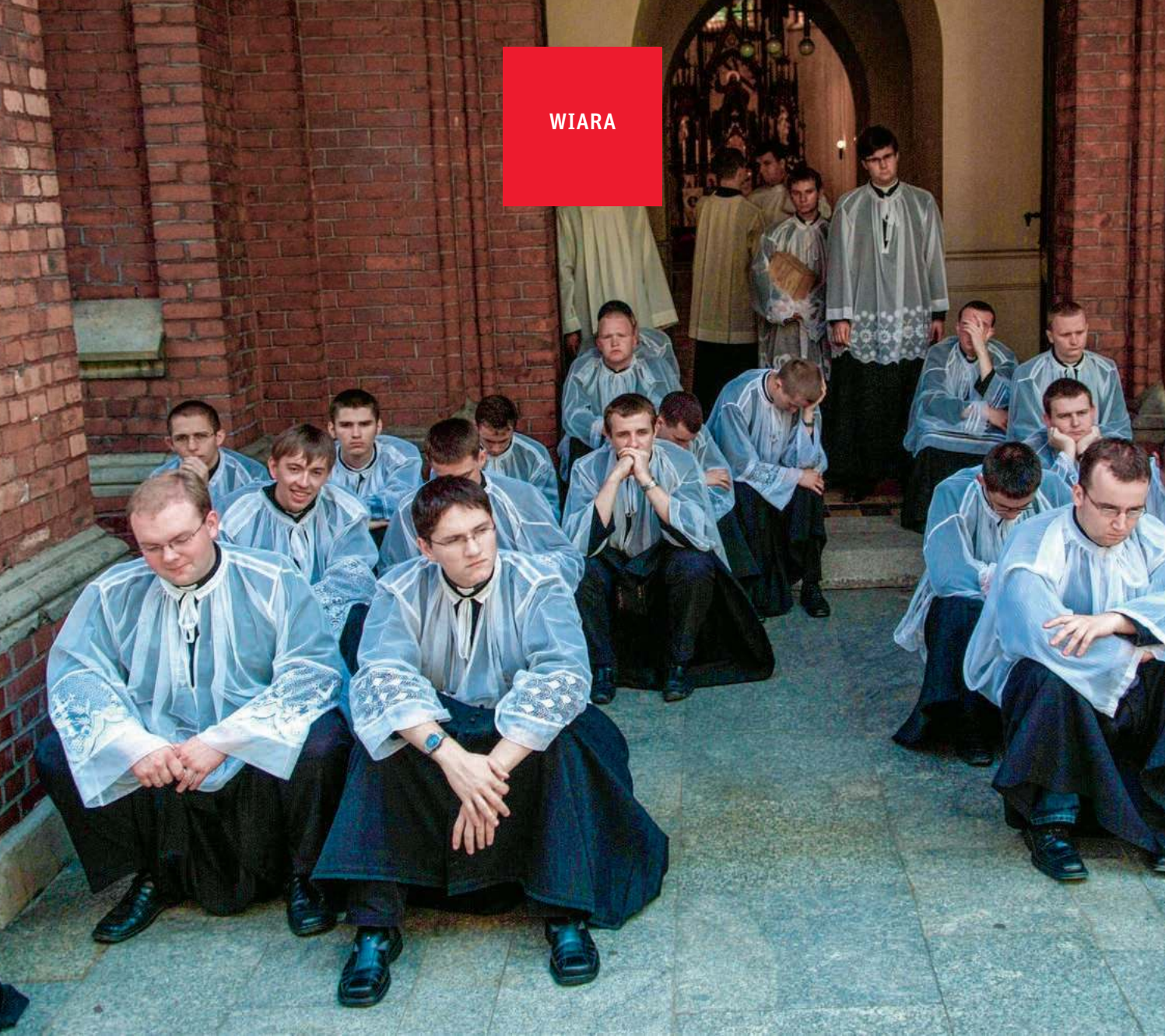
©

W Sądzie Rejonowym dla Krakowa-Śródmieścia

w Krakowie, I Wydział Cywilny, toczy się postępowanie w sprawie I Ns 399/17/S z wniosku Getin Noble Bank Spółki Akcyjnej z siedzibą w Warszawie o stwierdzenie nabycia spadku po Krystynie Kaszy, z domu Zemła, córce Ludwika i Stefanii, urodzonej w dniu 28 września 1946 r. w Krakowie, zmarłej w dniu 25 kwietnia 2015 r. w Krakowie, ostatnio zamieszkałej w Krakowie przy ulicy Stefana Batorego 17/3.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców zmarłej, aby w ciągu 3 miesięcy od zamieszczenia niniejszego ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, albowiem w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

OGŁOSZENIE



WIARA

MAMY BYĆ UCZNIAMI

KS. WOJCIECH RZESZOWSKI I KS. TOMASZ TRZASKAWKA, FORMATORZY:

Franciszek ukazał nową wizję Kościoła. Dlatego zmieniliśmy sposób, cele i priorytety formacji kandydatów na księży.



WALDEMAR KOMPALA / AGENCJA GAZETA

ARTUR SPORNIAK: Biskupi zatwierdzili nowe zasady formacji kleryków. Odnosząc się do tego dokumentu, dwa miesiące temu, ks. Wojciech Rzeszowski na tych łamach zapowiadał, że „będzie to znacznie inne ujęcie niż obowiązujące dotychczas zasady formacji i studiów”. Na czym polega jego nowość?

KS. WOJCIECH RZESZOWSKI: Punktem wyjścia do opracowania nowej „Drogi formacji presbiterów w Polsce” (czyli „Ratio institutionis sacerdotalis pro Polonia”) był dokument watykański wydany trzy lata temu „Dar powołania do kapłaństwa” („Ratio fundamentalis institutionis sacerdotalis”), a w nim mamy nową koncepcję formacji, nowe ujęcie jej etapów oraz celów. Jest to zgodne z zamy-

słem papieża Franciszka, który ukazuje wizję Kościoła – mniej statycznego, a bardziej misyjnego. Kapłan ma być najpierw uczniem, potem przyjacielem Chrystusa, a wreszcie Jego misjonarzem. W obu dokumentach nastawienie na wyjście Kościoła do świata jest wyraźnie widoczne. Wizja wcześniejszego dokumentu była bardziej statyczna, obecna ma większą dynamikę ewangelizacyjną, związaną z otwarciem na peryferie świata.

KS. TOMASZ TRZASKAWKA: O ile w poprzednim „Ratio” mieliśmy wyznaczone etapy poprzez przyjmowanie posług lektoratu, akolitu, święcenia diakonatu i presbiteratu, o tyle teraz, zachowawszy dotychczasową etapowość, mamy coś znacznie bogatszego w treść. Kandydaci zaczynają od roku propedeutycznego, potem jest dwuletni „etap stawiania się uczniem Jezusa”, następnie trzyletni „etap upodabniania się do Chrystusa” jako Kapłana, Głowy, Sługi, Pasterza i Oblubieńca Kościoła. Ten cykl kończy się etapem pastoralnym związanym z przygotowaniem do święceń diakonatu i presbiteratu. W zmianie tej chodziło o zdynamizowanie samej formacji, rozumianej głównie jako osobista współpraca z Bogiem we wspólnocie Kościoła, a nie tylko o skupianie się na przygotowaniu do święceń i późniejszej posługi.

Nowością jest rok propedeutyczny.

WR: Myśl o nim, także w dokumentach kościelnych, była już od dawna, ale funkcjonował on tylko w kilku seminariach. Teraz będzie obowiązkowy. Zakłada znacznie większą pracę nad doświadczeniem własnego życia. Rok propedeutyczny nie będzie wygodnym życiem pod kloszem! Pomocą ku temu mają być różne zaangażowania wolontariackie, warsztaty psychologiczne, spotkania. Chodzi o głębsze i bardziej świadome konfrontowanie się z życiem w sobie i wokół siebie. Rok ten ma sens bardziej inicjacyjny niż edukacyjny. Także duchowo potrzebne jest przejście od wiary tradycji i rytuałów do osobistego doświadczenia Boga, dialogu ze Słowem Bożym, uruchomienie stałego procesu nawracania. To swoisty formacyjny wstęp do wstępu: czyli kandydat powinien zdobyć umiejętność współpracy z łaską, by mógł wyruszyć w drogę. Nasz dokument wyraźnie akcentuje, że pierwszym i najważniejszym formatorem jest sam Bóg. A pierwszą osobą odpowiedzialną za rozwój jest sam kandydat.

Lektura nowego „Ratio” daje wrażenie, że duży nacisk położony jest na indywidualny rozwój duchowy kleryka.

WR: W formacji zawsze były obecne jej cztery wymiary: ludzki, duchowy, intelektualny i pastoralny. Zawsze też życie duchowe stanowiło fundament i zwornik formacji. W 2013 r. ukazało się nowe watykańskie Dyrektorium o posłudze kapłanów, które przypomina, że dla życia i posługi presbiterów kluczowa jest ich tożsamość duchowa, a nie funkcjonalność społeczną. Dlatego w nowym „Ratio” również mocno akcentuje się rozwój tożsamości. Nie kształtujemy głównie teologów czy menedżerów duszpasterskich, ale ludzi wiary, którzy będą gotowi utożsamiać się z życiem i misją samego Chrystusa.

Revolucji w formacji dokonał już kard. Jean-Marie Lustiger. W 1984 r. podzielił kleryków na kilkusobowe grupy. Każda z nich zamieszkała przy którejś z paryskich parafii. Dzięki temu klerycy od początku uczestniczyli w życiu parafii, jednocześnie studiując teologię. Czy tworząc ten dokument, nie myśleliście o podobnie radykalnych zmianach?

WR: To rzeczywiście był dobry krok. Trzeba jednak pamiętać o specyfice laickiej Francji, gdzie jest mniej kandydatów do kapłaństwa, zwykle zgłaszają się osoby starsze, wykształcone i dojrzałe życiowo. To sprawiło, że taki model formacji był bardziej naturalny. W Polsce mamy więcej kandydatów i są to zazwyczaj młodzi chłopcy po maturze, bez większego doświadczenia życiowego.

Konteksty są tak różne, że proste przeniesienie francuskich pomysłów byłoby nierealne. Ale model formacji w polskim „Ratio” jest bardziej otwarty na świat, bardziej dynamiczny i pastoralny. Formacja przewiduje dłuższe praktyki duszpasterskie jeszcze przed podjęciem ostatecznej decyzji o święceniach.

TT: Watykańskie „Ratio fundamentalis” podkreśla znaczenie wspólnoty. Wprowadzamy zatem wspólnotowość jako stałą cechę formacji – mając na myśli nie tylko wspólnotę seminaryjną. Program formacji na każdym etapie próbuje stymulować wspólnotowość i wychowuje do dojrzewania w wielości relacji. →

→ Seminarium ma być otwarte na różne wspólnoty, także zewnętrzne. Na przykład podczas etapu propedeutycznego seminarzysty – oprócz tego, że tworzą własną wspólnotę, bo mieszkają w osobnym domu – mogą uczestniczyć przez dłuższy czas w wolontariacie.

Skoro w większości przychodzą chłopcy po maturze, czy nie dobrym pomysłem byłoby podnieść wiek kandydatów – niech kilka lat jeszcze popracują albo pouczą się i bardziej dojrzej?

WR: Nie można generalizować, że wszyscy są niedojrzali. To prawda, że kandydaci są dziećmi tego świata i wielu z nich potrzebuje kształtowania swej osobowości. Ale właśnie po to jest wspomniany rok propedeutyczny.

Tu warto dodać, że nowe „Ratio”, podobnie jak inne dokumenty, podkreśla, iż formacja musi być spersonalizowana. Powinna odpowiadać potrzebom epoki, ale też musi być dostosowana do danego człowieka i jego możliwości. Prowadzenie zatem musi być bardziej indywidualne, nastawione na towarzyszenie i wspieranie rozwoju kleryków. Ma ich nauczyć samodzielnej współpracy z łauską.

TT: Seminarium pozostanie 6-letnie. Do tego dochodzi rok propedeutyczny na początku. Ale jednocześnie uznajemy, że każdy ma własne tempo rozwoju. W związku z tym możliwe są doświadczenia formacyjne poza seminarium, zwłaszcza pod koniec każdego z etapów.

Taki urlop?

WR: Urlopy zawsze funkcjonowały, ale częściej w kontekście negatywnym – potrzebna była przerwa, jako czas do namysłu lub dodatkowej pracy nad sobą.

TT: Tu natomiast pojawia się inny punkt widzenia. Formacja ma być z zasady dostosowywana do możliwości i tempa rozwoju wychowanków. Patrzymy nie tylko na ramy czasowe wspomnianych etapów formacji, ale również na to, co dany człowiek osiągnął i co mu jest następnie potrzebne.

WR: Mniej ważne zatem będzie, na którym jest roku, a bardziej, jak zrealizował cele poszczególnych etapów formacji. Innymi słowy, jaki jest etap jego rozwoju duchowego i jakie są owoce formacji.

TT: Chodzi o rozwój całościowy kandydata do prezbiteratu. Mamy na względzie



EPISKOPAT.PL

Cały czas mamy na względzie to, jaką kleryk ma kondycję psychiczną, czy radzi sobie ze swoimi emocjami, jaki jest poziom dojrzałości jego relacji

KS. TOMASZ TRZASKAWKA jest ojcem duchownym gnieźnieńskiego seminarium oraz sekretarzem Zespołu ds. przygotowania nowych zasad formacji kapłańskiej w Polsce.

to, jaką on ma kondycję psychiczną, czy radzi sobie ze swoimi emocjami, jaki jest poziom dojrzałości jego relacji, jak funkcjonuje społecznie. Całościowe rozeznanie indywidualizuje drogę formacji, choć wspólnota i towarzyszenie wspólnotowe pozostają stałymi cechami formacji kapłańskiej.

Klerycy w Paryżu muszą sobie sami gotować – prosta, a kształcąca zaradność rzecz. O polskich seminarzach mówi się, że chowają kleryków pod kloszem. W jaki sposób ma to się zmienić?

TT: Na roku propedeutycznym tak już się dzieje – kandydaci biorą odpowiedzialność za funkcjonowanie domu, w którym żyją. Formacja tego etapu nie odrywa ich od życia, nie umieszcza pod kloszem, przeciwnie, staje się szkołą życia, która konfrontuje ich z rzeczywistością.

WR: Seminarium, by spełnić swoją misję, musi stworzyć pewną przestrzeń odosobnienia, zwłaszcza na pierwszych etapach formacji. Później stopniowo powinna się otwierać i poszerzać. I tak się

zazwyczaj dzieje. Klerycy muszą mieć czas na studia, na pracę własną, rozwój duchowy... Nie jest też prawdą, że klerycy nie mają żadnej odpowiedzialności i żyją oderwani od codzienności. To błędna kalka myślowa często powtarzana z dawnych czasów. Zwłaszcza dziś, gdy kleryków jest znacznie mniej niż kiedyś, muszą podejmować znacznie więcej prac dotyczących funkcjonowania domu, gdyż wiele rzeczy robią sami. Jeżeli czegoś nie robią, jest to natychmiast weryfikowane przez wspólnotę, bo gdzieś powstaje bałagan czy coś przestaje funkcjonować. Poza tym od początku formacja przewiduje wyjścia poza seminarium w różne miejsca, jak np. do domów opieki, domów dziecka, hospicjum, szpitali, więzienia, itp. Konfrontacja z rzeczywistością występuje na każdym etapie formacji. Chyba nikt nie powie, że więzienie czy hospicjum to ciepłarnia.

Zaostrzone natomiast zostały kryteria przyjęć. Najgłośniejsze zaostrzenie dotyczy osób „o utrwalonych tendencjach homoseksualnych”.

WR: To nie do końca jest prawda. Jako były rektor i przewodniczący Konferencji Rektorów Wyższych Seminarium Duchownych mogę potwierdzić, że w tej materii uważność towarzyszy nam już od lat. Natomiast rzeczywiście jest pewne sprzężenie między aktualną wrażliwością społeczeństwa na ten problem a Kościołem.

Tego przykładem są także normy dotyczące ochrony małoletnich. Jeśli jest większa świadomość społeczna, jest też większa świadomość Kościoła, który ma już wypracowane procedury ochrony dzieci i młodzieży, nieustannie się szkoli i stopniowo buduje odpowiedni system prewencji. Dzisiaj kleryk, który wychodzi z seminarium, nie tylko podlega diagnostyce dojrzałości psychoseksualnej (nie tylko dotyczącej orientacji seksualnej), ale musi być odpowiednio przeszkolony i mieć świadomość standardów, które go obowiązują oraz odpowiednie umiejętności, by bezpiecznie pracować z dziećmi. Nowe „Ratio” wyraźnie o tym mówi.

TT: Na każdym etapie formacji zwraca się uwagę na dojrzewanie psychoseksualne i przygotowanie do celibatu. To charakterystyczna cecha nowego „Ratio”.

Siedem razy pojawia się słowo „kobieta”. W dwóch miejscach

chodzi wyraźnie o dopuszczenie kobiet do formacji kleryków oraz słuchania ich opinii. To nowość?

WR: Z pewnością kobiet w formacji kiedyś było mniej, ale były. Pamiętajmy, że dotychczas mówiło się i pisało o udziale świeckich specjalistów – nie różnicowano na kobiety i mężczyzn. To, jaką rolę będzie miał psycholog, jest drugorzędne – ważne, żeby był profesjonalistą. Dziś faktycznie obecność kobiet jest większa i ma swoje znaczenie, choć lokalnie mogą tu być różne tradycje. Różnorodność w tej materii jest dla formacji bogactwem.

Jednym z wymienionych celów formacji jest zdolność do nawiązania dojrzałej więzi z kobietami i mężczyznami. Jeśli dotychczas klerycy byli chronieni przed kontaktem z kobietami, jak mieli sprawdzać się i dorastać do dojrzałych relacji?

WR: Znowu powiem, że jest to kolejna nierealna kalka myślowa. Choć żyją w pewnym odosobnieniu, to nikt kleryków nie chronił przed kontaktem z kobietami. Seminarium to nie zamknięty klasztor kartuzów. Od pierwszego roku mają oni wiele okazji, by je spotykać. Już mówiliśmy, że uczestniczą w życiu różnych wspólnot, a tam przecież w większości są dziewczyny. Jeżeli klerycy pracują jako wolontariusze w szpitalu – jest podobnie. Nie mówiąc o tym, że w seminariach również pracują kobiety – np. w naszym gnieźnieńskim zatrudnionych jest ich około dziesięciu.

Głównymi formatorami pozostają mężczyźni – rektor, prefekci, spowiednicy, ojcowie duchowni. Czy kierownictwo duchowe może prowadzić kobieta, np. siostra zakonna?

WR: Trzeba odróżnić dwie rzeczy: mężczyzn – kapłani tworzą wąski zespół formacyjny, który towarzyszy klerykom „od rana do wieczora” i wprowadza ich w doświadczenie bycia księdzem. Ponieważ jest to specyficzna rola i dotyczy kapłańskiej tożsamości, dość trudno byłoby to powierzać kobietom. Natomiast jeśli chodzi o szerzej rozumiane kierownictwo duchowe czy inną pomoc w rozwoju, nie ma do tego przeszkód, choć nie zawsze jest to praktykowane. Dość często kobietom powierza się prowadzenie warsztatów, spotkań tematycznych, praktyk, ale i możliwości towarzyszenia



ARCH. PRYWATNE

Jeśli chodzi o szerzej rozumiane kierownictwo duchowe czy inną pomoc w rozwoju, nie ma przeszkód, by zajmowały się tym kobiety.

KS. WOJCIECH RZESZOWSKI jest dyrektorem Centrum Edukacyjno-Formacyjnego w Gnieźnie, byłym rektorem Wyższego Seminarium Duchownego w Gnieźnie oraz byłym przewodniczącym Konferencji Rektorów Wyższych Seminarium Duchownych.

i pomocy indywidualnej. Warto jednak myśleć nad tym, by kobiet w formacji było więcej.

Ponad 40 razy napotkać można dwa pojęcia: „dojrzałość” – co wydaje się oczywiste, bo formacja ma prowadzić do dojrzałości, ale też „wolność”, co już takie oczywiste nie jest, bo dotychczas ceniono przede wszystkim posłuszeństwo. Czyba że to jest kolejny stereotyp o seminariach?

TT: Oba pojęcia się łączą. To jeden z najważniejszych wątków – dojrzewanie do wolności. Obecny jest chociażby w opisie wspólnoty seminarium duchownego. Postuluje się na przykład, by regulamin seminarium zawierał zwłaszcza te elementy, które służą budowaniu więzi międzyludzkich: dzielenie się doświadczeniami wiary (słowem Bożym), szczerą i otwartą komunikację, rewizję życia i planowanie wspólnotowe. Seminarzyści jako pierwsi mają codziennie

troszczyć się o miejsce, czas, sposób i treści modlitwy, szukając w kierownictwie duchowym rozeznawania modlitewnych doświadczeń.

Nie znaczy to, że temat posłuszeństwa nie jest obecny. On jest w nowy sposób rozważany. Posłuszeństwo rozumiane jest jako „umiejętność rezygnowania z własnej woli w służbie Bogu i braćiom”.

Watykańskie „Ratio fundamentalis” zaleciło najpierw rozeznac sytuację w danym kraju. Polski dokument jedynie dwa razy wspomina o problemie klerykalizmu i jest on wyraźnie marginalizowany. Tymczasem Franciszek widzi w nim główną przyczynę obecnego kryzysu Kościoła – nazywa go „patologią Kościoła”. Dlaczego „Ratio” nie mierzy się z tym problemem?

TT: Proszę zwrócić uwagę, że wychowujemy do tego, iż wszyscy mamy być uczniami Jezusa, a kandydaci do prezbiteratu jako pierwsi. Ewangelia bardzo wyraźnie ukazuje, kto jest Mistrzem, Nauczycielem i Panem w Kościele. Stawanie się uczniem Jezusa jest najlepszym lekarstwem na klerykalizm. Zawartość merytoryczna „Ratio” wykracza więc poza statystykę wyrazów.

Chodzi o głębszy problem – o religijne stawianie kapłaństwa poza wspólnotą świeckich. „Pokorna i konsekwentna realizacja upodobnienia się prezbitera do Chrystusa Głowy i Pasterza, Sługi i Oblubieńca Kościoła chroni go przed skrajnościami w postaci »klerykalizmu« i »pragnienia panowania nad owczarnią«, a także demokratyzmu” – czytamy w punkcie 43. Powiedziałbym, że świadomość utożsamienia z Jezusem wynosi mnie nad wspólnotę...

TT: To są ludzkie odczucia. Opis tożsamości seminarium przedstawiony w „Ratio” jest inny. Dokument ukazuje, o jaki typ relacji w Kościele chodzi. Nie wystarcza model mistrz–uczeń, wychowawca–wychowanek, przełożony–podwładny, choć takie odniesienia są niezbędne. Fundamentalna jest relacja braterstwa. Mogę zapewnić, że mieliśmy świadomość tego, iż klerykalizm jest dużym problemem.

© Rozmawiał ARTUR SPORNIAK



Ostatni raz na Jasnej Górze

TOMASZ KRZYŻAK, PIOTR LITKA

Nieznane zdjęcia ks. Jerzego Popiełuszki odnaleźliśmy w Archiwum Instytutu Hoovera w Stanford. Zrobiono je kilkanaście dni przed jego śmiercią, od której mija właśnie 35 lat.

INSTYTUT HOOVERA (WŁAŚCIWIE: Hoover Institution on War, Revolution and Peace) posiada w swoich zbiorach m.in. materiały skupowane od spadkobierców prominentnych dygnitarzy PRL: Bolesława Bieruta czy Władysława Gomułki. Do Stanford trafiły też po 1989 r. rękopisy i maszynopisy „Dzienników politycznych” Mieczysława Rakowskiego oraz obszerne „Kiszczak Papers”, zawierające dokumenty, zdjęcia i materiały filmowe z archiwum ostatniego komunistycznego szefa MSW. Na opracowanie czekają materiały z archiwum gen. Wojciecha Jaruzelskiego przekazane przez jego rodzinę.

Szara koperta z odręcznym dopiskiem: „Zdjęcia ks. J. Popiełuszki” leżała w jednym z pudeł z materiałami Departamentu III MSW, które w latach 90. XX w. znalazły się w USA. Przekazał je tam (a być może sprzedał; tego nie wiemy, bo Instytut Hoovera nie udziela na ten temat informacji) jeden z byłych funkcjonariuszy resortu. W środku było dziesięć czarno-białych fotografii wykonanych – jak ustaliliśmy – w niedzielę 30 września 1984 r. Ks. Popiełuszko odwiedził wtedy Jasną Górę w ramach II Pielgrzymki Ludzi Pracy. Była to jego ostatnia w życiu wizyta w Częstochowie.

Inicjatywa wspólnej modlitwy robotników w narodowym sanktuarium zrodziła się rok wcześniej. 18 września 1983 r. ks. Popiełuszko zorganizował pierwszą środowiskową pielgrzymkę na Jasną Górę, która zgromadziła kilka tysięcy ludzi, głównie z Warszawy. Na klasztornych wałach ksiądz Jerzy odprawił wtedy słynną Drogę Krzyżową. Modlił się m.in. za tych wszystkich, którzy łamią ludzkie sumienia i ludzką godność.

Kazanie przepełnione bólem

Ślady innych przyjazdów do Częstochowy odnajdujemy w „Zapiskach” księdza.

„Od wczoraj – pisał ksiądz Jerzy 21 maja 1983 r. – jestem u sióstr Szarytek. Rozpoczęły się rekolekcje dla służby zdrowia. Jest to czas bardzo wartościowy dla mnie, bo jestem chyba u granic wytrzymałości fizycznej i psychicznej, zwłaszcza po ostatnich przeżyciach w Warszawie.

Wczoraj wieczorem byłem na Jasnej Górze. Napisałem kazanie na 29. V. [1983 r.] na Mszę św. za Ojczyznę. Ten ból, który był zadawany przez cały miesiąc maj całej Warszawie, dotknął w sposób

szczególny moich bliskich, których znałem i podziwiałem. Kazanie więc będzie przepojone bólem”.

Ksiądz Jerzy, pisząc te słowa, miał na myśli przede wszystkim pobicie na warszawskim komisariacie przy ul. Jezuickiej Grzegorza Przemyska – maturzysty i syna opozycyjnej poetki Barbary Sadowskiej – które było przyczyną jego śmierci 14 maja 1983 r.

„Do Częstochowy – pisał dalej ksiądz Jerzy – przyjechałem wczoraj rano pożyczonym samochodem, ponieważ mój samochód był bardzo śledzony przez dwa ubeckie. Czuję się coraz bardziej przez nich zaszczuty, ale dobry Bóg daje mi dużo siły duchowej, a i siły fizycznej też nad podziw wiele, chociaż często nocę mam mocno zarwane”.

Figurant „Popiel”

Ostatnie lata życia księdza (dokładnie: od września 1982 r. do października 1984 r.) naznaczone są niemalże programowym i nadzorowanym przez władze prześladowaniem. Wiąże się to przede wszystkim z podsłuchiowaniem i obserwowaniem księdza w ramach prowadzonej przeciwko niemu Sprawy Operacyjnego Rozpracowania o kryptonimie: „Popiel”, wszczętej 2 września 1982 r. i prowadzonej do... listopada 1984 r. Zakończona z powodu tego, że – jak to ujął funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa w lakonicznej notatce – „w dniu 19.10.1984 r. figurant sprawy zginął w tragicznych okolicznościach”.

To nie były jednak wyłącznie działania niejawne, którymi obejmowano w PRL wielu duchownych i opozycjonistów. Przeciwno ks. Popiełuszce wytoczono także publiczne oskarżenia, przeprowadzono prowokację, umieszczając nielegalnie w jego mieszkaniu ulotki oraz materiały wybuchowe (tzw. „prowokacja na Chłodnej”). Ksiądz stał się w jej wyniku osobą publicznie oskarżaną i podejrzewaną o popełnienie przestępstwa. 12 grudnia 1983 r. został aresztowany i spędził noc w pałacu Mostowskich.

Popiełuszkę atakował nie tylko ówczesny rzecznik prasowy rządu – Jerzy Urban, kryjący się pod pseudonimem Jan Rem, nazywając odprawiane w żoliborskim kościele msze św. za ojczyznę „seansami nienawiści” oraz „sesjami politycznej wściekliwości”.

Na pięć tygodni przed uprowadzeniem księdza, na łamach jednego z naj-

większych wychodzących w Moskwie dzienników, warszawski korespondent „Izwestii” Leonid Toporkow zaatakował personalnie kapelana Solidarności. W tekście „Lekcja na darmo” pisał m.in., że niedawno „wojujący ksiądz Popiełuszko zwrócił się do amnestionowanych z zawołaniem, którego sens brzmi tak: »odpoczęli – pora brać się za sprawę. Tylko z większą werwą i sprytem niż poprzednio. Przede wszystkim nie bać się«. Sam ksiądz [Popiełuszko], sędzia wszystkiego, nie boi się. (...) Z ambony czyta jakby nie kościelne kazania, a ulotki napisane przez [Zbigniewa] Bukaja, z których aż bije nienawiścią do socjalizmu”.

Każdy wyjazd księdza poza Warszawę wiązał się dla niego z uciążliwą inwigilacją przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa, ale bywał też okazją do kolejnych spotkań i zaproszeń. To właśnie na Jasnej Górze 30 września 1984 r. ks. Jerzy Osieński – wikary z bydgoskiej parafii Świętych Polskich Braci Męczenników – zaprosił ks. Popiełuszkę na wspólną modlitwę.

Niecały tydzień później, w oficjalnym liście wysłanym do Warszawy, ks. Osieński przypominał księdzu Jerzemu: „W nawiązaniu do naszej rozmowy na Jasnej Górze w dniu 30. 09. br. chciałbym ponowić zaproszenie Ciebie do Bydgoszczy, na Mszę św. dla Duszpasterstwa Ludzi Pracy, która odbędzie się w piątek dn. 19. 10. br. o godz. 18.00”.

List kończą słowa: „Serdecznie pozdrawiam i... czekamy! Z Bogiem!”.

19 października 1984 r., wracając z Bydgoszczy do Warszawy, ksiądz Jerzy zostanie uprowadzony przez funkcjonariuszy SB i zamordowany.

Wśród żywych

Autorem nieznanym zdjęć ks. Popiełuszki z 30 września 1984 r., które odnaleźliśmy za oceanem, jest częstochowski operator filmowy, reżyser filmów dokumentalnych i fotograf – Zdzisław Sowiński. W rozmowie z „Tygodnikiem” wspomina, że od wyboru kardynała Wojtyły na papieża blisko współpracował z klasztorem jasnogórskim, dokumentując to, co się tam działo.

→

PARAFIA
św. Polskich Braci Męczenników
 Łódzka 3, telefon 615-72
 85-103 BYDGOSZCZ

Bydgoszcz, dn. 6.10.1984 r.

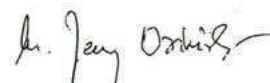
Ks. Jerzy Popiełuszko

W nawiązaniu do naszej rozmowy na Jasnej Górze w dn. 30. 09. br. chciałbym ponowić zaproszenie Ciebie do Bydgoszczy na Mszę św. dla Duszpasterstwa Ludzi Pracy, która odbędzie się w piątek dn. 19. 10. br. o godz. 18.00

W związku z tym proszę, abyś przekazał odpowiedź przez naszych Braci z Konfraternii na następujące pytania organizacyjne:

1. Czy jest możliwość Twojego przyjazdu w tym terminie?
2. Jak praktycznie wyglądałaby sprawa przyjazdu do Bydgoszczy i powrotu?
3. Czy wygłosiłbyś podczas Mszy św. homilię? /temat z Katolickiej Nauki Społecznej/
4. Czy przywiózłbyś magnetowid, i jak praktycznie od strony technicznej tę sprawę przygotować?
5. Czy przekaz z taśmy magnetowidowej byłby dla szerokiego grona?
6. Czy byłaby możliwość spotkania z Tobą w bardzo ścisłym gronie?
7. Jeżeli nie wyszłaby sprawa w październiku, to zapraszamy Ciebie do nas w listopadzie – też 19-go /poniedziałek/ i ta sama godzina /tj. 18.00/

Serdecznie pozdrawiam i ... czekamy!
 Z Bogiem !



→ – Pomagali mi paulini – mówi Sowiński. – Zwłaszcza ówczesny przeor, ojciec Rufin Abramek. To on zapraszał na Jasną Górę księdza Popiełuszkę i ówczesnych opozycjonistów. Pamiętam, że wtedy, gdy zrobiłem te zdjęcia, rozmawiałem z księdzem Jerzym. To było już po nabożeństwie i uroczystościach, za klauzurą. Wyczuwałem w nim pewne napięcie, ale nie śmiałem zapytać, co jest tego powodem...

Uwieczniona na dziesięciu fotografiach uroczystość miała charakter symboliczny. Oto zakonnicy z Jasnej Góry wyróżnili przywódcę zdelegalizowanej wówczas Solidarności Lecha Wałęsę, wręczając mu dyplom członka honorowego zakonu paulinów. Na jednym ze zdjęć wykonanych podczas tej uroczystości stoi przeor klasztoru o. Rufin, obok niego ks. Popiełuszko, a w głębi małżeństwo Wałęsów.

Sowiński jest zaskoczony, że część wykonanych przez niego w ostatnią niedzielę września 1984 r. zdjęć trafiła do amerykańskiego archiwum. W jego prywatnych zbiorach zachowały się jedynie dwie fotografie. Tym razem kolorowe. Na jednej z nich ksiądz Jerzy modli się w jasnogórskiej kaplicy w tłumie ludzi. Są tam z nim m.in. Seweryn Jaworski, bliski współpracownik Popiełuszki i przewodniczący Komisji Zakładowej Huty Warszawa (wówczas zdelegalizowanej Solidarności), oraz ks. Kazimierz Jancarz, charyzmatyczny kapelan robotniczego podziemia z nowohuckich Mistrzejowic.

– Jak zwykle, robiłem tylko zdjęcia – dodaje Sowiński. – Dopiero po uprowadzeniu księdza Jerzego i odnalezieniu jego zwłok uświadomiłem sobie, że udało mi się uchwycić na tych fotografiach twarz męczennika. Bo to był przecież jego ostatni pobyt w tym miejscu, wśród znanych mu ludzi. Wśród żywych.

© TOMASZ KRZYŻAK, PIOTR LITKA

Korzystaliśmy z materiałów archiwalnych Departamentu III MSW przechowywanych w Instytucie Hoovera w Stanford oraz fragmentów: „Zapisków 1980–1984” ks. Jerzego Popiełuszki (Warszawa 2016) i artykułu Leonida Toporkowa w tłumaczeniu Agaty Marcinkowskiej.

TOMASZ KRZYŻAK jest dziennikarzem „Rzeczpospolitej”.

Ziemia święta

PIOTR KRZYŻEWSKI

Mam do dziś stres pourazowy. Śni mi się całą noc, że kogoś kąpię, i nie mogę tej czynności skończyć. Myślałem, że to miejsce bez Boga.

KŁĘCZĘ NA JEDNYM KOLANIE PRZY ŁÓŻKU pani R. Leży na boku, twarzą do ściany – drobna, cicha kobieta, niezwykle wyrozumiała. Leży od tygodni. Zmieniam jej pieluchę.

Na sąsiednich łóżkach dwie kobiety oglądają TV Trwam. Wybija dwudziesta pierwsza. Z odbiornika słychać śpiew: „Maryjo, Królowo Polski, Maryjo, Królowo Polski, jestem przy Tobie, pamiętam, czuвам”. Zajęty pielęgnacją, nie patrzę na ekran. Najpierw używam papieru toaletowego; wyrzucam go do czarnego worka, który położyłem obok łóżka. Potem – nawilżonych chusteczek.

Apel Jasnogórski dobiega już z łóżek sąsiadek, półgłosem włączających się do modlitwy. Gdy się skończy, wstanę z klęcek i założę podopiecznej czystą pieluchę. Podam wodę. Ktoś wyłączy telewizor, powiemy sobie „dobranoc”. Usłyszę ciche „dziękuję” pani R.

Pójdę do następnego pokoju.

PRACUJĘ JAKO OPIEKUN w dużym mieszkim domu pomocy społecznej. Trzypiętrowy budynek, blisko centrum, lecz w cichym, otoczonym zielenią miejscu. Cztery oddziały, 80 mieszkańców (mniej więcej połowa to osoby niesamodzielne, leżące). Są tu i starzy, lat 90, i młodzi, lat 38. Ludzie z różnych środowisk, z różnymi chorobami, zaburzeniami psychicznymi, uzależnieniami. Po udarach i wylewach, z demencją, alzheimerem. Chciałem tu pracować.

Do moich obowiązków należy: mycie w łóżku osoby niesamodzielnej (toaleta całego ciała), kąpiel pod prysznicem, kąpiel w wannie, mycie głowy osoby leżącej, golenie zarostu, mycie zębów, zmiana bielizny osobistej, zmiana bielizny pościelowej, ręczników, ubrań. Rozwożenie posiłków, przygotowywanie porcji dla leżących, karmienie, pojenie, podawanie basenu, kaczki, opróżnianie worka na mocz, zmiana pieluch,

profilaktyka przeciwoleżynowa (oklepywanie, pielęgnacja skóry, zmiana pozycji), wysadzanie na wózek, reagowanie na dzwonki mieszkańców.

LISTĘ OBECNOŚCI podpisuję o szóstej dziesiąt. W holu przy stołówce jest już wtedy czworo mieszkańców, w tym dwoje na wózkach. Na moje „dzień dobry” podnoszą głowy. Zawsze mają smutne spojrzenia. Budzeni o piątej przez nocną zmianę, która robi im toalety, nie kładą się już spać. Inni zostają w łóżkach do śniadania. Jeszcze inni, przykuci do łóżek, nie wstają w ogóle.

O szóstej trzydziści w pokoju socjalnym jest nas troje opiekunów. „Nocka” – czyli dyżurujący między 18.30 a 6.30 – zdaje raport: co się wydarzyło w ciągu ostatnich godzin, kto zgłaszał dolegliwości, kto się awanturował lub chciał tabletki na sen.

Przebrani w szpitalne dreluchy ruszamy z toaletami na oddziały. Dobrze, że dziś we troje. Zdarza się, że wszystkie czynności musi wykonać dwoje opiekunów. Tak jest w weekendy lub gdy ktoś nie przyjedzie do pracy.

Jestem na oddziale A i B, Mirka na C i D, a Kornela pomaga na wszystkich czterech oddziałach. Biorę wózek z pościelami, pieluchami, ręcznikami, środkami myjącymi. Mam 45 minut na umycie i ubranie sześciu osób. Kwadrans po siódmej muszę być na stołówce, żeby przygotować wózek do rozwiezienia śniadania. Po posiłku musimy zrobić kolejne toalety oraz kąpiele (dziś mam ich sześć) – tak by zdążyć ze wszystkim do obiadu.

TRZYSOBOWY POKÓJ NA PIĘTRZE. Kornela budzi pana W., zachęca go do pójścia do toalety. Jest sprawny, ale trzeba mu powiedzieć, co i jak ma robić. Idą razem do toalety, Kornela pilnuje, żeby usiadł na muszli. Potem pan W. podchodzi do



PIOTR PIWOWSKI / REPORTER

umywalki, mydli dłonie, obmywa twarz, uszy, szyję, ramiona, pachy, wyciera się ręcznikami – wszystko „pod dyktando” opiekunki. Plecy myje i wyciera mu Kornela. Podaje też czystą koszulkę. Następnie pan W. zdejmuje pieluchomajtki i myje swoje okolice intymne. Potem Kornela, już sama, żeby przyspieszyć, myje jego nogi i stopy. Pomaga założyć czyste pieluchomajtki, spodnie, skarpety, koszulkę i bluzę. Tak mija 20 minut.

Ja w tym czasie zajmuję się panem Z., mężczyzną około 60-letnim, pogodnym i życzliwym. Trzeba mu pomóc przy zmianie pieluchy i obmyciu genitaliów. Myję mu jeszcze nogi. Pozostałą toaletę podopieczny robi sobie sam, siedząc na wózku. Pomagam mu włożyć skarpety, spodnie, buty, koszulkę i sweter.

SPIESZYMY SIĘ. Zostały cztery osoby do umycia i ubrania, i tylko 25 minut. Wchodzę na drugie piętro, do pokoju pani G. Jest starszą, leżącą bezwładnie kobietą po amputacji nóg. Chyba nie widzi. Nic nie mówi.

Przygotowuję miskę z ciepłą wodą, ręczniki, gąbki, pieluchę, podkład i czystą bluzkę. Opuszczam zagłówek, wyciągam poduszkę, odkrywam kołdrę i lekko podnoszę panią G., żeby zdjąć przepoconą bluzkę. Wlewam do wody odrobinę mydła, zamaczam gąbkę i przecieram twarz, potem wycieram ręcznikiem; za każdym razem pod miejsca, które myję, podsuwam drugi ręcznik, żeby nie zamoczyć prześcieradła. Dalej myję szyję, klatkę piersiową, ręce i brzuch. Szczególnie zwracam uwagę na miejsca pod piersiami – zaczerwienione, bolesne (gdy przecieram, widzę grymas bólu na twarzy pani G.), smaruję sudokremem.

Z trudem obracam leżącą na bok i obmywam plecy. Nie wyglądają dobrze – pani G. leży już miesiące w jednej pozycji. Powinniśmy co jakiś czas ją obrócić na jeden i na drugi bok, a potem stać przy niej i przytrzymywać w pozycji bocznej, żeby plecy odpoczęły. Ale nie mamy na to czasu.

Odpinam pieluchę. Jest mokra. Mam wrażenie, że ciało w tym miejscu jest od-

parzone. Obmywam i wycieram miejsca intymne, podsuwam pieluchę i zabrudzony podkład z drugiej strony, pod ciało pani G., przewracam ją na bok, odkrywam pośladki. Silne zaczerwienienia wskazują na początek odleżyn. Wyciągam spod leżącej podkład i pieluchę, zwiżam i wrzucam do worka. Myję pośladki, wycieram i smaruję balsamem. Teraz rozkładam podkład i zaraz też czystą pieluchę i podsuwam pod ciało pani G. Przewracam na drugi bok, do siebie, pochylam się, żeby wysunąć z drugiej strony podkład i pieluchę. Wreszcie układam ją na wznak, zapinam pieluchę, jeszcze szybko obmywam kikuty pani G. Potem próbuję przesunąć całe ciało wyżej w stronę zagłówka, ale to trudne do zrobienia samemu, zwłaszcza że pani G. nie może współpracować.

Teraz przykrywam ją kołdrą. Z tyłu głowy porobiły się kołtuny, trudno je rozczesać. Na końcu podkładam poduszkę i lekko unoszę zagłówek. Jest siódma trzydzieści. Od kwadransa powinienem być przy kuchni. Spotykam Kornelę. Zostały →

→ nam dwie osoby do umycia. Ale na prawdę musimy już iść do kuchni. I tak spóźnimy się ze śniadaniem.

W RZECZYWISTOŚCI opisana sytuacja nie ma prawa się zdarzyć. Owszem, zdarzyła się, ale tylko raz, podczas pierwszego dnia mojej pracy, kiedy chciałem dobrze wykonać swoje obowiązki.

Teraz już wiem, że to wszystko musimy robić szybko, pobieżnie, bez należytej staranności i w nerwowej atmosferze. Niektóre czynności pomijamy. Nie ma wyboru. Jak już wspominałem – jest nas dwoje, czasem troje opiekunów na czterdzieścioro leżących! Opisałem tylko podstawowe czynności związane z poranną toaletą. Często zdarza się jednak, że trzeba zmienić zabrudzone w nocy prześcierało i poszwę, oczyścić pośladki z luźnego stolca, albo poprosić pielęgniarkę o zmianę opatrunku na odleżynie.

A co dopiero, gdy przychodzi zrobić pełną kąpiel osoby leżącej, obolałej, cierpiącej – wymagającą szczególnej staranności i ostrożności? Trzeba wtedy nakremować ciało, umyć dłonie zwinięte w pięść na skutek udaru, wymyć przestrzenie pomiędzy palcami stóp, obciąć paznokcie, no i oczywiście umyć głowę – w specjalnej pneumatycznej misce.

Toalety wykonujemy codziennie, a kąpiele raz w tygodniu. Czyli, licząc tylko osoby leżące (pozostałe trzeba ewentualnie zachęcić do wejścia pod prysznic i też trochę dopomóc), codziennie wypada po osiem kąpeli; dochodzą do tego trzydziści dwie toalety (osoby kąpane nie mają toalet). A nas dwoje, troje opiekunów.

JESTEŚMY NA PIERWSZEJ LINII „frontu”, na styku mieszkańca DPS-u ze światem, z życiem w ogóle. To my, opiekunowie, budzimy ich i kładziemy spać, myjemy, dotykamy miejsc intymnych, karmimy, ubieramy, przenosimy na wózki. Na nas skupia się znaczna część ich emocji – bólu, gniewu, złości, irytacji, lęku, niezadowolienia. To my obrywamy, gdy kogoś boli głowa, a jeszcze nie dostał tabletki; gdy posiłek jest niesmaczny, niedosolony lub mięso twarde. My czasem dostajemy w twarz, gdy myjemy niezrównoważonego pana D., pobrudzonego na całym ciele własnymi ekstremamentami. (Tak, dostajemy też uśmiech, dobre słowo, słyszymy „dziękuję”. To rzadkie, ale się zdarza.) Na tym froncie jesteśmy praktycznie sami. Prawie w ogóle nie widzimy

To jest getto, w którym społeczeństwo zamknęło swoich niedołącznych i kłopotliwych członków.

I może teraz spokojnie spać, chodzić do pracy, do kościoła.

w DPS-ie krewnych mieszkańców, ich znajomych, sąsiadów.

Mam do dziś stres pourazowy. Śni mi się całą noc, że kogoś kąpię i nie mogę tej czynności skończyć. Mam wyrzuty sumienia, że nie wykonuję obowiązków tak, jak powinienem. Nie ma jednak cienia szansy, żeby to wszystko – we dwie, trzy osoby – zrobić, wszystkiego dopilnować.

A przecież opieka to także spędzenie czasu razem, by zmniejszyć samotność; to porozmawianie i wysłuchanie bez spoglądania na zegarek; wyjście z kimś na spacer, wspólne obejrzenie programu w telewizji, czytanie książki, gazety. O tym nawet nie śnię. To nie wchodzi w grę. Gdy ktoś mnie zagaduje i widzę, że chce porozmawiać, natychmiast uciekam, by „nie tracić” czasu.

Rodziny mieszkańców DPS-u, ich znajomi, sąsiedzi, współwyznawcy, proboszczowie, społeczność miasta – wszyscy mogą spać spokojnie – w raportach czynności są oznaczone jako wykonane. Stawiam parafkę i pieczętkę w polach oznaczających zrobione toalety, kąpiele, dopajanie, karmienie, profilaktykę przeciwodleżynową.

DO MOICH OBOWIĄZKÓW należy rozwożenie posiłków, przygotowanie porcji i karmienie. W sobotę i niedzielę jest nas dwoje opiekunów. Do obiadów mamy dwa wózki – jeden z zupą, drugi z daniem głównym (z różnymi wersjami dietetycznymi).

Wchodzimy do pokoju z pytaniem „co podać?” – jeśli jest wybór. W pierwszym są dwie panie leżące: jedna wymaga karmienia, druga tylko pomocy przy jedzeniu zupy (z drugim daniem sobie radzi), trzecia nie idzie na stołówkę, choć mogłaby – jej trzeba tylko podać posiłek. Nalewamy zupę do garnuszków, bo tak ła-

twiej karmi się osoby leżące. Nakładamy drugie danie i stawiamy obok garnuszków na stolikach przyłóżkowych. Drugie danie dla pani C. wymaga przygotowania – rozdrobnienia na małe kawałki mięsa. Tę panią trzeba też podsunąć wyżej i podnieść jej zagłówek, by mogła jeść drugie danie. Zupę podam jej dopiero po rozwiezieniu obiadu. Pani A. też dopiero wtedy będzie karmiona.

W ten sposób musimy rozwieźć posiłki do tych czterdziestu osób leżących na czterech poziomach, w wielu pokojach. Dopiero po dotarciu do ostatniego i odwiezieniu wózków do kuchni możemy iść karmić. Posiłki na talerzach są już wtedy zimne. Nie smakują. Karmienie jednej osoby może trwać nawet 20 minut, bo na przykład ktoś nie ma zębów, powoli przeżuwa, krztusi się, zasypia w trakcie jedzenia. A ty wiesz, że jeszcze wiele osób czeka na podanie obiadu. Spieszysz się z podawaniem zupy, ziemniaków, mięsa, surówki. Tracisz cierpliwość.

ROZMAWIAM Z KOLEŻANKĄ, która niedawno zaczęła u nas pracę. To jej pierwszy kontakt z DPS-em. Mówi, że to jest getto, w którym społeczeństwo zamknęło swoich nieproduktywnych, niedołącznych i kłopotliwych członków, powierzyło ich profesjonalistom. I może teraz spokojnie spać, chodzić do pracy, do kościoła, wychowywać dzieci, zajmować się życiem.

Moje pierwsze wrażenia były podobne. A gdy ktoś mnie pytał o pracę, odpowiadałem: ten dom to miejsce samotności, smutku, żalu, frustracji, bólu, odrzucenia, czekania, wypatrywania, rezygnacji, skazania, bezradności, chłodu, zapachu moczu i kału.

NIERAZ PRZYCHODZI MI DO GŁOWY, że to miejsce bez Boga. Bo Bóg nie ma nóg, by tu przyjść z odwiedzinami; oczu, by patrzeć z czułością; uszu, by słuchać o frustracji; rąk, by podać posiłek; ust, by pocałować. Nie ma głosu, by powiedzieć „kocham”.

A jednak – to ziemia święta. Na twarzach, w oczach mieszkańców mojego DPS-u zobaczyłem Jezusa. Jego pragnienie, Jego ciało... Zdawał się mówić: „Jestem błogosławiony płaczący, odrzucony, głodny, samotny, czekający...”

© PIOTR KRZYŻEWSKI

Imiona osób występujących w reportażu zostały zmienione.

SZYMON

Hołownia: Jedność to nie jednomyślność



TO BEZWZGLĘDNE NAJWIĘKSZY KOSZMAR felietonisty: świadomość, że termin oddania tekstu wypada przed nadchodzącym ważnym wydarzeniem, a to, co się napisało, w druku ukaże się już po nim. Formuluje się myśli w świecie zupełnie in-

nym od tego, w którym będą odczytane. Inne będą horyzonty, inne społeczne emocje. Ten tekst piszę w przedwyborczy piątek. W środę, gdy wezmą Państwo do rąk gazetę, będę pewnie aż kipiał od sądów, ocen, pomysłów na to, jak się odnaleźć w nowej dla nas wszystkich sytuacji (choć może wyglądającej jak stara, ale każda kolejna kadencja starej władzy jest też przecież nieuchronnie kolejnym krokiem na drodze do jej końca). Co oprze się temu mechanizmowi? Jaka myśl o Polsce, aktualna dziś, będzie taka też za dni parę?

Różne zamieszania ostatnich miesięcy coraz bardziej układają mi się w dwa przekonania. Po pierwsze: gdy popatrzymy na biskupów, na polityków, niektórych nauczycieli, publicystów czy tzw. Kowalskich – wygląda na to, że Polska wciąż tkwi w latach 90. XX w., pogrążona w jałowych sporach sprzed lat prowadzonych przy użyciu narzędzi pamiętających kadencje Wałęsy i Kwaśniewskiego. Na dobrą sprawę nie rozpoczęła jeszcze (bo nie umie) wieku XXI. Spostrzeżenie drugie: nie przestaje generować w sobie nowego, dobrego potencjału. To, czy z niego korzysta, to temat na inną opowieść. Bo jasne, że częściej nie idzie, iż idzie. Ale te możliwości jednak są. I nawet jeśli nie grają jeszcze rolę pierwszoplanowych, to już stanowią nieodłączny element tła, a z każdym ich kolejnym pojawieniem się coraz trudniej będzie wyobrazić sobie, że mogłoby ich w tym obrazie nie być.

Siła wielu wspaniałych ludzi, którzy znaleźli się na listach wyborczych (partyjnych, bo w naszej demokracji nie da się inaczej), nie skończy się przecież, gdy nie zostaną (choć oby zostali) wybrani. Oni wrócą do swoich fundacji, stowarzyszeń, osiedli, przychodni czy zakładów, wrócą do dobrej roboty, ale dzięki kampanii już o nich usłyszeliśmy, już zobaczyliśmy, że można więcej niż tylko bić pianę i recytować partyjne przekazy dnia. Wrócą też prędzej czy później na te czy inne listy. Już o ten krok bardziej rozpoznawalni, już przez iluś ludzi wcześniej usłyszani. Wyścig po polityczną sprawczość to czasem szybki marsz, dla innych jednak dłuższa, ale też przecież niepozbawiona sensu droga. Głęboko wierzę, że dożyję czasów, gdy to właśnie tacy ludzie, a nie aparaczczycy, zajmować będą „biorące” miejsca na listach. Jasne, że kampania wyborcza w wykonaniu polskich partii to często kłamstwo, manipulacja, bagno. Ale ja dzięki niej właśnie wyłapałem z banerów, postów i ulotek parę osób, o których istnieniu nie miałem pojęcia, a prześledziwszy ich działania, zaliczyłem motywowany podziwem opad żuchwy. Będę im kibicował, będę z nimi trzymał, zostanę z nimi na długo.

Nie inaczej w Kościele. W zalewie hierarchicznego pustostwa, głupich, kurialnych (myślę tu zwłaszcza o Gdańsku) oświadczeń, homilii – horrorów klasy D wciąż z tym samym, coraz to straszniejszym dzieciobójczym bohaterem (któremu na imię rzecz jasna LGBT), pojawiła się też przecież ostatnio wspaniała wiadomość o powołaniu pod auspicjami delegata KEP ds. ochrony dzieci i młodzieży Fundacji św. Józefa, mającej być nie tyle funduszem odszkodowawczym dla ofiar księży pedofilów, co źródłem wsparcia prawnego, eksperckiego, psychologicznego czy stypendialnego dla pokrzywdzonych. Fundacją pokieruje Marta Titaniec, wspaniała i doświadczona specjalistka od pomocy humanitarnej i rozwojowej (była szefową działu projektów zagranicznych w Caritasie jeszcze przed tym, jak dokonała się w nim „dobra zmiana”), znająca też jednak dobrze i ten temat – współtworzy zorganizowany przez święckich poza kościelnymi strukturami telefon zaufania „Zranieni w Kościele”, często sama w nim dyżurując i angażując się po stronie ofiar w pracę nad ich osobistymi dramatami.

Polityka, Kościół i każdy inny obszar, w którym spotykają się ludzie, rzadko bywa monokulturową uprawą chwastu lub pszenicy. Ja, po polskich doświadczeniach ostatnich lat, coraz częściej mam ochotę odpuścić metaperspektywę, zapisywać się do całego pola; wołę skupić się na jednej, uznawanej przeze mnie za życiodajną, sekcji. Odczuwam i zamierzam pielęgnować eucharystyczną jedność z arcybiskupem Jędraszewskim czy Głódziem, nie zamierzam jednak frustrować się dłużej jałowymi próbami ustanowienia z nimi jedności na poziomie, na którym oceniamy otaczającą nas rzeczywistość. Nie łamię jedności Kościoła, szukając w nim miejsca, w którym Jezus nie jest tropicielem gejowskich spisków czy sekretarzem fanklubu pana Jarosława. OK – mamy różne zdania, zgódźmy się co do tego, co niezbędne. Uznajmy, że polski Kościół może mieć owe różne zdania w zakresie publicystyki. Spierajmy się, nawet mocno, ale nie bawmy się w symboliczne ekskomuniki. Uznajmy to, co i tak jest dziś faktem: jeden polski Kościół jest dziś wtedy, gdy przyjmujemy komunię i mówimy *Credo*.

Poza tym mamy wiele, być może nawet dziesiątki polskich Kościołów. Czy nie tak samo było u początków chrześcijaństwa? Gminy o różnym charakterze, wrażliwości, obyczajach, potrzebach. Spięte autorytetem apostołów, a nade wszystko współdzieloną nadzieją. Znajdź sobie miejsce w jednej z nich i przestań napadać na innych, by myśleli tak samo, frustrować się tym, że tak samo nie myślą. Mylenie jedności z jednomyślnością zaprowadzić nas może jedynie na cmentarz wojenny.

Gdybym miał się pokusić o samoocenę, powiedziałbym pewnie, że jestem genetyczną krzyżówką realisty z optymistą. Gołym okiem widzę, że jest źle. To nie znaczy jednak, że jest beznadziejnie. A skąd! Co zrobić, żeby było dobrze? To, o czym już na tych łamach pisałem. Co najmniej tyle czasu, ile poświęcamy na walkę ze złem, poświęcić na wspieranie dobra. Ile pomyj wylewamy na złych polityków, tyle miodu wylać na polityków (czy kandydatów) dobrych. Ile psioczenia na niemądrych hierarchów, tyle lajków (na różne sposoby wyrażanych) dla tych, którzy robią rzeczy dobre. Ile energii wydanej na krytykowanie wstrętnych mediów, tyle wspierania tych uczciwych i mądrych.

Chcemy lepszej Polski, lepszego Kościoła? Samo się, proszę Państwa, nie zrobi. ©



FRONT ERDOĞANA

Kurdowie czują się ponownie zdradzeni przez Amerykanów. Wprawdzie sprawa nie jest tak prosta, ale turecka inwazja w Syrii może mieć fatalne skutki. Turcja budzi upiory, o których sądzono, że należą do historii.

INGA ROGG Z JEROZOLIMY

HENRY KISSINGER JEST AUTOREM SŁYNEGO zdania, że tajnych operacji nie należy mylić z działalnością misyjną. Ówczesny amerykański sekretarz stanu wypowiedział te słowa w 1975 r. – po tym, gdy Waszyngton wycofał swoje poparcie dla irackich Kurdów, którzy wystą-

pili zbrojnie przeciwko reżimowi Saddama Husajna. W praktyce oznaczało to, że kurdyjscy powstańcy, walczący pod wodzą Mustafy Barzaniego (ojca Masuda Barzaniego, obecnego prezydenta autonomii kurdyjskiej w północnym Iraku), zostali wydani na łaskę i niełaskę dyktatora

z Bagdadu. Powstanie upadło, a 100 tys. zwolenników Barzaniego seniora musiało uciekać do Iranu.

Historia według Kurdów

Nie był to pierwszy raz – oraz, jak się miało okazać, nie ostatni – gdy Amery-

Syryjskie miasto Ras-al-Ajn w dniu rozpoczęcia tureckiej ofensywy – widok z drugiej strony granicy, 9 października 2019 r.



BURAK KARA / GETTY IMAGES

kanie zostawili Kurdów na lodzie. Kiedy pod koniec lat 80. armia Saddama Husajna użyła gazów bojowych, a dziesiątki tysięcy irackich Kurdów spoczęły w masowych grobach, Amerykanie (podobnie jak Europejczycy) nie tylko przyglądali się temu beczynnie, lecz – wbrew własnemu przekonaniu – odpowiedzialnością za te masakry obarczali rewolucyjny Iran.

Kilka lat później, w 1991 r., po wojnie w Zatoce Perskiej – kiedy to międzynarodowa koalicja podczas operacji „Pustynna Burza” odbiła Kuwejt (zajęty w sierpniu 1990 r. przez Husajna) i zadała poważne straty armii irackiej – ówczesny rząd USA wezwał wszystkich uciśnionych w Iraku do powstania przeciw dyktatorowi. Ale tylko po to, aby następnie pozostawić Kurdów – oraz w jeszcze większym stopniu irackich szyitów – bez

wsparcia wobec morderczej maszyny despoty.

Jednak – z punktu widzenia Kurdów – grzech pierwotny owej „zdrady” miał się zacząć znacznie wcześniej: wkrótce po I wojnie światowej, kiedy to w 1923 r. politycy zwycięskich państw (na czele z Wielką Brytanią i Francją) podpisali w szwajcarskiej Lozannie traktat pokojowy z Turcją, ustalający nowe granice i strefy wpływów na Bałkanach i Bliskim Wschodzie. Kurdowie uważają, że zostali wówczas oszukani, gdyż traktat ten nie przewidywał utworzenia ich osobnego państwa, choć, jak twierdzą, zostało im to obiecane.

Pomijając cynizm (zwłaszcza w obliczu użycia broni chemicznej), historia ta była jednak znacznie bardziej skomplikowana, niż mogłoby sugerować samo powyższe wyliczenie. Chodzi nie tylko

o geopolityczne uwarunkowania każdego z tych momentów historycznych, lecz również o fakt, że wśród samych Kurdów zawsze istniały różne nurty polityczne, które zmierzały do realizacji odmiennych interesów.

Ale, jak wiadomo, historyczne fakty to jedno, a ich interpretacje to coś innego. A w tej kwestii większość Kurdów jest dzisiaj zgodna: dla nich jest to historia zdrady. Ostatni rozdział w owej „historii zdrady” napisał właśnie prezydent Donald Trump, dając Turcji zielone światło dla jej inwazji w północno-wschodniej Syrii.

Lekcje z Afrinu

Inaczej niż w czasach kissingerowskiej Realpolitik, dramaty polityczne (ze sfery i polityki międzynarodowej, i wewnętrznej) rozgrywają się dziś – w epoce tweetów i internetowych przecieków – nie tylko w czasie rzeczywistym, ale także na oczach światowej opinii publicznej. Przy czym, gdy mowa o decyzji Trumpa i jej możliwych konsekwencjach, uwaga tej opinii skupia się zwłaszcza na jednej kwestii: że decyzja ta może przyczynić się do ponownego wzmocnienia ugrupowania terrorystycznego, znanego jako Państwo Islamskie.

Mniejszą wagę przywiązuje się natomiast (o ile w ogóle) do szeroko zakrojonych planów, które turecki prezydent Recep Tayyip Erdoğan ma wobec tego regionu. Chce on nie tylko zlikwidować „terrorystyczny korytarz” – jak nazywa obszar Syrii położony między Eufratem i iracką granicą, który dziś pozostaje pod kontrolą kurdyjskich bojowników z Ludowych Sił Samoobrony (YPG). Perspektywę rozpoczętej w minionym tygodniu tureckiej inwazji w tym regionie Erdoğan osładza – własnej oraz zagranicznej opinii publicznej – wizją osiedlenia tu syryjskich uchodźców, którzy poszukali schronienia w Turcji. Prezydent Turcji przedstawił zresztą niedawno ten plan na forum Zgromadzenia Ogólnego ONZ – odnotujmy, że nie spotkał się w tym gremium z jakimś szczególnym sprzeciwem.

Erdoğan powołuje się przy tym – a nawet się tym chwali – na rzekomo →

→ pomyślną turecką operację wojskową w północno-zachodniej Syrii, której efektem było także wyparcie bojowników YPG z regionu Afrin. Ale Afrin opuścili wtedy nie tylko bojownicy: ponad 100 tys. Kurdów, którzy uciekli wówczas przed inwazją Turków, do dziś żyje w obozach uchodźczych koło Aleppo. Ich domy zostały skonfiskowane – za milczącą zgodą Ankary – przez sprzymierzone z Turcją syryjskie grupy islamistyczne, a następnie rozdzielone między wygnańców przybyłych tu z innych regionów Syrii, które kiedyś były bastionami rebelii przeciw prezydentowi Asadowi, a następnie musiały po kolei kapitulować (umowy o kapitulacji przewidywały zwykle, że bojownicy, ich rodziny i chętni cywile mogą swobodnie odejść).

Równocześnie wojska tureckie albo nie są w stanie, albo nie mają po temu woli, by przeciwdziałać bezprawiu, jakie szerzą ich sojusznicy islamiści. Z Afrinu docierają informacje, że niemal codziennie dochodzi tu do uprowadzeń, których ofiarą padają kurdyjscy cywile. Porwani są zwalniani po zapłaceniu wysokiego okupu, ale czasem mordowani. – Porwań jest tak dużo, że nawet nie jesteśmy w stanie ich dokumentować – mówi pewien lokalny działacz kurdyjski, który chce pozostać anonimowy. – Jeden mój znajomy był tak brutalnie torturowany, że po uwolnieniu od razu trafił do szpitala.

Syryjscy islamiści mają polować także na domniemanych sympatyków Ludo- wych Sił Samoobrony, więzić ich i torturować. Doniesienia z Afrinu potwierdza raport Amnesty International z sierpnia tego roku: mowa jest w nim, że turecka okupacja regionu doprowadziła do łamania praw człowieka na poważną skalę.

Cytowany kurdyjski działacz, który początkowo popierał turecką inwazję, dziś jest rozczarowany i się boi. – My, Kurdowie, nie mamy już tutaj żadnych praw – mówi i przywołuje kolejny przykład: kurdyjscy pracownicy administracji miasta, którzy zostali w Afrinie, mieli zostać w międzyczasie zastąpieni przez Arabów.

Bojownicy YPG, którzy musieli ulec przeważającym siłom tureckim i wycofać się z Afrinu, teraz odpowiadają taktyką walki partyzanckiej, dokonują coraz częściej zamachów.

Chrześcijaństwo też się boją

To, co nie udało się Erdoğanowi w Afri- nie, może się okazać jeszcze trudniejsze w północno-wschodniej Syrii. W walce z Państwem Islamskim bojownicy YPG i ich sojusznicy stracili 11 tys. zabitych i ponad 20 tys. rannych, mężczyzn i kobiet. To są tysiące rodzin, na których lojalność siły YPG mogą liczyć i które nie zaakceptują tego, że Kurdowie znowu tracą to, co osiągnęli za cenę wielkich ofiar. A już na pewno nie będą się bezczynnie przyglądać, jak władzę przejmują wspierani przez Turcję syryjscy islamiści, z których część kilka lat temu działała w zмовie z Państwem Islamskim.

Według szacunków ONZ w regionie, o którym mowa, żyje 758 tys. cywilów; wśród nich ponad 115 tys. wygnańców, którzy uciekli z terenów kontrolowanych przez Państwo Islamskie. Żyje tam również liczna mniejszość chrześcijańska. To potomkowie tych, którzy ocalili z masakr, jakie miały miejsce ponad sto lat temu w Imperium Osmańskim. Zostawiając w tym momencie na boku uproszczoną historię zdrady, mają oni dobre powody, aby kompletnie nie ufać Turcji oraz jej syryjskim klientom i sojusznikom. Erdoğan deklaruje, że chce naprawić bezprawie, jakie w regionie mieli wyrządzić bojownicy YPG. Ale planowane przez tureckiego prezydenta osiedlenie tam Arabów wywołuje wśród Kurdów i chrześcijan wspomnienie o czystkach etnicznych i wypędzeniach z przeszłości.

Turecka ofensywa w północnej Syrii dopiero się rozpoczęła. Trudno powiedzieć, jaki będzie mieć zasięg. Ale dwie rzeczy są już pewne: Turcja musi nastawić się na wojnę na kolejnym froncie, mającym charakter wojny powstańczej, partyzanckiej, jej inwazja zaś musi doprowadzić do kolejnego masowego eksodusu ludności, kolejnych tysięcy uchodźców.

Przed takim scenariuszem ostrzegają dziś iraccy Kurdowie, czyli ci, którzy 45 lat temu zostali porzuceni przez Kissingera.

© PRZEŁOŻYŁ WP

INGA ROGG jest reporterką szwajcarskiego dziennika „Neue Zürcher Zeitung”, specjalizuje się w tematyce Bliskiego Wschodu. Przez wiele lat pracowała w Bagdadzie, a następnie w Stambule. Obecnie mieszka w Jerozolimie.

Gorąca irlandzka granica

KATY HAYWARD, SOCJOLOŻKA:

Boję się, że brexit bez porozumienia zniszczy Irlandię Północną. Tymczasem nie robi się dość, by temu zapobiec.

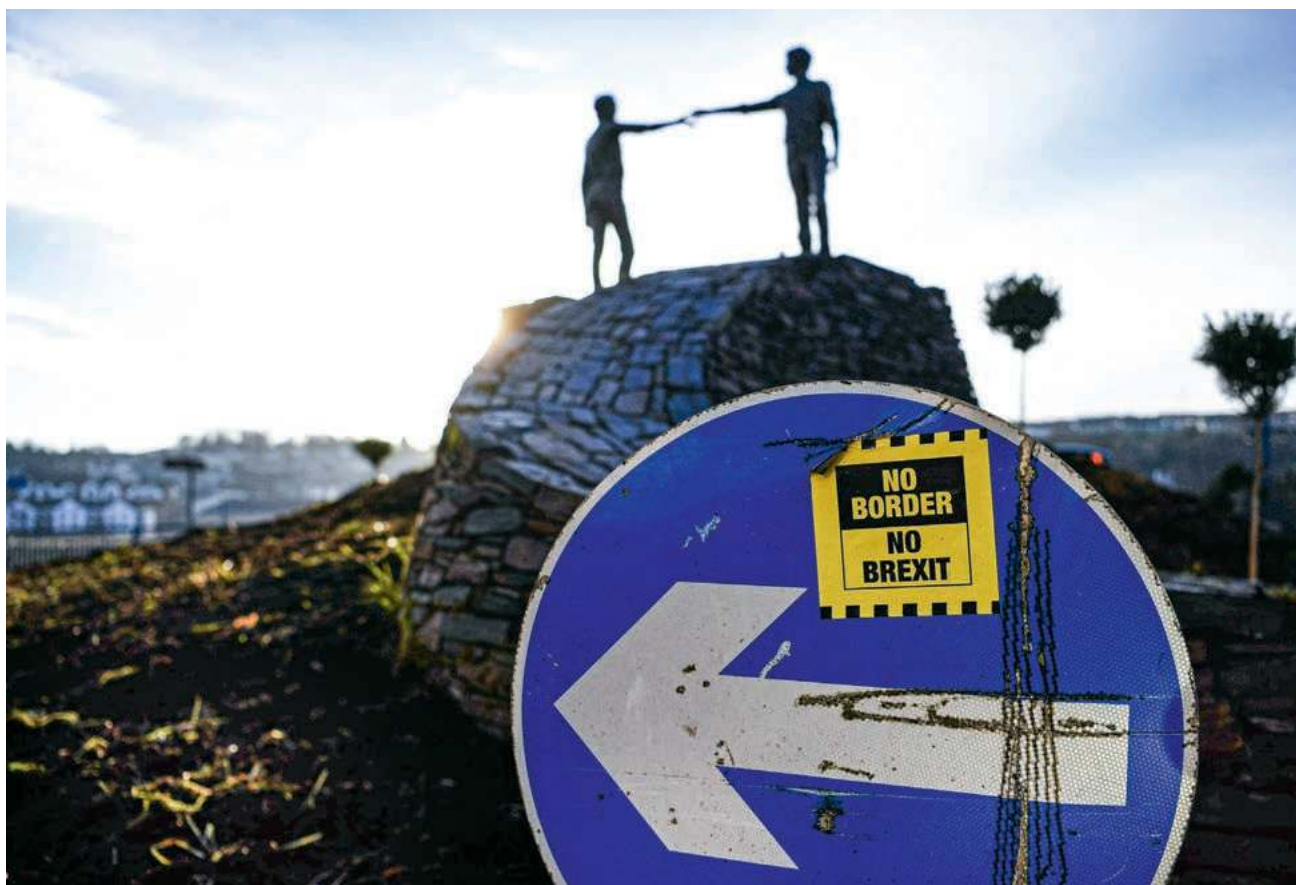
PATRYCJA BUKALSKA: Kwestia granicy między Irlandią Północną a Republiką Irlandii okazała się najtrudniejszym punktem negocjacji brexitowych. Wygląda to tak, jakby złożoność problemu zaskoczyła polityków. Nie analizowali tego wcześniej?

KATY HAYWARD: Gdy okazało się, że odbędzie się referendum brexitowe, w Irlandii Północnej szybko zdaliśmy sobie sprawę, jak poważne może to mieć dla nas skutki. W końcu zmieni się relacja między Wielką Brytanią a Irlandią. Jednak dopiero gdy premier May oświadczyła, że brexit będzie oznaczał wyjście i ze wspólnego rynku, i z unii celnej, zrozumieliśmy, jak wielki będzie mieć to wpływ właśnie na irlandzką granicę.

Odliczanie trwa

JESZCZE NIGDY w ciągu tych minionych ponad trzech lat, od brytyjskiego referendum w czerwcu 2016 r., sytuacja wokół brexitu nie była tak niepewna, a stosunki między Londynem a Brukselą tak napięte. Choć rozmowy trwają, w sukces wierzy niewiele. Premier Boris Johnson jak mantrę powtarza, że Wielka Brytania przestanie być członkiem Unii Europejskiej 31 października.

Szanse na porozumienie maleją nie tylko z powodu kurczącego się czasu, ale też z braku pomysłu, jak rozwiązać problem tzw. *backstopu*. To gwa-



„Ręce ponad podziałem” – rzeźba Maurice’a Harrona w Londonderry, Irlandia Północna, marzec 2019 r.

Mimo to w mediach, zwłaszcza brytyjskich, początkowo nie poświęcano temu wiele uwagi. Może dlatego, że politykom zdarza się mówić o Brytyjczykach jako „narodzie wyspiarzy” i myśląc o granicach, myślą chyba tylko o tych morskich... Dopiero po publikacji wspólnego raportu negocjatorów unijnych i brytyjskich w grudniu 2017 r. ludzie zaczęli sobie zdawać sprawę, jak to będzie skompli-

kowane. I że nie chodzi tylko o wspólny rynek, ale także o politykę.

Czy jest możliwe znalezienie rozwiązania?

Ależ nie uważam, aby było to niemożliwe! Natomiast w tej chwili strona brytyjska nie wydaje się skłonna do kompromisu. Kompromisem było porozumienie wynegocjowane przez premier

May i właśnie *backstop* [patrz ramka – red.]. Myślę, że ponieważ brexit jest sprawą tak bardzo ideologiczną, długo był on prezentowany jako coś prostego: wyjdziemy z Unii, odzyskamy suwerenność i kontrolę itd. Nie zajmowano się szczegółowymi rozwiązaniami, kosztami wyjścia z Unii. Aż do chwili, gdy przyszła pora, by zająć się irlandzką granicą. Ta kwestia wymaga kompromisu →

rancja – ustalona w umowie wynegocjowanej przez Unię i poprzedni brytyjski rząd Theresy May (nie ratyfikowanej jednak przez brytyjski parlament) – że granica między Irlandią Północną (która wraz z resztą Wielkiej Brytanii opuści Unię) a Republiką Irlandii (krajem członkowskim) pozostanie otwarta i nie będzie traktowana jak zewnętrzna granica Unii (czyli tak, jak np. granica polsko-ukraińska, ze wszystkimi szczegółowymi kontrolami, osobowymi i celowymi). Johnson nie zgadza się

na tzw. *backstop* – uważa, że wówczas kraj nadal będzie zależny od Unii. Przy tym wszystkie strony – także rząd w Londynie – deklarują, że nie chcą „twardej” granicy. W miniony czwartek Johnson i premier Irlandii Leo Varadkar rozmawiali (kolejny już raz), szukając rozwiązania; we wspólnym komunikacie po spotkaniu mowa była o ostrożnym optymizmie, ale szczegółów nie podano. Tymczasem w czwartek, 17 października, zaczyna się szczyt Unii: ostatni, na którym

mogłyby zapadnąć decyzje dotyczące brexitu i nowego porozumienia z Londynem. Równocześnie jeśli do soboty 19 października brytyjski parlament nie ratyfikuje umowy regulującej wyjście z Unii, premier powinien poprosić Brukselę o kolejne przesunięcie terminu. Johnson zarzeka się, że tego nie zrobi – choć zobowiązuje go do tego ustawa, przyjęta przez parlament. Kością niezgody pozostaje właśnie granica dzieląca wyspę Irlandię. Dlaczego jest ona obecnie tak istotna? Zapytaliśmy

o to dr Katy Hayward, socjologkę i politologkę, wykładowcą na Queen’s University w Belfaście w Irlandii Północnej i współpracującą z think tankiem „UK in a Changing Europe” („Wielka Brytania w zmieniającej się Europie”). Hayward jest autorką wielu książek i ponad dwustu publikacji, dotyczących głównie irlandzkiej granicy i procesu pokojowego. W przeszłości była wielokrotnie proszona o opinię przez komisje parlamentów Zjednoczonego Królestwa i Republiki Irlandii. © PB

⇒ nie uzna, będzie to kwestia nierozwiązywalna.

Mówiąc o sytuacji w Irlandii Północnej, użyła Pani niedawno wiele mówiącego określenia: że uderza w nią „burza absolutna” [ang. *perfect storm*]. Burza polityczna, gospodarcza, kulturowa, społeczna... W jakim sensie?

To określenie nie jest moje, to cytuję z ankiety, jaką prowadziliśmy w środkowym regionie przygranicznym, po obu stronach granicy. Pytaliśmy ludzi, jak odczuwają to, co się dzieje w związku z brexitem. Mnóstwo respondentów mówiło o wielkim niepokoju, stresie, o tym, że mają świadomość, iż brexit może zakłócić wszystkie sfery ich życia. Określenie „burza absolutna” pojawiało się nie raz. Chodzi nie tylko o zakłócenia w gospodarce, ale o cały wymiar polityczny, czyli zmianę relacji między Wielką Brytanią a Irlandią. Tymczasem proces pokojowy w Irlandii Północnej opierał się na założeniu bliskiej współpracy irlandzko-brytyjskiej. Napięcia w stosunkach brytyjsko-irlandzkich i jeszcze w dodatku konkretna granica, która miałaby powrócić, uderzą w lokalne społeczności. W ludziach pojawia się lęk i niepewność.

Wydaje mi się, że w Anglii ludzie odczuwają w związku z brexitem głównie zniecierpliwienie, chcą mieć to za sobą. Z tego, co Pani mówi, wynika, że w Irlandii Północnej dominuje niepokój.

Niepewność szczególnie dotyczy przedsiębiorców. Chcieliby coś planować, a nie mogą.

Jaki jeszcze wpływ brexitu można już teraz zaobserwować?

W badaniach prosiliśmy ludzi o przykłady decyzji, na które brexit miał wpływ. Wiele osób nie przyjęło oferty pracy po drugiej stronie granicy, zdecydowało się nie poszerzać działalności swojej firmy, nie posyłać dziecka do szkoły po tamtej stronie. Ktoś sprzedał połowę stada bydła, przewidując dotkliwe uderzenie w rolnictwo i przemysł przetwórczy. Kogoś zwolniono z pracy. Ktoś nie może sprzedać domu. Bez względu na to, co się stanie – czy brexit zostanie znów odwołany w czasie, czy będzie drugie referendum lub brexit bez porozumienia – to i tak konsekwencje już widać. Przypomina się prze-

szłość: ludzie znów planują życie tak, aby nie musieli przekraczać granicy.

A jakie są nastroje, w sprawie zjednoczenia Irlandii? Teraz nie ma dla niej większości, ale czy to się może zmienić?

Następnego dnia po referendum brexitowym, jak tylko ogłoszono wyniki, Sinn Féin [partia północnoirlandzkich katolików, w przeszłości polityczne ramie podziemnej Irlandzkiej Armii Republikańskiej, która aż do porozumienia w 1998 r. prowadziła zbrojną walkę o zjednoczenie wyspy – red.] oświadczyła, że trzeba teraz przeprowadzić referendum w sprawie zjednoczenia, tzw. *border poll*.

Przypomnijmy, że taką możliwość zapisano w Porozumieniu Wielkopiątkowym z roku 1998.

Widać dziś niewielki, ale jednak zauważalny wzrost poparcia dla zjednoczenia. To jednak sprawia, że osoby, głównie z katolickich rodzin, które nie określiłyby się same jako nacjonalisci i dotąd optymistycznie widziały swoje miejsce w Zjednoczonym Królestwie, zaczynają się czuć niekomfortowo. Z kolei unioniści [zwolennicy przynależności Irlandii Północnej do Wielkiej Brytanii – red.] jeszcze bardziej zacinają się w swoim sprzeciwie wobec zjednoczenia. Znów widzimy polaryzację, intensywne emocje, o których zdążyliśmy już zapomnieć. Także perspektywa referendum zjednoczeniowego zwiększa niepewność.

Ale dziś jest tu nowy aspekt: zjednoczenie oznaczałoby, że Irlandia Północna wróciłaby do Unii. To dodatkowy plus dla tych, którzy może wcześniej niewiele myśleli o zjednoczeniu, ale są zdecydowanie proeuropejscy. W kręgach kulturalnych, wśród ludzi młodych toczą się interesujące dyskusje, jak ta zjednoczona Irlandia mogłaby wyglądać, jak dopasować do tego brytyjskość. To trudne rozmowy, ale one są rozpoczynane.

Problem w tym, że w każdym referendum są tylko dwie możliwe odpowiedzi: za lub przeciw. To zawsze polaryzuje. Wdzieliśmy to w głosowaniu nad brexitem i powinniśmy wyciągnąć z tego wnioski. I jeszcze jedno: brexit zmienił kontekst takiego głosowania. Po wyjściu Wielkiej Brytanii z Unii różnica między nią a Irlandią będzie znacznie większa, niż gdyby w niej pozostała. Wcześniej, gdy oba państwa poruszały się po tej samej trajektorii,

zjednoczenie Irlandii byłoby oczywiście wielką zmianą, ale nie tak dramatyczną.

Czy Irlandię Północną może znów dotknąć przemoc na większą skalę?

Grupy paramilitarne biorą na celownik przedstawicieli państwa, jego reprezentację. To tak zginęła Lyra McKee: stała obok policyjnego wozu [McKee była dziennikarką, została śmiertelnie postrzelona podczas zamieszek w Londonderry w kwietniu – red.]. Zamieszki nie są rzadkością w Irlandii Północnej, dochodzi do nich np. przy okazji parad. Obie strony – bo mówię też o bojówkach unionistów – atakują jednak przede wszystkim policję, a nie siebie nawzajem. W przypadku powrotu granicy to policjanci w rejonie przygranicznym będą celem. Oni sami mają takie obawy. Ostatnio kilkakrotnie podkładano bomby: jedną ukryto w żywopłocie na trasie przejazdu patrolu policyjnego, drugą pod samochodem policjanta. Nie zostały zdetonowane, ale mogły być.

Czyli te ugrupowania nadal są aktywne?

Nie wszyscy zniknęli po tym, jak zakończył się okres „The Troubles” [„Kłopotów”; tak tutaj mówi się o *de facto* wojnie domowej, zakończonej w 1998 r. – red.]. Zmienili tylko swoją rolę, niektórzy przeszli w świat przestępczy. Utrzymali jednak pozycję w swoich lokalnych społecznościach, czasami przez legalną reprezentację. Wydaje się, że rzeczywiście rekrutują nowych członków, podczas gdy jeszcze kilka lat temu mówili: „Po co mielibyśmy to robić, gdzie jest zagrożenie?”.

Referendum zjednoczeniowe i „twarda” granica po brexicie mogą doprowadzić do ich radykalizacji?

Tak. Dlatego tak ważne są demokratyczne mechanizmy. To, aby ludzie mieli zaufanie do polityków, do swoich reprezentantów, aby wierzyli, że ich głos ma znaczenie.

Z pewnością, ale północnoirlandzki parlament jest zawieszony, od prawie trzech lat nie ma regionalnego rządu. Powodem jest brak porozumienia między największymi partiami: republikańską Sinn Féin i unionistyczną DUP. W rezultacie w tym ważnym czasie Irlandia Północna nie ma urzędujących władz.

Widać więc, że nie ma tu żadnego przywództwa. Jednocześnie Demokratyczna Partia Unionistyczna (DUP) zyskała niezwykle silną pozycję dzięki poparciu, jakiego udzielała torysom w Westminsterze [rząd premier May nie miał większości w parlamencie, stąd musiał sięgnąć po poparcie posłów DUP – red.]. To zniekształciło scenę polityczną w Irlandii Północnej. Sinn Féin jest aktywna w niektórych brexitowych kwestiach, jak prawa człowieka, ale raczej stara się ten czas przeczekać.

A większość ludzi w Irlandii Północnej po prostu chciałaby żyć, pracować, rozwijać firmy...

...zamiast podejmować dramatyczne decyzje. Tymczasem pojawia się jeszcze jeden czynnik: grupa osób, która określa swoją tożsamość jako północnoirlandzką. Nie brytyjską i nie irlandzką. Kim są?

Rzeczywiście, takich osób jest coraz więcej. Zwykle pochodzą z rodzin protestanckich, przeważnie są unionistami. Co jednak jeszcze ciekawsze: większość ludzi, których o to pytaliśmy, deklarowała dwie narodowości: brytyjską i irlandzką. Nie chcą wybierać albo-albo. Widać wzrost ich liczby od czasu Porozumienia Wielkopiątkowego i myślę, że to pozytywne zjawisko, bardzo europejskie. Co więcej: gdy pada pytanie, „czy jesteś nacionalistą, unionistą czy żadnym z nich”, widać, że systematycznie rośnie grupa osób wybierających tę ostatnią odpowiedź. Dawniej deklarowali to głównie ludzie młodzi, teraz również starsi. W 2018 r. takiej odpowiedzi udzieliła nam ponad połowa respondentów. To znaczące, tym bardziej że polityka w Irlandii Północnej koncentruje się wokół bycia nacionalistą czy unionistą.

W ostatnich wyborach do Parlamentu Europejskiego bardzo dobry wynik uzyskała centrowa Partia Sojuszu Irlandii Północnej (Alliance Party of Northern Ireland), opowiadająca się za pozostaniem w Unii. Nie wiadomo jednak, czy ta tendencja utrzyma się do wyborów parlamentarnych.

A czy można jednak zauważyć jakieś pozytywne zmiany w Irlandii Północnej związane z brexitem?

Tak, to nawet zaskakujące, ale brexit sprawił, że ludzie są bardziej aktywni



IVAN EWART / QUEEN'S UNIVERSITY BELFAST / MATERIAŁY PRASOWE

KATY HAYWARD:

Zjednoczenie wyspy oznaczałoby, że Irlandia Północna wróciłaby do Unii. To dodatkowy plus dla tych, którzy są zdecydowanie proeuropejscy.

w strefie publicznej, chętniej się wypowiadają, przedstawiają swoje zdanie. Na przykład od razu po referendum przedsiębiorcy nie wypowiadali się wcale lub bardzo ostrożnie, z powodu politycznej presji.

Brak urzędującego parlamentu w Stormont [budynek, w którym mieści się parlament lokalny Irlandii Północnej – red.] i perspektywa brexitu bez porozumienia to zmieniła. Teraz kręgi biznesowe chcą, by je usłyszeć, są głośnie i mówią jednym głosem. Ich powołanie ma zasadnicze znaczenie dla przyszłości Irlandii Północnej, więc mam nadzieję, że ta tendencja utrzyma się również po brexicie.

Czego powinniśmy się spodziewać w przypadku twardego brexitu?

Widać pewne przygotowania do egzekwowania granicy ze strony rządu irlandzkiego. Jeśli chodzi o zastosowanie nowych regulacji, to w pierwszych dniach będą one raczej po południowej stronie granicy. Na pewno można się spodziewać większej liczby patroli policyjnych. Przewożone z północy towary trzeba też będzie zadeklarować wcześniej. Nie ma jednak uaktualnionej instrukcji dla przedsiębiorców w Ir-

landii Północnej – poprzedni zestaw porad rząd wydał jeszcze przed marcem, pierwszym terminem brexitu. Jest poczucie, że Londyn uważa, iż to problem Dublina i on nie będzie forsował wprowadzenia granicy.

Bo to Dublin będzie odpowiedzialny za zewnętrzną granicę Unii.

To krótkowzroczna strategia. Po pierwsze, przedsiębiorstwa z Irlandii Północnej handlujące z południem będą zmuszone do płacenia ceł. A firmy irlandzkie być może nie będą musiały. Brak kontroli granicy ze strony Wielkiej Brytanii otwiera furtkę dla organizacji przestępczych i nadużyć.

Mówimy o biznesie, ale co z ludźmi?

Np. tymi, którzy przekraczają granicę kilka razy dziennie, jadąc po dzieci do szkoły lub do szpitala? W Pani raporcie z 2017 r. aż 13 proc. ankietowanych deklarowało, że przekracza granicę codziennie, a 12 proc., że kilka razy dziennie.

Początkowo nie będą raczej nią dotknięci. Dla nich powracająca granica będzie miała przede wszystkim znaczenie symboliczne, emocjonalne.

Boję się, że brexit bez porozumienia zniszczy Irlandię Północną, tymczasem nie robi się dość, by temu zapobiec. Trwa przerzucanie odpowiedzialności, a wśród ludzi narastają frustracja i rozgoryczenie. Oni zdecydowali się żyć i mieszkać w Irlandii Północnej, posłać tam dzieci do szkół, założyć firmy, a teraz czują się nie tylko opuszczeni, ale z premedytacją wykorzystani. Irlandia Północna stała się przypadkową ofiarą w brexitowych negocjacjach.

Co można zatem zrobić?

Najmniej szkodliwym wyjściem byłby brexit z porozumieniem zawierającym protokół irlandzki. Nie musi nazywać się *backstop*, ale musi zawierać mechanizmy bezpieczeństwa dostosowane do specyficznej sytuacji w Irlandii Północnej. Nie chodzi tylko o regulacje handlowe, ale o całą współpracę między Północną a Południem, na wszelkich obszarach codziennego życia. Wielka Brytania musi zdecydować, czy jej priorytetem jest stabilność Irlandii Północnej, czy swoboda w zawieraniu nowych umów handlowych. Żadne rozwiązanie nie będzie jednak proste.

→ Wiosną 2016 r., przed referendum brexitowym, miało sto lat od Powstania Wielkanocnego, które przyczyniło się do uzyskania przez Irlandię niepodległości od Wielkiej Brytanii. Wtedy, po tych stu latach, stosunki brytyjsko-irlandzkie były bardzo dobre i bliskie. Mówiło się, że najlepsze w historii. Jakie będą po brexicie?

Gdy słyszę o „nowych” relacjach między Irlandią a Wielką Brytanią, to czuję, jakby ktoś zatapiał mi nóż w serce... Bo przecież te nowe relacje w najlepszym nawet przypadku nie będą tak bliskie jak teraz. Porozumienie Wielkopiątkowe mówi, że oba kraje są przyjaznymi sąsiadami i partnerami w Unii. Te dwie sprawy łączą się ze sobą. Większość ludzi, szczególnie w rejonach przygranicznych, nie chce tego zmieniać.

To koniec pewnej epoki?

Granica, jaka by nie była, będzie granicą. Dynamika relacji się zmieni. Zmienia się prawa obywateli. W wielu przygranicznych społecznościach pracujący tam imigranci z Unii – Portugalczycy, Litwini, Polacy – stali się znaczącą grupą. Teraz oni czują się niepewnie, a zmianę w ich położeniu odczuje cała społeczność.

Podpisanie Porozumienia Wielkopiątkowego było jedynie początkiem procesu pokojowego. Tak, długo to trwało. A teraz myślę, że moje pokolenie chyba nie doceniało tego, co mieliśmy, jak daleko zaszliśmy. Nie przychodziło nam do głowy, jak krucha jest nasza równowaga. Ani że najsłabszą stroną okażą się stosunki z Wielką Brytanią, a nie republikańscy dysydenci czy inni.

© Rozmawiała PATRYCJA BUKALSKA

Rozmowę przeprowadzono 9 października



AMIN M. JAMALI / GETTY IMAGES

Irańskie kibicki podczas meczu z Kambodżą, Teheran, 10 października 2019 r.

Kobiety ze stadionu „Wolność”

WOJCIECH JAGIELSKI

To był historyczny mecz. W Teheranie irańscy piłkarze rozgromili drużynę Kambodży, a świadkami tego były kobiety, które po raz pierwszy od rewolucji islamskiej z 1979 r. wpuszczono w takiej liczbie na trybuny.

DO MINIONEGO CZWARTKU, 10 PAŹDZIERNIKA, Iran pozostawał jedynym krajem na świecie, w którym kobietom nie wolno było pojawiać się na stadionowych trybunach ani oglądać na żywo piłkarskich meczów. Rządzący od 40 lat ajatollahowie nigdy nie ogłosili stadionowego zakazu dla kobiet. Odkąd jednak obalili szacha i wygrali wojnę o władzę, zaprowadzili w kraju teokratyczną tyranie i dopasowali przepisy do nakazów religii. Narzucili rozdział płci – jako zalecany przez islam – oraz ustalili, jak powinni ubierać się pobożni muzułmanie i muzułmanki.

Grzeszne roz(g)rywki

Niechętni wszelkiej rozrywce, odcinającej ludzi od modlitwy i myśli o zbawieniu, podejrzliwie odnosili się do sportowych igrzysk, zwłaszcza do ubóstwiającej przez Irańczyków piłki nożnej. Stutysięczne tłumy, nad którymi nikt nie był w stanie zapanować, boiskowe wydarzenia i emocje wymykające się spod wszelkiej kontroli wzbudzały w mułach wyłącznie nieufność. Pamiętali dobrze, że przed rewolucją kibice na stadionach wznosili okrzyki przeciwko reżimowi szacha.

RADIO KRAKÓW

Co wtorek

o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”.

Stuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM

| Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój

| 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM

| Tarnów – 101,0 FM | Zakopane

– 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM

| Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl

Nie zakazując oficjalnie rodaczkom piłki nożnej ani wstępu na stadiony, ajatollahowie nauczali, że obecność kobiet na zawodach sprowadza je na złą drogę. Odgadyując życzenia mułłów, usłudźni działacze sportowi przestali więc sprzedawać Iranom bilety, a policja nie wpuszczała ich na trybuny.

Ajatollah Naser Makarem Szirazi, jeden z przywódców duchownych w kraju i najzacieklejszy przeciwnik obecności kobiet na stadionach, powtarza, że widok półnagich atletów oraz emocje, jakie wzbudza w widzach sportowa rywalizacja, narażają kobiety na grzech. Mułlowie twierdzą, że stadiony piłkarskie, panujące tam zwyczaje i wulgarna agresja kibiców nie są odpowiednie dla przyzwoitych kobiet i trzeba je przed tym strzec – czy tego chcą, czy nie.

Taka opiekuńczość ajatollahów dotyczy jednak wyłącznie rodaczek, bo nie mają nic przeciwko temu, aby na stadiony były wpuszczane cudzoziemki, w tym również muzułmanki. Dwa lata temu, podczas rozgrywanego w Teheranie meczu Iran–Syria, na trybuny wpuszczone zostały przybyłe z drużyną Syryjki, natomiast przed Irankami bramy stadionu zamknięto na głucho.

W czasach politycznych odwilży urzędnicy i stróże porządku, jak wszędzie, patrzą przez palce na łamanie ustanawianych przez władze obyczajowych zakazów i nakazów. W zeszłym roku irańskie kibicki kupowano na teherański stadion Azadi (pers. „Wolność”), by na wielkim ekranie mogły oglądać transmisje mundialu w Rosji. Kiedy po odwilży wraca polityczna epoka lodowcowa, zakazy przestrzegane są restrykcyjnie, a kobietom zabrania się wstępu nie tylko na piłkarskie stadiony, ale także do sportowych hal na mecze koszykówki czy siatkówki, gdzie siadały w wyznaczonych dla nich sektorach.

Stadion „Wolność”

Dla Izraelek, a także działaczy opozycji demokratycznej i obrońców praw człowieka, prawo do udziału w zawodach stało się walką o poszerzenie granic obywatelskich wolności w kraju, w którym absolutną władzę sprawują religijni przywódcy. O zniesienie zakazu wstępu kobiet na sportowe areny upominają się także laureatka pokojowej Nagrody Nobla Szirin Ebadi, światowej sławy reżyserzy i aktorzy Dżafar Panahi, Szohreh Agdaszlu czy Nazanin Boniadi.

Zakaz wstępu kobiet krytykowali – otwarcie i głośno – najślawniejsi irańscy piłkarze, czczeni przez kibiców jak półbogowie. Ali Karimi wezwał kibiców do bojkotu meczów, dopóki kobiety nie zostaną wpuszczone na stadiony. Wtórąwał mu były kapitan reprezentacji Andrannik „Ando” Tejmurian (Ormianin i pierwszy chrześcijanin, któremu powierzono opaskę kapitana), a także obecny kapitan Massud Solejmani Szodzaei, którego siostra, Mariam, prowadzi w Iranie kampanii o równouprawnienie na stadionach.

Podczas zeszłorocznego mundialu w Rosji, podczas transmitowanych w telewizji meczów drużyny Iranu, Mariam rozwieszała na trybunach transparenty z żądaniem zniesienia zakazu wstępu kobiet na trybuny. Pięć lat wcześniej wraz z towarzyszkami założyła ruch „Otwarty stadion” i zebrała ćwierć miliona podpisów pod petycją do władz FIFA, by wymusiły na ajatollahach zniesienie stadionowego apartheidu.

Za jego zniesieniem opowiada się zresztą prezydent Hasan Rouhani, panujący od 2013 r. i cieszący się w Teheranie opinią „gołębia”, osaczonego przez „jastrzębie” w turbanach ajatollahów. Już wiosną 2018 r. oznajmił, że wykluczenie kobiet z przestrzeni publicznej jest niesprawiedliwością i sprzeczne z islamem. „Nie rozumiem, jak wykluczenie kobiet z życia publicznego ma się przyczynić do większej pobożności ludzi?” – powiedział podczas audycji, jakiej udzielił sportowcom. „Po co więc Bóg w ogóle stworzył kobietę? I dlaczego za chamstwo kibiców karane mają być kobiety?” – stwierdził Rouhani, dodając, że jeśli kobiety zachowują skromność w ubiorze (irańskie piłkarki, jedne z najlepszych w Azji, grają w chustach-hidżabach, koszulkach z długimi rękawami i długich do kostek pantalonach), to nie widzi powodu, żeby nie wpuszczano ich na mecze.

Ajatollahowie, naciskani przez szefów FIFA, mającej wpisany w statut zakaz wszelkiej dyskryminacji, na wszystko się zgadzali, wszystko obiecywali, po czym nie robili nic i rzecz zostawała po staremu. Kobiety, które w męskim przebraniu próbowały wchodzić na stadiony, były aresztowane, karane naganami lub grzywną.

Kto zagwarantuje – wzruszali ramionami mułlowie – że kobiety na trybu-

nach nie zaczną zrywać z głów hidżabów, jak to ostatnio zaczęły robić na teherańskich ulicach? Kto zabroni kibicom owacji na cześć zaangażowanych po stronie opozycji piłkarzy? (Massud Solejmani Szodzaei nie kryje się z sympatią dla opozycji, a Hassan Rouszan czy Worra Ghafari, atakując ajatollahów za korupcję i pychę, wzbudzają aplauz na stadionach).

Nawet wygrana Iranu z USA na zawodach o mistrzostwo świata w 1998 r. we Francji przyniosła niemiłe dla ajatollahów zakończenie. Zwycięstwo nad „wielkim szatanem” – jak nazywane są Stany Zjednoczone – wywołało euforię wśród kibiców i z gratulacjami dla piłkarzy pospieszył sam Najwyższy Przywódca ajatollah Ali Chamanei. Telewizja pokazała jednak również, jak po meczu irańscy i amerykańscy piłkarze gratulują sobie występu, wymieniają przyjazne uściski dłoni.

Śmierć w płomieniach

Nawrót politycznej epoki lodowcowej, któremu towarzyszą konflikty Iranu z Arabią Saudyjską i Ameryką oraz odgórnie zarządzane patriotyczne uniesienie, doprowadziły we wrześniu do śmierci 29-letniej Sahar Chodajari, wielbicielki stołecznej drużyny „Niepodległość”.

W marcu, przebrana za mężczyznę, próbowała dostać się na stadion „Wolność”. Została jednak rozpoznana i aresztowana. Zwolniona z aresztu, czekała na proces, który miał się zacząć we wrześniu. Pierwsze posiedzenie trybunału rewolucyjnego zostało odwołane (nie pojawił się na nim sędzia), ale Sahar podслуchała rozmowę telefoniczną, z której zrozumiała, że zostanie skazana na półroczne więzienie. Przerażona (cierpiała na chorobę dwubiegunową, objawiającą się naprzemiennymi stanami euforii i depresji), po wyjściu z sądu dokonała samospalenia.

Po śmierci Chodajari FIFA zagroziła ajatollahom, że jeśli dalej będą bronić kobietom wstępu na stadiony, drużyna Iranu zostanie wykluczona z międzynarodowych rozgrywek piłkarskich.

Na takie ryzyko i gniew kibiców nie mogli sobie pozwolić nawet ajatollahowie: obiecali, że na październikowy mecz z Kambodżą na stołeczny stutysięcznik „Wolność” zostaną wpuszczone także kobiety. FIFA zapowiedziała, że na wszelki →

→ wypadek przyśle z Zurychu rewizorów, którzy na miejscu dopilnują, by ajatollahowie dotrzymali słowa.

Pod okiem policjantów

Pierwsze kobiety z trójkolorowymi, białoczerwono-zielonymi flagami i wuwuzelami wyszły na trybuny pustego stadionu ponad dwie godziny przed rozpoczęciem meczu. Jakby obawiały się, że ajatollahowie w ostatniej chwili zatrzasną im przed nosem bramy.

Pierwsze trzy i pół tysiąca biletów, jakie władze przeznaczyły dla kobiet, rozeszły się w niecałą godzinę. Pulę zwiększono więc do pięciu tysięcy. Iranki zasiadły w specjalnie dla nich wydzielonym sektorze na trybunach, a przez cały mecz bacznie przyglądało się im 150 policjantek.

Dla piłkarzy Iranu był to łatwiutki mecz. Irańczycy są jedną z najlepszych drużyn w Azji, Kambodża – jedną z najsłabszych. Skończyło się na pogromie 14:0. Ostatni raz tak wysoko Irańczycy wygrali w 2000 r., kiedy to wbili drużynie Guamu aż 19 goli, nie tracąc żadnego. Mecz z Kambodżą był jednak pierwszym na teherańskim stadionie „Wolność”, podczas którego większe zainteresowanie od wyniku wzbudzało to, kto siedzi na trybunach.

Wygrana czy gra pozorów?

Jednak działacze praw człowieka oburzają się, że władze FIFA dały się tak okpić ajatollahom. Mieli otworzyć bramy stadionów dla Iranek, a tymczasem wydzielili dla nich tylko niewielki sektor. „Kobiety stanowią połowę ludności kraju, a na trybunach dostają prawo tylko do dwudziestej części miejsc?” – narzekali działacze Amnesty International i Human Rights Watch.

Oskarżyli też działacze FIFA, że wzięli za dobrą monetę podstęp ajatollahów, którzy – wpuszczając na stutysięczny stadion kilka tysięcy kobiet – chcieli jedynie zamknąć usta krytykom. Tak jak jesienią zeszłego roku, gdy podczas wizyty prezydenta FIFA Gianniego Infantino kazali wpuścić na stadion „Wolność” niespełna tysiąc kobiet, by w ten sposób uniknąć zarzutów o stadionowy apartheid. Gdyby FIFA, zamiast układać się z dyktatorami, poważnie traktowała stadionową dyskryminację Iranek i wykluczyła reprezentację z międzynarodowych

rozgrywek – przekonują działacze praw człowieka – wówczas ajatollahowie już dawno musieliby ustąpić, a Sahar Chodajari nie zginęłaby w płomieniach.

Irańskie sufrażystki obawiają się, że i tym razem nic się nie zmieni: ajatollahowie obiecywali wpuścić kobiety tylko na mecz z Kambodżą i ani słowem nie wspomnieli o rozgrywkach ligowych. Nie ma pewności, iż na następny mecz irańskiej reprezentacji, w czerwcu, kobiety zostaną wpuszczone na widowie. „Walczymy nie o wolny wstęp na trybuny, ale o prawa obywatelskie” – przekonuje Mariam Szodzaei.

Święta wojna

Nie o mecze, lecz o prawa obywatelskie szło też kobietom w Arabii Saudyjskiej, rywalizującej z Iranem o przywództwo w świecie islamu i na Bliskim Wschodzie.

W sunnickim królestwie Saudów, ojczyźnie Mahometa, obowiązek ścisłego rozdziału płci przestrzegany jest równie rygorystycznie jak w szyickim Iranie czy w niegdyśniejszym Afganistanie pod rządami talibów. Restrykcje złagodniały nieco wraz z wyniesieniem przed dwoma laty księcia Mohammeda ibn Salmana na następcę tronu. Saudyjska odwilż nie oznacza jednak odejścia od dyktatury, a jedynie łagodne zastąpienie religijnej ortodoksji nacjonalizmem.

Na stadiony Saudyjki wpuszczono dopiero przed rokiem. Podobnie jak dla Iranek na stadionie „Wolność”, dla saudyjskich kobiet wyznaczono na sportowych arenach specjalne wejścia i oddzielne miejsca na trybunach, przygotowano wyłącznie dla nich toalety, gabinety lekarskie, kawiarenki, miejsca do modlitwy, a nawet palarnie (no cóż, Saudyjczycy śpią na petrodolarach i urzędowa segregacja płci nie oznacza codziennej dyskryminacji, a na stadionie „Wolność” nie ma nawet damskiej toalety).

Książę pan pozwolił też Saudyjkom podróżować bez obowiązkowego dotąd męskiego towarzystwa, a nawet samodzielnie siadać za kierownicą własnych rolls-royce'ów, mercedesów i lamborghini. Kobiety, które o to prawo od lat walczyły, wciąż siedzą jednak w więzieniach.

© WOJCIECH JAGIELSKI

Powrót do Maroka

TEKST I ZDJĘCIA
AGNIESZKA ZIELIŃSKA
Z ALGECIRAS
(POŁUDNIOWA HISPANIA)

Ludzie, których identyfikuje, najczęściej nie mają dokumentów. Jednak Martin Zamora zwykle potrzebuje kilku godzin, by ustalić ich tożsamość – dzięki kontaktom, które gromadził przez 20 lat.

OD MAROKA DZIELI JE TYLKO KILKADZIESIĄT kilometrów morza. Algeciras, nieco ponad 120-tysięczne andaluzyjskie miasto, położone jest na hiszpańskim wybrzeżu w pobliżu Cieśniny Gibraltarskiej.

To tutaj, na Cementerio del Rincocillo Algeciras, odnajdziemy groby wielu imigrantów, którym nie udało się przepłynąć przez tych kilkudziesięciu kilometrów. Pozostali, którzy również zginęli w drodze i których morze wyrzuciło na hiszpański brzeg, chowani są zwykle na cmentarzach w Tarifie, Barbate, San Roque – w zależności od miejsca, w którym zostali znalezieni.

Przewodnikiem po cmentarzu w Algeciras jest Martin Zamora. Ten 59-latek z bujną siwiejącą czupryną i równie siwymi wąsami oraz krótką brodą o procedurze identyfikacji i chowania zmarłych imigrantów prawdopodobnie wie wszystko. Kiedyś przede wszystkim przedsiębiorca pogrzebowy, a dziś także grabarz i wolontariusz, tematem zainteresował się 1998 r., kiedy w okolicach Tarify znaleziono ciała 16 imigrantów.

Zamora nie ukrywa, że początkowo zamierzał potraktować to jako sposób na biznes; tym bardziej że otworzył wtedy dom pogrzebowy w Los Barrios.

– Nie miałem pojęcia, jak zacząć – wspomina. – Przeszukałem więc rzeczy tych 16 imigrantów. W kieszeni jednego z nich znalazłem kawałek papieru z numerem telefonu. Postanowiłem wysuszyć



Cmentarz w Algeciras, na którym pochowane są ciała niezidentyfikowanych imigrantów lub tych, których rodziny nie miały pieniędzy na sprowadzenie zwłok do kraju, wrzesień 2019 r.

go, aby móc odczytać i zadzwonić. Udało się, ale osoba, do której zadzwoniłem, zaprzeczyła, że zna kogoś, kto wyruszyłby w podróż przez Morze Śródziemne. Dopiero parę dni później ten mężczyzna odzwonił i powiedział, że być może chodzi o jego bratanka.

Okazało się, że mężczyzna to Marokańczyk, który mieszka w Hiszpanii. Gdy zidentyfikował ciało bratanka, wciąż pozostawało 15 ciał do rozpoznania. Kiedy hiszpański sąd wyraził zgodę na repatriację jednego ciała, Zamora zebrał rzeczy znalezione przy pozostałych imigrantach i wyruszył do Maroka – wraz ze stryjem zmarłego i trumną.

Po pogrzebie podróżował po pobliskich miejscowościach, pokazując przy tym zabrane ze sobą rzeczy. Wkrótce odnalazł członków rodzin pozostałych zmarłych.

Tak się wszystko zaczęło.

Prawo do imienia

Pomyśl na biznes wkrótce upadł. Zamora wspomina: – Rodziny identyfikujące ciała zwykle nie miały pieniędzy na repatriację krewnych do Maroka, a bardzo zależało im, aby zmarli spoczęli na ich rodzinnej ziemi. Wykładałem więc swoje pieniądze. Postawiłem się w miejscu rodzica, który dowiaduje się o śmierci swojego dziecka. Po prostu nie mogłem tak zarabiać.

Tamta pierwsza wyprawa Zamory do Maroka stała się w 2008 r. inspiracją dla znanej reżyserki Chus Gutiérrez. W filmie fabularnym „Retorno a Hansali” (Powrót do Hansali; Hansala to marokańska wieś) opowiada historię podróży Martina Zamory i Marokańczyka, która na zawsze ich zmieniła. W filmie wystąpiło także kilkoro rodziców, którzy wtedy, w 1998 r., dowiedzieli się o śmierci swoich dzieci.

Zamora podczas rozmowy unika tematu własnej rodziny. Natomiast z artykułu w hiszpańskim dzienniku „El Mundo” z 2003 r. można się dowiedzieć, że żonę, Marokankę, poznał właśnie podczas repatriacji ciał do Maroka. 19 lat temu poślubił ją i przeszedł na islam, urodziło im się siedmioro dzieci.

Najważniejsze jest zdjęcie

Z pozoru Zamora wydaje się być silny i niewzruszony rzeczami, o których opowiada. Dopiero po pewnym czasie ujawnia emocje. – Płacę codziennie – przyznaje lakonicznie.

Dzisiaj, po ponad 20 latach tej działalności (z przerwami), nie pamięta już, ile dokładnie ciał imigrantów pochował czy zidentyfikował. Szacuje, że kilkaset. A robi to często z własnych pieniędzy, częściowo wspierany jest przez organizacje pozarządowe, które zapewniają mu np. tłumaczy. →

⇒ W telefonie przechowuje zdjęcia ludzi, których identyfikował. – Mógłbym wam opowiedzieć historię każdego zmarłego. Trudno jest żyć z cierpieniem, z żalem ich rodzin. Często zdarza się, że jako pierwsi informujemy rodziców o śmierci ich dzieci. Oni czasem nawet nie wiedzą, że planowały podróż – wspomina.

Jak mówi, zajmuje się czymś, czego prawdopodobnie nikt inny nie chciałby się podjąć. – Dwa razy rezygnowałem, ale zrozumiałem, że muszę to robić. Łzy matki, która dostaje swoje zmarłe dziecko i może wyprowadzić mu pogrzeb, są bezcenne. To jest rodzaj zapłaty. Pokazuje mi, że moja praca ma sens.

Dodaje: – Sam mam dzieci i wiem, co mogą czuć ich rodziny.

Wcześniej ciała zmarłych imigrantów chowano po prostu z podpisem „Nieznany” lub „Imigrant”. Tymczasem Martin Zamora walczy o to, aby imigranci mogli spocząć w grobie ze swoim imieniem i nazwiskiem, pochowani w obrządku zgodnym z ich religią.

Rodzinie, która nie mogła uczestniczyć w pogrzebie, wysyła film. – Koszty repatriacji ciała są tak wysokie, że większość rodzin imigrantów, którzy najczęściej pochodzą z Maroka i Senegalu, nie mogą sobie na to pozwolić – wyjaśnia. – Czasem uda im się wyrzucić presję na ambasadzie swojego kraju, aby to ona sprowadziła ciało. Kiedy wszystkie metody finansowania zawodzą, pozostaje ja.

Sam proces identyfikacji ciała, tłumaczy Zamora, zwykle nie trwa długo, mimo że najczęściej nie mają oni przy sobie żadnych dokumentów: – Potrzebuję przede wszystkim zdjęcia. Następnie muszę ustalić, z jakiego kraju pochodzi zmarły, rozpowszechniam informację wśród kontaktów, które zgromadziłem przez lata. W większości przypadków zajmuje to tylko kilka godzin. To siła internetu, kiedyś było znacznie trudniej.

Ludzie mówią, że aby pozyskać pieniądze na repatriację ciała jednego z imigrantów, niedawno Zamora sprzedał swoją ślubną obrączkę. On sam przyznaje tylko, że tak było. Więcej nie chce o tym powiedzieć.

Przepisy i interpretacje

Prawo nie ułatwia pracy Martina Zamory.

Hiszpańskie przepisy dotyczące identyfikacji zmarłych imigrantów, których wyłowiono z morza lub znaleziono na plażach, pozostawiają pole do interpre-



Martin Zamora, Algeciras,
wrzesień 2019 r.

Ludzie mówią, że niedawno,
aby pozyskać pieniądze
na repatriację ciała imigranta,
**Zamora sprzedał swoją
ślubną obrączkę.**

tacji. Ángeles Colas Herrera z utworzonego niedawno Międzynarodowego Centrum Identyfikacji Zaginionych Imigrantów (CIPIMD) tłumaczy: – Wszystko zależy od woli sędziego i jego interpretacji prawnej. Czasem, aby zidentyfikować zmarłego, wystarczy porównanie jego zdjęcia po śmierci z fotografią, którą przesyła nam rodzina. Ale innym razem sędzia wymaga badania DNA lub odcisków palców. To znacznie utrudnia i wydłuża cały proces.

Zamora krytykuje obowiązujące prawo. Jako przykład podaje sprawę, gdy rodzina z Maroka rozpoznała ciało zmarłego i chciała sprowadzić je do kraju. Jednak sędzia nie chciał się na to zgodzić i domagał się DNA oraz odcisków palców. Zamora: – Tłumaczyłem, że któraś rodzina chciałaby sprowadzać obcą osobę, organizować jej pogrzeb i jeszcze za to wszystko płacić? Sędzia pozostał jednak nieugięty.

Ángeles Colas Herrera dodaje: – To, czy ciało zostanie pochowane anonimowo, czy też będziemy mieli czas na jego identyfikację, zależy również od tego, czy w mieście, w którym je znaleziono, jest miejsce do dłuższego przechowywania

zwłok. Zgodnie z prawem ciało może być przechowywane do sześciu miesięcy. Po tym czasie sędzia wydaje decyzję o anonimowym pochówku na najbliższym cmentarzu.

Liczbę i szacunki

Statystyki z ostatnich lat pokazują, że w zachodniej części Morza Śródziemnego ginie coraz mniej imigrantów.

Kate Dearden z organizacji Missing Migrants Project zaznacza: – Od stycznia do 18 września odnotowaliśmy 250 zgonów, z czego 17 ciał trafiło do Hiszpanii kontynentalnej, a siedem do Ceuty lub Melilli [hiszpańskich enklaw w Afryce Północnej – red.]. W tym samym okresie w ubiegłym roku ta liczba była prawie dwa razy większa, a do Hiszpanii kontynentalnej trafiły 53 ciała.

Natomiast łącznie w latach 1998–2018, jak wynika z danych Missing Migrants Project oraz hiszpańskiej organizacji pozarządowej Asociación Pro Derechos Humanos de Andalucía (APDHA), w zachodnim obszarze Morza Śródziemnego zginięło co najmniej 7220 imigrantów.

Przedstawiciele obu organizacji zaznaczają, że to jednak tylko potwierdzone przypadki. Statystyka nie obejmuje osób zaginionych i nieudokumentowanych przypadków.

– Większość ofiar śmiertelnych dotyczy imigrantów, którzy celowo wybierają odległe i trudne trasy, z powodu braku legalnych tras. W rezultacie często nie można znaleźć szczątków, a zgonów nie można zgłaszać władzom – mówi Marta Sánchez Dionis z Międzynarodowej Organizacji ds. Migracji. Faktyczne liczby zaginionych lub/i zmarłych imigrantów mogą być więc nawet kilka razy wyższe.

Martin Zamora: – Kilka lat temu byłem na konferencji o imigracji, w której uczestniczyło wiele instytucji i organizacji pozarządowych, wśród nich Guardia Civil, Czerwony Krzyż i wiele innych. Liczyłem, że ktoś poruszy w końcu temat identyfikacji ciał imigrantów. Tego, jak polepszyć, usprawnić ten proces. Nikt jednak nie chciał o tym rozmawiać. To przykre, bo zmarli nie mają już głosu. My musimy mówić za nich i walczyć w ich imieniu, o ich godność.

© AGNIESZKA ZIELIŃSKA



JEZIORO ŁABĘDZIE

THE ROYAL MOSCOW BALLET

JEDEN Z NAJLEPSZYCH ZESPOŁÓW BALETOWYCH NA ŚWIECIE

4 listopada - ICE Kraków
5 listopada - DMIT Zabrze
6 listopada - Hala Stulecia Wrocław
7 listopada - COS Torwar Warszawa

8 listopada - EXPO Mazury Ostróda
9 listopada - Gdynia Arena
10 listopada - Klub Wytwórnia Łódź
11 listopada - Sala Ziemi Poznań Congress Center

BILETY: PRESTIGEMJM.COM

Prestige
MIM

REGENT
WARSAW HOTEL

wprost

RZECZY

GAZETA BANKOWA

WP

trojmiasto.pl

cgm.pl

Multikino

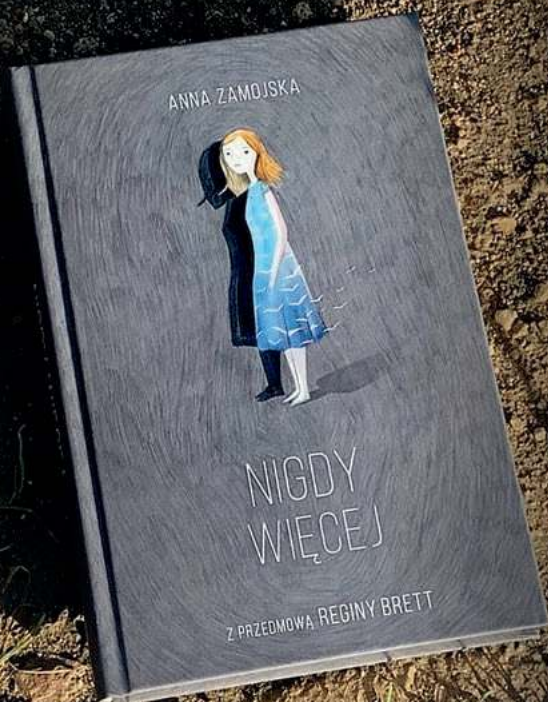
STRÖER

VIXON

PRESS SERVICE

pap

REKLAMA



PRZYGOTUJ SIĘ NA INSPIRUJĄCĄ OPOWIEŚĆ

Ale wcześniej sięgnij po pudełko chusteczek i poduszkę, w którą będziesz mógł walić pięściami z bezsilności. Czytając tę książkę, najpierw się rozplaczesz, później ogarnie cię złość, a na koniec wypełni radość. (...)

Kiedy stajesz we własnej obronie, uwalniasz nie tylko siebie, ale i innych. Anna wyzwoliła się od przeszłości – może wyzwoli także ciebie.

REGINA BRETT

Nigdy więcej to uderzająca bez znieczulenia historia czternastoletniej dziewczyny z niewielkiego miasteczka, która doświadczała przemocy seksualnej ze strony księdza. Na drodze Anny stanął proboszcz parafii, lubiany w okolicy opiekun scholi, głoszący z ambony słowa o bożym miłosierdziu. I nie chciał z tej drogi zejść przez dwa długie lata.

To opowieść o upokarzaniu i krzywdzeniu. O wykorzystywaniu, manipulacjach, o złości, krzykach i przemocy. O wilku w owczej skórze.

Ale to również opowieść o cudzie przetrwania. O chęci życia, która trwa nawet wtedy, gdy stopa już staje na parapecie, a ręka otwiera okno na wysokim piętrze. O nadziei, długo uspięnej, ale wciąż żywej, która wyprowadza z ciemności.

PATRONI MEDIALNI

insignis

lubimy czytać.pl

psychologia dla ciebie
sens

WIEŻ

PRZYSTANEK BIAŁYSTOK

W małej syberyjskiej wiosce trwa odbudowa spalonej świątyni. To także rodzaj pomnika wystawionego tutaj Polakom, osadnikom na Syberii.

KAROL FRYTA Z SYBERII

DRAMAT WYDARZYŁ SIĘ DWA I PÓŁ roku temu, nocą z 18 na 19 kwietnia 2017 r. Drewniany kościół pod wezwaniem św. Antoniego Padewskiego, liczący niemal 110 lat, nie miał szans: spłonął całkowicie; winne było prawdopodobnie zwarcie w instalacji elektrycznej. Mimo prób gaszenia, uratowano tylko metalowy krzyż z wieży (choć temperatura go zdeformowała) i fragment dzwonu z napisem „Dziewica Maryja”. Ocalała też figura Matki Boskiej – śnieżnobiała, stojąca przed kościołem.

Zdawało się, że w ten sposób zamknie się historia. Ale stało się inaczej: dzięki akcji „Syberyjski Białystok – Zmartwychwstanie” udało się zebrać środki na odbudowę. Agnieszka Kaniewska, rosjoznawczyni, która zainicjowała zbiórkę, tłumaczy „Tygodnikowi” jej ideę: – Nie chcieliśmy zostawić mieszkańców bez żadnego punktu odniesienia, bez symbolu polskości. Ten kościół był nie tylko miejscem modlitwy, ale, z perspektywy historycznej, także symbolem pamięci o rodzinie i przodkach, którzy go zbudowali i zakładali Białystok.

Ta perspektywa historyczna liczy sobie sto kilkadziesiąt lat, podczas których Po-

lacy z syberyjskiego Białegostoku dzielili los miejscowej ludności. Na dobre i (częściej chyba) na złe.

Naliczniki pod eternitem

Wioska, wciśnięta w tajgę, leży 180 km na północny-zachód od Tomska, stolicy obwodu tomskiego (powierzchnia tego obwodu – odpowiednika województwa – bliska jest powierzchni Polski). Do wsi trafiłem dwa tygodnie po wylaniu fundamentów pod nowy kościół. Nie jest łatwo się tutaj dostać – wprawdzie do odległego od niej o 40 km Kriwoszejna można dojechać transportem publicznym, ale dalej pozostaje autostop.

Wieś wydaje się wymarła, ciszę mąci jedynie brzęczenie owadów. Zabudowania są tu typowe dla syberyjskiej wsi: drewniane domy, często kryte eternitem lub blachą falistą, chwiejące się płoty, tu i tam zapadnięte budynki gospodarcze. Wzdłuż dróg zwisają druty, linie energetyczne i telefoniczne. W centrum stoi sklep, a niewiele dalej znajduje się wzniesienie przy ul. Centralnej 7 – tu trwa odbudowa kościoła.

Co niezmiennie wprawia w zachwyt w Rosji, to arcydzieła sztuki stolarskiej:



drewniane ramy (tzw. naliczniki) na oknach domostw, finezyjnie rzeźbione. Nawet gdy obejście tonie w biedzie, naliczniki muszą być zadbane i pomalowane w żywe barwy. To wizytówka nie tylko syberyjskiego domu, można spotkać je na oknach od Kaługi po Pietropawłowsk Kamczacki.

Maszeruję więc po bitej drodze i szukam mieszkańców.

Historyk Wasyl Haniewicz – założyciel i dyrektor Muzeum Historii Politycznych Represji w Tomsku, który zna świetnie dzieje Polaków na terenie obwodu, a wcześniej guberni tomskiej – twierdzi, że w liczącej dziś 300 mieszkańców wiosce około połowa ma polskie korzenie. – Ale to ludzie, którzy nie rozumieją po polsku i nie mówią w tym języku. Nie czują się też Polakami, w szczególności młode pokolenie – mówi Haniewicz.



SIB-CATHOLIC.RU

Odpust parafialny we wsi Białystok na Syberii, w setną rocznicę konsekracji kościoła. Po mszy św. wierni przeszli na cmentarz, by uczcić pamięć katolickich męczenników XX wieku. 12 czerwca 2010 r.

Spotykam jednak mężczyznę z wnukiem, który wskazuje mi osobę czującą się Polką. To Maria Markisz.

Syberia kusi ziemią

Zanim odwiedzimy panią Marię, powiedzmy kilka słów o wiosce.

Powstała w 1898 r., na początku jako tzw. punkt przesiedleńczy o nazwie Noworybałowski. Zakładali ją m.in. Polacy pochodzący z ówczesnych guberni grodzieńskiej i wileńskiej. – Moi przodkowie ze strony ojca pochodzili z Grodzieńszczyzny i dobrowolnie przyjechali na Syberię pod koniec XIX w., zakładali tę wieś – opowiada Wasyl Haniewicz. – Urodziłem się w Białymstoku i wychowałem, mój ojciec mieszka tam do tej pory.

Mieszkańcy postanowili nazwać osadę na cześć regionu, z którego przybyli.

Przodkowie historyka przyjechali do guberni tomskiej jako pierwsi, wraz z rodzinami Joczów, Bielskich i Markiszów. Przybyli skuszeni możliwościami, które dawała Syberia – czyli ziemią. W ich rodzinnych stronach mieli jej mało lub nie była tak płodna, by wyżywić rodziny.

W ten sposób nieprzyjazna kraina, karczująca się dotąd z represjami, jako miejsce karnej zsyłki, miała stać się obszarem, w którym na lepsze odmieni się chłopski los. A po zbudowaniu Kolei Transsyberyjskiej i w okresie reformy rolnej Piotra Stołypina (1906-10) Syberia zaludniła się Polakami; także tu ściągnęły kolejne rodziny. Car kusił: chłopcy osadnicy dostawali zniżki na przejazd i nieoprocentowane pożyczki (pozwalające na budowę domu i zakup narzędzi rolniczych), a także czasowe zwolnienia z podatków i odroczenie służby wojskowej.

Państwo budowało infrastrukturę rolną, jak punkty skupu zbóż i spichlerze.

Niegościnną tajga

Na miejscu na osadników czekały nie ludzkie wręcz warunki – tajga nie jest gościnna. Zimą temperatura potrafi spaść do minus 60 stopni, w lipcu wzrasta do 30-35. Późna wiosna i lato to intensywne występowanie gnusu: hord krwiożerczych komarów, much, muszek, które oblepiają twarz, uniemożliwiają oddychanie. Osadnicy musieli też uważać na zwierzynę – w okolicy do dziś są legowiska niedźwiedzi.

Tajgę trzeba było karczować, co oznaczało mozolny wyrąb. Ludzie nieprzywykli do takich warunków chorowali, notowana była wysoka śmiertelność. Zanim powstały pierwsze chaty, osadnicy musieli zadowolić się ziemiankami.



→ Okiełznanie przyrody mogło zająć nawet kilka lat. Niektórzy, nie radząc sobie z trudami życia, podejmowali decyzję o powrocie. Wasyl Haniewicz twierdzi, że tylko w 1901 r. z całej Syberii wróciło w ojczyste strony 5 tys. polskich rodzin.

Świątynia integruje

Po zadowoleniu się, po pierwszych rodzinach i zgonach, głęboko wierząca społeczność Białegostoku zapragnęła, żeby we wsi stanął kościół.

W jego powstanie zaangażował się ks. Paweł Kaziunas, wikary z kościoła tomskiego, który otaczał opieką wiernych ściągających na Syberię. Za jego namową w 1906 r. mieszkańcy wystąpili o zgodę na budowę kościoła, a następnie także o pożyczkę. Równolegle zaczęli we wsi zbiórki pieniędzy i materiałów budowlanych. Władze się zgodziły i w 1909 r. budowa ruszyła. Świątynię pokryto blaszanym dachem, a wieńczył ją krzyż obity błyszczącymi płytkami. Wewnątrz znalazło się miejsce dla 15 obrazów z wizerunkiem św. Antoniego Padewskiego.

Kościół miał być także łącznikiem z ojczyzną – architektonicznie przypominał świątynie budowane w rodzinnych stronach osadników. 13 czerwca 1910 r., w dzień św. Antoniego Padewskiego, proboszcz tomski Józef Demikis poświęcił kościół i odprawił pierwszą mszę.

Rozwój wsi i budowa kościoła ściągnęły kolejnych osadników w 1916 r. Białystok liczył niemal 500 mieszkańców. Budowa świątyni miała też charakter integracyjny: na msze zaczęli zjeżdżać mieszkańcy sąsiedniej osady nowoaleksandrowskiej, a także gmin Nikołajew i Mołczanow. Przy kościele postawiono więc koniowiąż. Kościółek, obsadzony cedrami i jodłami, stał się sercem wsi – kolejne domy wyrastały wokół niego.

Czas cierpienia

Rozwój wsi wyhamował podczas I wojny światowej – także tutejsi mężczyźni zostali wcieleni do armii. Ale decydującym ciosem miały się okazać rządy bolszewików. Bo choć na pozór wieś położona jest z dala od wielkiego świata, to świat dotarł do niej.

Choć początki mogły mylić. Wprowadzana przez bolszewików w latach 20. tzw. Nowa Polityka Ekonomiczna, mająca pomóc w odbudowie gospodarki i neutralizacji niezadowolenia z pogarszających się warunków życia, w Białym-



Miejsce po spalonym kościele. Z pożaru ocalały krzyż i figura Matki Boskiej. Lipiec 2019 r.

stoku miała taki efekt, że chłopci mozolnie odbudowali swoje gospodarstwa. Jednak potem koniec lat 20. przyniósł wielkie zmiany. Józef Stalin zarządził kolektywizację rolnictwa, kreując przy okazji kolejną grupę „wrogów ludu”, tzw. kułaków, zamożniejszych chłopów.

Gdy nowe zarządzenia dotarły do Białegostoku, wzbudziły opór: mieszkańcy, którzy ciężką pracą ujarzmili niegościnną ziemię, zobaczyli, że sowieckie państwo wyciąga rękę po ich gospodarstwa. Ale postawiono ich przed wyborem: albo wstąpią do kolchozu (spółdzielni rolnej), albo opuszczą wieś. Część uciekła, ale większość została wcielona do kolchozu, któremu nadano niezbyt oryginalną nazwę „Czerwony Sztandar”.

Tuż przed jego utworzeniem tajna policja NKWD aresztowała 17 chłopów. Oskarżeni o działalność antypaństwową, stanęli przed sądem. Kilku skazano na dziesięcioletni pobyt w łagrze. Była to przygrywka do tego, co miało wkrótce nastąpić.

Tymczasem, równolegle z eksperymentami ekonomicznymi, władza sowiecka rozwinęła też agitację antyreligijną. Jeszcze w 1923 r. wygnano ze wsi proboszczą, a w 1931 r. kościół zamknięto. Wzburzyło to wioskę. Ale jak ludzie mieli protestować, gdy do ściągania dzwonu z wieży zaprzęgnięto ich dzieci?

W kolejnych latach kościół zamieniono na spichlerz.

Kułą lub łomem

Czy opór tutejszych chłopów przed kolektywizacją został zapamiętany? A może nie trzeba było żadnego pretekstu, aby i tutaj, na Syberię, dotarł rozkaz numer

00485 komisarza spraw wewnętrznych Nikołaja Jeżowa z 11 sierpnia 1937 r. Jak czytamy na stronie IPN, uruchomił on „pierwsze ludobójstwo popełnione na Polakach”, jakie „rozegrało się na sowieckich bezkresach w latach 1937-1938. Jej tryby pochłonęły Polaków zamieszkałych na ziemiach wcielonych traktatem ryskim w 1921 r. do Ukraińskiej oraz Białoruskiej SRS oraz tych z Odessy, Kijowa, Moskwy, Petersburga (wówczas: Leningradu) i wreszcie tych z dalekiej Syberii”. Dalej czytamy, że – jak obliczyli historycy z rosyjskiego Memoriału – w ciągu 16 miesięcy aresztowano 143 tys. osób, z których osądzono prawie 140 tys., w tym na śmierć skazano co najmniej 111 tys. osób.

„Operacja Polska NKWD” – jak dziś nazywa się tę akcję – dotarła do Białegostoku w nocy z 11 na 12 lutego 1938 r. Do wsi zjechał oddział NKWD, który przy wsparciu miejscowych aktywistów komunistycznych zaczął przeczesać dom po domu. Tej nocy aresztowano niemal stu mężczyzn. W pieszym konwoju pognano ich do Kriwoszejna, a potem po zamrożonej rzece Ob do odległego o 160 km Kołpaszewa, do tamtejszego więzienia. Byli wśród nich także przodkowie Wasyla Haniewicza.

Przesłuchania, podczas których zatrzymani pod wpływem tortur (razenie prądem, miażdżenie genitaliów) przyznawali się do wszystkiego, trwały krótko. Chłopi przyznali się więc, że są członkami Polskiej Organizacji Wojskowej. Albo że mieli przygotować ataki dywersyjne na terenie kolchozu, trując zwierzęta. Kolegium Specjalne NKWD (tzw. trojka) skazało niemal wszystkich na śmierć – tylko jeden usłyszał wyrok łagru.

Część zabito strzałem w głowę (podczas pozorowanych badań lekarskich), a część wywieziono nad Jar Kołpaszewski, gdzie roztrzaskiwano im głowy łomem.

Krewnych poinformowano, że ich bliscy zostali zesłani do łagrów na 10 lat bez prawa do korespondencji. Pod koniec lat 40. rodziny zaczęły więc dopytywać, co z zesłanymi, ale władze milczały. Dopiero w latach 50. bliscy zaczęli otrzymywać informacje, że zatrzymani mężczyźni umarli w łagrach z przyczyn naturalnych.

Prawda wyszła na jaw przypadkowo. W 1979 r. Ob podmył teren w Kołpaszewie, gdzie dokonywano egzekucji i chowano ciała. Osuwający się brzeg odsłonił ludzkie szczątki. Sowieckie władze pozbyły się problemu: zepchnięte do wody kości popłynęły z nurtem rzeki w głąb Rosji. Według ostrożnych rachunków NKWD zabiło w Kołpaszewie 4 tys. ludzi, a znaczną część pogrzebano właśnie w kołpaszewskim jarze.

Mówię wam: to była rzeźnia

Domek, w którym żyje Maria Markisz (z domu Jocz, z rodziny założycieli Białegostoku) jest niewielki. Do niego przyklejony jest równie mały budynek gospodarczy. Przed obejściem ściele się wysoka trawa. Gospodyni otwiera drzwi i zaprasza do środka.

Dom składa się z przedpokoju, małej kuchni i dwóch niewielkich izb. Jedna jest sypialnią, druga salonem. Pobielone ściany. Pani Maria zaprasza do kuchni, gdzie wyjmuje duże i grube herbatniki. Oferuje herbatę, dla siebie przyrządza ciekawą kawę w metalowym kubku, do której dolewa zimnej wody, bo nie lubi, gdy kawa jest gorąca. Chrupiemy herbatniki, którymi można się porządnie najeść, i rozmawiamy – najpierw o błahych sprawach.

W salonie na honorowym miejscu stoi zdjęcie ojca i dzieci pani Marii. Choć ma 91 lat, mieszka sama, a porządku można tu pozazdrościć. Wszystko czyste, schludne.

Jej mama była Polką, ojciec Białorusinem. Maria była najstarszą z czwórki rodzeństwa. Jeden z braci ożenił się w Rosji, wyjechał do Kazachstanu i tam zmarł. Podobnie drugi (śmierć zastała go na Ukrainie). Trzeci brat żyje, mieszka w syberyjskim Omsku. – W domu mówiliśmy po polsku, ale teraz zapomniałam języka, bo nie mam z kim rozmawiać i prawie go nie używam – wyjaśnia pani Maria.

W 2003 r. w centrum wsi odsłonięto pomnik ofiar „Operacji Polskiej NKWD”.

W 1958 r. zamordowani zostali zrehabilitowani.

Dopiero po namowach zaczyna wspominać lutową noc roku 1938: – Zabrali wtedy mojego ojca. Dokładnie nie wiem, kiedy zmarł. Niektórzy mówią, że aresztowani byli rozstrzeliwani, inni, że topieni. W każdym razie NKWD zabrało wszystkich mężczyzn, którzy ukończyli dziecię lat. Według nich byli wrogami ludu. Aresztowany był także 18-letni brat mojego ojca, ale jego nie zabili, tylko zesłali na dziesięć lat na Kołymę. Przeżył, ale po wyjściu z łagru odwiedził wieś tylko ze dwa razy i więcej się nie pojawił.

Maria zawiesza głos, jakby czegoś szukała w pamięci: – Mojego dziadka, mimo że był stary, też zabrali. Nie mógł iść, to wieźli go na saniach. W drodze zmarł, więc zrzucili go z sań i pojechali dalej. I nas też potem źle traktowała władza, bo przecież byliśmy dziećmi wrogów ludu! Mówię wam, to była rzeźnia...

W 2003 r., w centrum wsi, obok sklepu, odsłonięto pomnik poświęcony mieszkańcom, ofiarom tamtej lutowej nocy, a także tym, którzy zginęli podczas II wojny światowej (według tutejszej narracji: w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej). Na pamiątkowej tablicy odnotowano, że w 1958 r. zamordowani zostali zrehabilitowani.

Czas zmian

Podczas II wojny światowej część mieszkańców trafiła do wojska, a pozostali musieli pracować na potrzeby maszyny wojennej. Dopiero po śmierci Stalina i odwilży, która przyszła wraz z rządami Nikity Chruszczowa, w Białymstoku można było – względnie – odetchnąć. A po rehabilitacji zamordowanych ich krewni mogli się pozbyć piętna „wrogów ludu”.

Jednak chłopcy wciąż musieli pracować na rzecz kołchozu, a władza sowiecka do minimum próbowała zredukować ich własność, postulując ograniczenie powierzchni ich ogrodów. Białystok omięły za to inne zmiany: łączenie mniejszych kołchozów w większe oraz likwidacji wiosek (kilka z nich, istniejących

wokół Białegostoku, zniknęło wówczas z map).

W latach 60. XX w. pojawił się we wsi wodociąg. Kolejne dwie dekady to względna stabilizacja. Kołchoz płacił więcej, we wsi zagodziły telewizory, motocykle czy nawet auta. Zbudowano dom kultury (już nie istnieje). A potem Związek Sowiecki upadł. Pogarszająca się sytuacja ekonomiczna w Federacji Rosyjskiej w latach 90. oznaczała też koniec (względnie) rozwoju wsi.

Zmiany, które przetoczyły się przez kraj, umożliwiły natomiast (ponowną) rejestrację parafii katolickiej. Mieszkańcy coraz śміalej zaczęli myśleć o tym, by odzyskać swój kościół, który w trakcie II wojny światowej służył jako magazyn, a po niej był siedzibą wiejskiego klubu.

W 1990 r., po raz pierwszy od kilkudziesięciu lat, we wsi zjawiał się duchowny. Rok później, 16 maja 1991 r., Maria Anna Świątkowska z Gdańska przeprowadziła w Białymstoku pierwszą lekcję polskiego. Ukoronowaniem zmian był kapitalny remont kościoła, który 13 czerwca 1998 r. został ponownie poświęcony przez biskupa Józefa Werta.

A potem, niespełna dwie dekady później, nadeszła tamta fatalna kwietniowa noc.

Za rok pierwsza msza

Na nowy kościół zrzucili się wszyscy, kto tylko mógł: organizacje polonijne, instytucje, osoby prywatne, szkoły, wspólnoty, uniwersytety, ludzie z Polski i zagranicy. Dzięki zaangażowaniu Agnieszki Kaniewskiej, jezuita Krzysztofa Korolczuka z podlaskiego Białegostoku, dwóch kolejnych jezuitów – byłego proboszcza w Tomsku Stephana Lipke i obecnego Wojciecha Ziółko – udało się zebrać pieniądze na odbudowę: ok. 110 tys. euro.

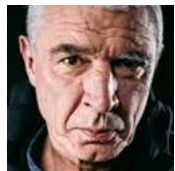
– Nowy kościół będzie jednopiętrowy, ze strychem, na którym przewidziano miejsce noclegowe dla odwiedzających wieś i dla wolontariuszy, chcących np. organizować obozy dla dzieci – mówi Agnieszka Kaniewska. – W kościele znajdzie się wieżyczka, a także mała salka, w której będzie można prowadzić zajęcia edukacyjne.

Uroczystą konsekrację nowego kościoła zaplanowano na dzień św. Antoniego Padewskiego – 13 czerwca 2020 r. Potomkowie założycieli Białegostoku znów będą mieli swój namacalny kawałek ojczyzny.

© KAROL FRYTA

ANDRZEJ

Stasiuk: Zabijanie



TYDZIEŃ TEMU SIEDZIAŁEM PRZY OGNI-SKU. Była już noc, powietrze nieruchome i zimne. W zupełnej ciszy słyszałem odgłosy rykowiska. Trzy albo cztery byki odzywały się na skraju lasu. Z każdej strony.

Z czterech stron świata. To był potężny, pradawny dźwięk. Jakby otwierała się ziemia, żeby uwolnić najstarsze odgłosy. Rozchodził się w stojącym powietrzu powoli i wypełniał je drżeniem. A potem, gdzieś w górze, w ciemności odezwały się żurawie. Rozwibrowany klangor roztaczał się na wysokościach i mieszał z tellurycznym rykiem. Dorzuciłem do ognia, żeby i trzeci żywioł dołączył do tej pogańskiej mszy. Potem żurawie odleciały, byki umilkły i trzaskał tylko ogień.

W rykowisko się poluje. Po lasach słychać więcej strzałów. Bardzo łatwo podejść wtedy byka. Jest opętany wolą przedłużenia gatunku, że się tak wyrażę. Można go odnaleźć po pizmowym zapachu, który za sobą zostawia. Oglądałem samotne, zaczadziałe żądzą samce z odległości trzydziestu, czterdziestu metrów. Nie dostrzegały mojej obecności. Wtedy się je zabija. Nie mają żadnych szans. Z nowoczesnej broni z nowoczesną optyką trafia w nie nawet półślepy.

Nigdy tego nie rozumiałem. Tej łatwizny. Nie rozumiem też zabijania dla przyjemności. Sam zabijałem zwierzęta. Z bliska, własnymi rękami. Po prostu podrzyłem im gardła bardzo ostrym nożem. Chore kozy, owce poszarpane przez psy albo wilki. Nauczył mnie tego wiele lat temu sąsiad, który miał stado owiec i hodowla była jego zawodem. Nóż musiał być bardzo ostry. Tego też mnie nauczył. Miał specjalny, którego nie używał do niczego innego. Pewnie jeszcze po ojcu. Ale nigdy nie czułem radości, tylko smutek. W głębi duszy czułem też, że robię coś koniecznego, ale zarazem złego. Bo tak czasem wygląda życie.

Nie rozumiem tej łatwizny i obłudy. Całej tej parciańskiej mistyki z „darz bór”, „pokotami”, z tym „oddawaniem szacunku upolowanej zwierzynie” gałązkami w pyskach trupów i kro-

kodylimi łzami. Z całym tym językiem: „farbą”, „badylami”, „komorami” itd., a na końcu i tak wyłazi sztydło z worka w postaci „pozyskania zwierzyny”. Językiem mającym oddzielić od ofiary, która ma krew podobną do naszej, ma nogi, ma głowę, ma oczy, które powoli stygną i tracą przejrzystość, gdy „król puszczy” po prostu umiera, bo się go zabiło, czyli „poży-skało”. Nie znam się za bardzo na zabijaniu, ale znam się trochę na języku. Ta październikowa poetyka jest najczystszy-m kiczem. Z założenia ma zakłamać uczucia, prawdę i rzeczy-wistość. Ma przesłonić fundamentalną brutalność czynu, za który nie chcemy wziąć odpowiedzialności. To jest po prostu tchórzliwe i tyle. Podejrzewam też, że w tej jesiennej rzezi samców chodzi również o dziwną odmianę seksualności. O nieograniczone panowanie nad samicami. O jakiś fal-liczny sen. Nie na darmo w męskiej, obłej mowie ko-bietę nazywa się „łanią”. W przekonaniu, że to jakiś wyszu-kany komplement.

Mężczyźni, którzy wspólnie zabijają, wspólnie przelewają krew (tutaj raczej cudzą), stają się wspólnotą, do której inni nie mają wstępu. Coś jak tajne bractwo, zakon albo mafia. W czasach wojny to ma jakiś sens. Po prostu żołnierze muszą mieć jakiś bonus, coś w rodzaju ekskluzywnego zysku w postaci monopolu na przemoc, by w ogóle iść na wojnę i ewen-tualnie dać się zabić. Ale nawet oni, poza skrajnymi przypadkami np. wojny domowej, są poddawani kontroli państwa, priorytetów politycznych, racjonalnej władzy.

Nasze relacje z naturą komplikują się coraz bardziej. Ma-rzenia o pierwotnej harmonii, „dzikim życiu” są już tylko piękną baśnią. Będziemy zabijać zwierzęta chociażby po to, by chronić chwiejną równowagę między cywilizacją a przy-rodą – równowagę, którą dawno zakłóciliśmy. To jest rzecz naszego przetrwania. Zabijanie dzikich zwierząt, czyli władza nad przyrodą w ogóle, nie może być oddana w ręce „tajnych bractw” kultuwających dziwne i ciemne obyczaje, w których krew, kicz i anachronizm odgrywają główną rolę.

Klangor żurawi ucichł, byki umilkły. W ciemnym i cichym powietrzu pozostało coś w rodzaju... bo ja wiem... zapachu?... echa piękna? Naiwnie przymknąłem oczy, by chwila trwała jak najdłużej. Ale gdy tylko to uczyniłem, objawił mi się były minister środowiska podczas egzekucji kilkuset bażantów. A potem nowy dyrektor Magurskiego Parku w towarzystwie zabitego własnoręcznie głuszca. Czego Państwu nie życzę. ©

W Sądzie Rejonowym w Zakopanem I Wydziale Cywilnym pod sygnaturą I/NS 569/19 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Marii Kojdzie (Kojda) c. Teodora i Wiktorii małżonków Paluch, która urodziła się w dniu 07.11.1882 r. w Łaziskach Górnych, a zmarła w dniu 07.09.1952 r. w Świętochłowicach. Ostatnio stale zamieszkiwała w Chorzowie. W skład majątku spadkowego wchodzi realność stanowiąca działkę ewidencyjną 215/28, która jest zabudowana budynkiem nr 6 położonym przy ul. Hutniczej w Chorzowie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców Marii Kojdy, aby w terminie 3 miesięcy od publikacji ogłoszenia stawili się w Sądzie Rejonowym w Zakopanem i wykazali swe prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie ich prawa mogą zostać pominięte w końcowym orzeczeniu.

W Sądzie Rejonowym w Lubaczowie I Wydział Cywilny, w sprawie I/NS 99/19 z wniosku Anny Jamroz z udziałem Dario Wszoły, Lucyny Wszoły i Tomasza Daniela Wszoły o stwierdzenie nabycia spadku po: Andrzeju Wszoła s. Bogusława i Marii, żonatym, zmarłym 8 września 2015 r. w Starym Lublińcu, ostatnio stale zamieszkałym w Starym Lublińcu 37/1, Romanie Andrzeju (2 im.) Wszoła s. Andrzeja i Lucyny, kawalerze, zmarłym 13 listopada 2016 r. w Rzymie, ostatnio stale zamieszkałym w Starym Lublińcu 7/4.

Wzywa wszystkie osoby roszczące sobie prawa do spadku, aby w terminie trzech miesięcy od dnia zamiesz-czenia ogłoszenia zgłosiły swój udział w postępowaniu i udowodniły prawo do spadku, pod rygorem pominięcia w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

weź, czytaj!

Wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego”

W PRENUMERACIE

4 wydania * **wraz z dostawą do domu**

za **69 zł**



* oferta dotyczy 4 kolejnych wydań specjalnych (numery 4/2019 i 1, 2, 3/2020). Zamów je na powszech.net/prenumeruj okładki przedstawiają wydania archiwalne. Chcesz je otrzymać? Napisz: zamowienia@tygodnik.com.pl

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
Bank Pekao SA
nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”,
ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku
w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@powszechswiat.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	349 zł	419 zł
Półroczna (26 numerów)	215 zł	249 zł
Kwartalna (13 numerów)	115 zł	129 zł
Pokolenia*	300 zł	
Karta Dużej Rodziny**	300 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	399 zł	469 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	360 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	360 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin



PARTNER MARKETINGOWY





Emil Österman, portret Alfreda Nobla, 1915 r.

UNIVERSAL IMAGES GROUP / GETTY IMAGES

NOBLE 2019

Najcenniejsze naukowe nagrody przyznano za odkrycia, które zmieniły nasz sposób myślenia o wszechświecie i nas samych, oraz technologie, które zrewolucjonizowały naszą codzienność.

Komórka na wdechu

MARIUSZ GOGÓŁ

Nagrodę w dziedzinie medycyny lub fizjologii otrzymali William G. Kaelin Jr, Sir Peter J. Ratcliffe i Gregg L. Semenza za wyjaśnienie, jak komórki adaptują się do poziomu dostępności tlenu.

TLEN JEST NIEZBĘDNY DO ŻYCIA WIELU ORGANIZMÓW, ŁĄCZ- nie określanych jako tlenowce (aeroby). Do tej grupy, oprócz nas, zalicza się większość żyjących na Ziemi istot, z wyłączeniem głównie bakterii. Bez tlenu nie moglibyśmy w pełni korzystać z komórkowego paliwa, jakim jest glukoza. W obecności tlenu podczas rozkładu tego cukru powstaje dużo ATP – cząsteczek będących nośnikami energii w komórce. Bez niego powstaje ich tylko kilka.

Wiemy o tym wszystkim od dawna. Jednak dopiero w ciągu nieco ponad dwóch ostatnich dekad poznaliśmy mechanizm, według którego komórki reagują na niski poziom tlenu.

Ilość dostępnego tlenu może się zmieniać zupełnie naturalnie. Wystarczy, że intensywniej uprawiamy sport i okresowo nasze komórki dostają go mniej, niż potrzebują. Możemy również wyjść wysoko w góry. Na wysokości jego stężenie w powietrzu jest niższe niż w dolinie. Jedną z podstawowych reakcji naszego organizmu na niski poziom tlenu jest zwiększenie ilości hormonu zwanego erytropoetyną (EPO). Do czasu odkryć tegorocznych noblistów znany był tylko bardzo uproszczony mechanizm: gdy nisko nasycona tlenem krew dociera do nerek, komórki tego organu wydzielają erytropoetynę. Jej zadaniem jest pobudzenie szpiku kostnego do produkcji nowych krwinek czerwonych – transporterów tlenu. Ich większe ilości pomagają dostarczać ten gaz do spragnionych go komórek. Ze względu na działanie zwiększające wydolność organizmu, EPO bywa także stosowana jako doping przez sportowców.

Zależność między ilością erytropoetyny a produkcją czerwonych krwinek była już znana na początku XX w. Odkrycie, które nagrodzono w tym roku, pozwoliło dokładnie zrozumieć mechanizm tego powiązania.

MOLEKULARNA MASZYNERIA Badania tegorocznych laureatów pozwoliły ustalić, że regulacja tworzenia EPO zachodzi w różnych miejscach organizmu – nie tylko w nerkach. W materiale genetycznym, obok „przepisu” na tę cząsteczkę, znajduje się również pewien istotny fragment. Stanowi on miejsce wiązania kompleksu białkowego, który reguluje proces tworzenia nowych cząsteczek EPO. Gdy taki regulator zwiąże się do wspomnianego miejsca w DNA, następuje zwiększenie produkcji erytropoetyny. Pod koniec XX w. wyizolowano ten czynnik regulatorowy z hodowli komórek wątroby i nazwano HIF. Dalsze badania pozwoliły na odkrycie jego budowy. Składa się z dwóch części: HIF-alfa i ARNT.

Poziom HIF-alfa w komórce zależy od dostępności tlenu. Gdy jego stężenie jest niskie, ilość HIF-alfa w komórce jest wysoka – wtedy łączy się on z cząsteczką ARNT i może stymulować proces tworzenia EPO poprzez wiązanie do wspomnianego fragmentu DNA. W sytuacji, w której komórki



NIKLAS ELMHED © NOBEL MEDIA

William G. Kaelin Jr, Sir Peter J. Ratcliffe i Gregg L. Semenza

mają dostęp do normalnej ilości tlenu, HIF-1 α ulega degradacji. Proces ten jest kilkietapowy i wymaga specjalnego oznakowania degradowanego białka. Następuje to poprzez dołączenie cząsteczki ubikwityny – molekularnej metki spisującej cząsteczkę na straty. Niszczeniem zajmuje się proteasom – złożony z wielu białek agregat, który jest centralnym miejscem rozkładu białek w komórce.

Kolejną częścią układanki jest gen VHL, który koduje białko o tej samej nazwie. Nazwy te pochodzą od tzw. dziedzicznego zespołu von Hippel-Lindau (choroby genetycznej zwiększającej prawdopodobieństwo pewnych typów nowotworów). Okazało się, że z genem VHL może fizycznie oddziaływać cząsteczka HIF-1 α i że VHL jest częścią kompleksu, który przykleja ubikwitynę do białka. Badaczom pozostało wówczas jeszcze wyjaśnić mechanizm, zgodnie z którym dochodzi do tego ometkowania.

NOWY RODZAJ LEKÓW W dwóch jednocześnie opublikowanych pracach wyjaśniono, w jaki sposób tlen wpływa na proces degradacji białka pobudzającego produkcję EPO. Okazało się, że przy normalnym poziomie tego gazu do białka HIF-1 α dodawane są dwie grupy hydroksylowe (OH). Doczepianiem zajmują się enzymy zwane hydroksylazami prolinowymi. To właśnie obecność tych grup umożliwia rozpoznanie i związanie HIF-1 α przez cząsteczkę VHL, która następnie znakuje kandydata do zniszczenia przez proteasom. W ten sposób, gdy tlenu jest pod dostatkiem, regulatorowa cząsteczka jest niszczona i nie dochodzi do pobudzania produkcji erytropoetyny.

Taka regulacja jest istotna nie tylko w sytuacji zwiększonego wysiłku czy podczas przebywania na dużych wysokościach, ale również w innych procesach życiowych, m.in. prawidłowym rozwoju łożyska oraz tworzeniu naczyń krwionośnych. Zrozumienie dokładnego mechanizmu reakcji komórek na poziom tlenu daje podstawę do konkretnych terapii. Na podstawie opublikowanych badań wprowadzono już na chiński rynek leki. Jeden z nich stosowany jest u osób z niedokrwistością będącą powikłaniem przewlekłej choroby nerek.

Zrozumienie całej tej molekularnej maszyneryi może również pomóc w walce z nowotworami, podczas których mechanizmy regulowane tlenem stymulują m.in. tworzenie nowych naczyń krwionośnych, dzięki którym guz może się odżywiać i rosnąć. Umiejętne ingerowanie w ten proces może mieć działanie lecznicze.

©

Pod szczęśliwymi gwiazdami

SEBASTIAN SZYBKĄ

Nagrodę w dziedzinie fizyki otrzymali James Peebles, Michel Mayor i Didier Queloz za wkład w nasze zrozumienie ewolucji wszechświata i miejsca Ziemi w kosmosie.

JAMES PEEBLES W ZNACZĄCYM STOPNIU PRZYSZYLI SIĘ DO powstania współczesnego modelu kosmologicznego. Obecnie jednym z najcenniejszych źródeł informacji o tym, z czego składa się i jak ewoluował wszechświat, jest tzw. mikrofalowe promieniowanie tła – pozostałość po czasach, gdy wszechświat był młody i gorący. Promieniowanie to dociera do nas cały czas ze wszystkich stron i przypomina trochę szum, jaki czasami można usłyszeć w analogowym radioodbiorniku. Dzięki pracom Jamesa Peeblesa i innych naukowców wiadomo, jak odczytać ukryte w promieniowaniu tła informacje. Obraz świata, który uzyskaliśmy na tej podstawie, jest zaskakujący. Materia, jaką znamy i z jakiej utworzona jest Ziemia, Słońce i nasze ciała, stanowi nie więcej niż pięć procent tego, co istnieje we wszechświecie. Reszta to tajemnicza ciemna materia oraz ciemna energia, które nie emitują ani nie pochłaniają światła.

Rolę, którą Peebles odegrał we współczesnej kosmologii, znakomicie opisał w książce „Pierwsze trzy minuty” inny noblista, Steven Weinberg. Cofnijmy się na chwilę do lat 60. XX w. Młody teoretyk z Princeton James Peebles w swoim referacie stara się przekonać słuchaczy, iż powinien istnieć szum radiowy pozostały po wczesnej epoce wszechświata. To właśnie słynne mikrofalowe promieniowanie tła. Peebles, razem ze swoim przełożonym Robertem Dicke’iem i współpracownikami, zaplanował już obserwacje mające wykazać, że szum ten istnieje naprawdę. W tym samym czasie, pół godziny drogi od Princeton, dwóch astronomów, Arno Penzias i Robert Wilson, przygotowuje mikrofalową antenę do obserwacji naszej galaktyki. W rozpoczęciu pracy przeszkadza im nieznany szum. W referacie Peeblesa uczestniczył jednak „kolega kolegi” Penziasa i ostatecznie oba zespoły się spotykają. Dochodzą do wniosku, że nieznośny szum jest poszukiwanym promieniowaniem tła. Szczęśliwi odkrywcy, Penzias i Wilson, w 1978 r. otrzymują Nagrodę Nobla (komisja tej nagrody częściej wyróżnia autorów obserwacji i eksperymentów). Fizykom z Princeton – w tamtym czasie – pozostaje naukowa satysfakcja.

Dokonania Peeblesa na gruncie kosmologii nie ograniczają się do badań promieniowania tła. Tegoroczny noblista przyczynił się do zrozumienia wielu innych zagadnień, →

→ m.in. powstawania pierwiastków we wczesnym wszechświecie oraz związku ciemnej materii i ciemnej energii z tworzeniem się kosmicznych struktur. Jego badania pomogły przekształcić kosmologię z nauki spekulatywnej w naukę precyzyjną.

PIERWSZA Z MILIARDA Choć odkrycie dokonane przez pozostałych dwóch noblistów nie dotyczy fundamentalnej fizyki, to ma ono znaczenie dla nas wszystkich. Któż nie zadawał sobie pytania, czy jesteśmy sami we wszechświecie? Co prawda Michel Mayor i Didier Queloz nie nawiązali kontaktu z innymi cywilizacjami, ale dzięki nim wiemy dzisiaj, że wszechświat jest miejscem bardzo gościnnym dla życia.

W chwili obecnej znamy ponad cztery tysiące planet krążących wokół gwiazd innych niż Słońce. Początki poszukiwań nie były łatwe: przez wiele lat nie udawało się odnaleźć tego typu obiektów. Pierwszy pozasłoneczny układ planetarny został odkryty w 1992 r. przez Aleksandra Wolszczana i Dale'a Fraila. Centralna gwiazda w tym układzie nie przypomina jednak naszego Słońca. Jest to szybko rotująca i bardzo gęsta gwiazda, tzw. pulsar. Metoda zastosowana przez Wolszczana i Fraila nie nadawała się do wyszukiwania planet pozasłonecznych krążących wokół gwiazd podobnych do Słońca. Tego typu planeta została pośrednio zaobserwowana przy wykorzystaniu innej metody dopiero trzy lata później przez Mayora i Queloz. Gwiazda 51 Pegasi okazała się dla nich szczęśliwa, a planeta, którą nazwano Dimidium, zapewniła im Nagrodę Nobla.

Dimidium nie nadaje się do zamieszkania. Najprawdopodobniej jest to planeta gazowa. Przypomina Jowisza, ale ma od niego dwukrotnie mniejszą masę. Dimidium znajduje się bardzo blisko macierzystej gwiazdy: dwadzieścia razy bliżej, niż wynosi odległość Ziemi od Słońca. Tak wąska orbita skutkuje krótkim okresem obiegu (cztery ziemskie dni) i wysoką temperaturą wynoszącą ponad tysiąc stopni Celsjusza.

Nie powinniśmy się jednak martwić niegościnnością planety Dimidium. To, co w latach 90. XX w. było odkryciem zasługującym na Nagrodę Nobla, obecnie dla wielu astronomów jest częścią codziennej rutyny. Odkrycia z lat 90. otworzyły nowy dział astronomii: poszukiwanie planet pozasłonecznych. Oprócz setek „gorących Jowiszy” (tak nazywamy planety podobne do Dimidium) znamy obecnie dziesiątki o wiele bardziej gościnnych globów. Przypominają one naszą Ziemię. Na podstawie dokonanych obserwacji szacuje się, że w samej tylko naszej galaktyce istnieje wiele miliardów planet, na których mogłoby, przynajmniej teoretycznie, zaistnieć życie.

TANIEC Z GWIAZDAMI Astronomowie stosują rozmaite metody w poszukiwaniach planet pozasłonecznych. Tylko w wyjątkowych przypadkach można nową planetę zaobserwować bezpośrednio. Przeważnie o jej istnieniu dowiadujemy się na podstawie dokładnych obserwacji gwiazdy, którą ta planeta okrąża. Metoda wykorzystana przez Michela Mayora i Didiera Queloz polegała na precyzyjnej obserwacji koloru macierzystej gwiazdy. Światło zachowuje się podobnie jak fala dźwiękowa dobiegająca do naszych uszu ze zbliżającej się lub oddalającej się karetki. Wysokość sygnału karetki ulega zmianie. Podobnie zmienia się kolor światła. Obiekty, które się do nas przybliżają, wydają się bardziej niebieskie,



James Peebles, Michel Mayor i Didier Queloz

niz są naprawdę, a te, które się od nas oddalają, zdają się lekko czerwienić. Jeśli tego typu zmiany koloru zaobserwujemy dla gwiazdy, to można podejrzewać, że ma ona niewidocznego towarzysza, z którym kolebie się w kosmicznym tańcu wokół wspólnego środka masy.

Inna popularna metoda polega na dokładnej obserwacji jasności gwiazdy. Jeśli planeta znajdzie się pomiędzy nami a gwiazdą, to przesłoni jej światło i gwiazda pociemnieje. Okresowe powtarzanie się tego zjawiska sugeruje obecność okrążającej gwiazdę planety. W wyjątkowych sytuacjach takie przejście planety pomiędzy nami a gwiazdą można wykorzystać do zbadania atmosfery planety. Gwiazda prześwietla otoczkę gazową planety, tym samym ujawniając skład tej otoczki. Wykorzystując tę metodę, we wrześniu tego roku odkryto cząsteczki wody w atmosferze potencjalnie przyjaznej dla życia planety K2-18b. Być może więc za kilka lat usłyszymy o planecie pozasłonecznej, w której atmosferze znajdują się gazy produkowane przez organizmy żywe.

Ale nawet jeśli to nastąpi, nie będziemy mogli udać się tam w odwiedziny. Odległości do innych układów planetarnych są iście astronomiczne. Międzygwiazdne podróże w przewidywalnej przyszłości pozostaną jedynie domeną literatury *science fiction*. Mayor i Queloz nigdy nie zobaczą swojej planety z bliska.

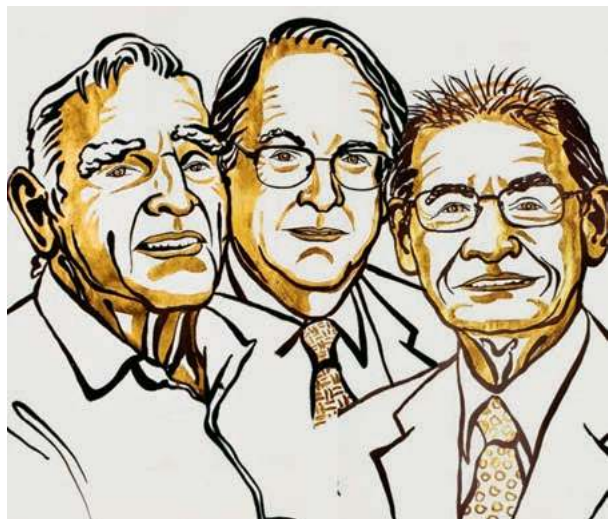
©

Lita energia

MIROSŁAW DWORNICZAK

W dziedzinie chemii Nagrodą Nobla uhonorowano Johna B. Goodenougha, M. Stanleya Whittinghama i Akirę Yoshino za wkład w stworzenie akumulatorów litowo-jonowych.

HISTORIA OGNIW ELEKTRYCZNYCH SIĘGA PRZEŁOMU XVIII i XIX w., kiedy Alessandro Volta znalazł sposób generowania elektryczności. W pierwotnej wersji jego urządzenie składało się z dwóch blaszek, jednej z miedzi albo srebra



NIKLAS ELMED © NOBEL MEDIA

John Goodenough, M. Stanley Whittingham i Akira Yoshino

i drugiej z cynku albo cyny, zanurzonych w filizance z osoloną wodą. Ponieważ uzyskane napięcie (0,76V) było dość niskie i niezbyt nadawało się do eksperymentów, uczony skonstruował tzw. stos Volty, przekładając wiele blaszek z dwóch metali bibułą nasączoną roztworem soli. Wszystkie dzisiejsze ogniwa są w zasadzie twórczym rozwinięciem pomysłu Włocha. Ówczesnych ogniw można było użyć tylko raz, nie było możliwości ponownego ładowania. Kolejne konstrukcje powstawały też w XIX w. i część z nich jest produkowana do dziś – są to tzw. baterie cynkowo-węglowe (Leclanchégo), a także droższe, ale wydajniejsze baterie alkaliczne.

Istotnym momentem przełomowym było wynalezienie ogniw, które można ładować ponownie. Znamy je choćby z samochodów. Są to akumulatory kwasowo-ołowiowe, które skonstruowano w drugiej połowie XIX w. Mają dobrą wydajność, ale, jak dobrze wie każdy kierowca, są bardzo ciężkie, w dodatku wypełnia je żrący kwas siarkowy. Tymczasem na świecie rosło zapotrzebowanie na coraz mniejsze, a jednocześnie wydajniejsze akumulatory.

WYBUCHOWE WĄSY Prace nad bateriami litowo-jonowymi rozpoczęły się w latach 70. XX w. W założeniu są to tzw. ogniwa drugiego typu, czyli takie, które można wielokrotnie ładować, odwracając proces elektrochemiczny zachodzący wewnątrz. Każde takie ogniwo składa się z trzech elementów – dwóch elektrod (anoda i katoda) oraz elektrolitu, który przewodzi jony. Z elektrochemicznego punktu widzenia jednym z najlepszych metali, które mogą posłużyć jako materiał na anodę, jest lit. Jest on najlżejszym pierwiastkiem metalicznym, ma jednak dość istotne wady – jest niesamowicie reaktywny i z tego powodu nie można było użyć wody jako rozpuszczalnika elektrolitu. W połowie lat 50. XX w. po raz pierwszy zastosowano w tym celu związki organiczne, takie jak estry (m.in. węglan etylenu i propylenu). Kolejnym istotnym odkryciem było znalezienie tzw. materiałów interkalacyjnych, z których można wykonywać katody.

Pierwszym z nich, wprowadzonych przez Whittinghama, był siarczek tytanu (TiS_2). Struktura krystaliczna tego związku składa się z milionów nakładających się na siebie płaszczyzn, pomiędzy którymi jest niewielka przestrzeń

– idealnie pasująca do tego, aby zmieścić się tam jony litu. Tak powstał pierwszy akumulator litowo-jonowy. Anodą był metaliczny lit, a napięcie (czy właściwie siła elektromotoryczna) tego ogniwa wyniosła niemal 2V, co było już sporą wartością. Niestety, te konstrukcje miały w dużym stopniu charakter eksperymentalny. Zarówno lit metaliczny, jak też siarczek tytanu to materiały dość kapryśne i trudne do przetwarzania. Dodatkowo siarczek tytanu jest substancją toksyczną. I tutaj właśnie w sukurs przyszedł John B. Goodenough – skądinąd najstarszy w historii nagrodzony noblista (ma 97 lat). Po serii eksperymentów zaproponował zastąpienie tego związku tlenkiem kobaltu. Okazało się, że ten tańszy, a co ważniejsze, nietoksyczny związek ma bardzo podobną strukturę do siarczku tytanu i analogicznie może przyjąć pomiędzy warstwy całkiem sporo jonów litu.

Co ciekawe, nowa konstrukcja ogniwa pozwalała na uzyskanie znacznie wyższego napięcia – w wersji z tlenkiem kobaltu wynosi ono 4V. Eksperymenty z wielokrotnym ładowaniem i rozładowaniem tego ogniwa pokazały jednak, że pojawia się inny, bardzo poważny problem. Podczas ładowania na powierzchni metalicznego litu tworzyły się dendryty, czyli swoiste „wąsy”. Kolejne ładowania powodowały ich narastanie, aż w końcu osadzający się metal dotykał katody, co powodowało zwarcie – i eksplozję.

BATERIE PRZYSZŁOŚCI Z wyzwaniem tym zmierzył się Akira Yoshino. Długo eksperymentował z materiałem na anodę. Wiadomo już było, że po to, aby stworzyć bezpieczną baterię, nie można używać samego litu. Pojawił się pomysł, aby także anoda była wykonana z materiału interkalacyjnego. Pierwsze doświadczenia z porowatym grafitem nadały kierunek dalszym poszukiwaniom. Po dłuższym czasie, około 1985 r. okazało się, że znacznie lepszym i pewniejszym materiałem jest koks ponaftowy – składający się niemal w całości z węgla uboczny produkt rafinacji ropy. Jest to substancja porowata, przy czym średnica porów pozwalała bez problemu na przeniknięcie litu w głąb materiału.

W tak przygotowanej anodzie jeden atom litu przypada na sześć atomów węgla. I jak do tej pory właśnie ten materiał wykorzystuje się najczęściej na anody. Jeśli chodzi o elektrolit, jest nim nadchloran litu (LiClO_4) rozpuszczony w rozpuszczalniku organicznym, takim jak węglan dimetylu, węglan etylu albo węglan propylu. Badania trwałości ogniw pokazały, że można wykonać nawet 1100 cykli ładowania/rozładowania bez znaczącego spadku pojemności.

Oczywiście to nie zakończyło prac badawczo-rozwojowych. Grupa, której przewodzi Goodenough, badała też inne materiały interkalacyjne, mogące być elementami katod. Bardzo obiecujące są spinele, będące tlenkami manganu, jak też materiały oparte na fosforanie żelaza i litu (LiFePO_4).

Kolejnym etapem rozwojowym baterii litowo-jonowych jest zamiana elektrolitu ciekłego na stały (tzw. elektrolit superjonowy). Stosuje się tutaj rozmaite materiały ceramiczne, często zawierające cyrkon, specjalne szkła, jak też niektóre siarczki metali. Na akumulator tego typu czekają przede wszystkim producenci samochodów elektrycznych oraz hybrydowych. Mają one kilkakrotnie większą gęstość energii w porównaniu z tymi z elektrolitem ciekłym, jak też większą wydajność. Niestety, na razie są bardzo drogie. ©



„TP” 36 / 2019

Byłem w niebie

Tym razem pozwolę sobie zaproponować temat, który prawie nie był w „TP” poruszany. Prawie, gdyż w pewnym sensie nawiązuje do felietonu Anny Dziewit-Meller „Zobaczcie, jak żyjemy”, w którym autorka pyta retorycznie: „Czy w Polsce jest miejsce na takie pytanie?”. Po samo pytanie proszę sięgnąć do rzeczzonego

felietonu. Ja tylko spieszę z odpowiedzią, że jest takie miejsce, albo inaczej: są tacy ludzie – to ludzie „Tygodnika Powszechnego”. Im można zadawać trudne, niewygodne, uwierające pytania. Doświadczyłem tego na własnej skórze, gdyż miałem szczęście uczestniczyć w zorganizowanych przez Kluby „Tygodnika Powszechnego” „Wakacjach z księdzem Bonieckim”. Przez siedem dni byłem w niebie. Właśnie tak je sobie wyobrażam. Wśród bardzo wielu nieznanymi ludzi, którzy od pierwszego zetknięcia stają się nie tylko znajomi, ale przyjacielscy, którzy nie pozują, nie udają, nie grają, tylko po prostu są. W środowisku, w którym można oddychać wielkimi sprawami świata, a także rzeczami prozaicznymi,

ale jakże ważnymi dla naszego życia. Na dodatek w bajecznych okolicznościach przyrody, gdzie niebo wali się nam na głowę w nocy, a góry uszlachetniają widok za dnia – w Bieszczadach. Muśniętych zaledwie ludzką ręką, jakby pozostawionych na pastwę niedźwiedzi, których ślady można było tu i tam zauważyć. Codzienna msza święta, codzienne spacerowanie z człowiekiem, codzienne wycieczki w znane i nieznanne, codzienne wieczorne pogaduchy na tematy wielkie i niestety bardzo bolesne, acz w sposób, który nadawał im jakby lekkości. I wspaniałe zgromadzenie ludzi wierzących w to, że na pewno może być lepiej. Każdy problem znajdował swoją nadzieję! Może odległą, może jeszcze ledwo zaryso-

waną, ale gdzieś w oddali iskrzącą się swoim blaskiem. To jest właśnie niebo! Nie przedśionek, nie zapowiedź, ale niebo ze swoim chórem aniołów na chórze kościółka w Kalnicy – miejscowości stanowiącej jakby wrota Bieszczad, na pewno najdalszych gór w Polsce. Dziękuję za tę niesamowitą przygodę, której byłem uczestnikiem trochę na gapę, a pomimo tego, dzięki przyjęciu przez pełnoprawnych uczestników, całkowicie spełnionym. Myślę, że na długo pozostanie we mnie to doświadczenie, którego byłem przez siedem dni małym elementem. Dziękuję, że jesteście, że mogę być częścią tego niesamowitego zjawiska, jakim jest „Tygodnik Powszechny”.

MIREK CHMIEL

TP Kluby „TP” zapraszają na spotkania

LUBLIN, czwartek,

24 października, godz. 17.00

„Quo vadis, polska szkoła?”

Gościem będą Krystyna Starczewska,

Ewa Juszcak. Miejsce: Dom Kultury LSM
(ul. Wallenroda 4a).

WARSZAWA, czwartek,

17 października, godz. 18.00

„Poezja i sztuka jako miejsce

teologiczne”. Gościem będzie

o. Wacław Oszejka SJ. Miejsce: sala KIK,
II piętro (ul. Freta 20/24A).

ZIELONA GÓRA, czwartek,

17 października, godz. 18.00

„Moje spojrzenie na Polskę”.

Gościem będzie prof. Dieter Bingen.

Miejsce: Piekarnia Cichej Kobiety
(ul. Fabryczna 13).

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

BOOK'S NOT DEAD – TU SIĘ DOBRZE CZYTA

Bądź na bieżąco z premierami książkowymi

Dyskutuj o ulubionych autorach

Zacznij przygodę z literaturą, która dotąd była dla Ciebie obca

Dziel się emocjami

Dołącz do grupy Czytelniczek i Czytelników na powszech.net/bnd**ŁAMIEMY ZASADĘ, ŻE O GUSTACH SIĘ NIE DYSKUTUJE**TYGODNIK
POWSZECHNYBook's
not dead

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**muzyka
W TYGODNIKU**

Dodatek specjalny 42/2019
Redakcja Kajetan Prochyra

**jj festiwal
jazz jantar**



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Instytut muzyki i tańca
MIIT

DOPINANKOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO
PODZIELEKTOREK I FUNDUSZE PROMOCJI KULTURY W RAMACH PROGRAMU „MIĘTYSA”
REALIZOWANEGO PRZEZ INSTYTUT MUZYKI I TAŃCA

MECENASI



złaja
#razem30lat



Uwierzcie piosence

Cécile McLorin Salvant jest mądra. To ważniejsze niż jej trzy nagrody Grammy. W jej muzyce, między dźwiękami, w zawieszeniu głosu, w nucie ironii, w uśmiechu odbija się jej własny świat, emocje i wewnętrzna prawda.

Jako wokalistka Cécile McLorin Salvant pierwsze kroki stawiała w świecie muzyki dawnej. Urodzona w Miami dziewczyna postanowiła na studia wyjechać do ojczyzny swojej mamy: Francji. W Aix-en-Provence równolegle uczęszczała na zajęcia z prawa oraz śpiewu barokowego. Pewnego wieczora wystąpiła w tamtejszym klubie jazzowym. Jej wykonanie „Lullaby of Birdland” zwróciło uwagę saksofonisty i pedagoga Jeana-François Bonnela. Zaczęli razem pracować. Wkrótce ukazała się pierwsza płyta artystki, zatytułowana „Cécile”.

Rok później, w 2010 r. wzięła udział w najbardziej prestiżowym konkursie jazzowym – im. Theloniousa Monka. Główną nagrodę wręczyli jej Herbie Hancock i Wayne Shorter. I tu następuje zwrot akcji. 21-letnia wokalistka, zamiast dać się prowadzić na pasku wielkich wytwórni płytowych, postanowiła sama zaplanować swój następny krok. Jej kolejna płyta ukazała się dopiero w roku 2014. Album zatytułowany „WomanChild” jest swoistą muzyczną rewią, w której McLorin Salvant pełni rolę mistrzyni ceremonii. Sięgając do jazzowych śpiewników sprzed lat, zatrzymała swoją uwagę na tych kartkach, które dotąd umykały uwadze innych wykonawców. Nie bała się też przed nagraniem własnych kompozycji. Album przyniósł jej pierwszą nominację do nagrody Grammy.

Ciąg dalszy tej muzycznej opowieści ukazał się na płycie „For One to Love”. Tematem przewodnim albumu jest niespełniona, nieodwzajemniona miłość. 5 z 12 utworów to jej własne teksty i kompozycje. – Niektóre z tych utworów to prawdziwe wyznania miłosne, co do których wiem, że nie sprawdziłyby się w prawdziwym życiu. Nagrałam je, by jednak wyrzucić je ze swego organizmu – tłumaczy autorka. Po cudze słowa sięga w pełni świadomie. „Wives and Lovers”

Burta Bacharacha skusiło ją jako jedna z najbardziej seksistowskich piosenek, jakie kiedykolwiek słyszała: poradnik, jak powinna zachowywać się żona, by dobry mąż nie zechciał szukać szczęścia w ramionach koleżanki z biura. W teledysku towarzyszącym piosence podziwiać możemy Saalima Thabita Muslima – tancerza, którego „The New Yorker” ochrzcił „Basquiatem tańca ulicznego”. Album przyniósł artystce nie tylko nominację, ale i statuetkę Grammy – w kategorii najlepszy jazzowy album wokalny roku. Tak samo było w kolejnym, tym razem dwupłytowym „Dreams and Daggers”.

Do Gdańska Cécile McLorin Salvant przyjeżdża jedynie z pianistą – Sullivanem Fortnerem. Z nim właśnie nagrała swój ostatni krążek „The Window”. W tej kameralnej scenerii płynnie łączą się ze sobą utwory m.in. Steviego Wondera, Cole’a Portera, tandemu Hammerstein i Rodgers, a także Leonarda Bernsteina. „Somewhere” tego ostatniego, z musicalu „West Side Story” to destylat, studium tego, czym może być jazzowa piosenka: jak można poruszyć słuchacza przy użyciu bardzo oszczędnych środków, jak ciekawy i burzliwy może być dialog głosu i fortepianu. Dodatkowym kontekstem tego utworu może być fakt, że nad nową ekranizacją opowieści o zakazanej miłości Tony’ego i Marii – Romea i Julii Nowego Jorku lat 50. – pracuje właśnie Steven Spielberg.

Billie Holiday, Nina Simone czy Betty Carter nie były wielkimi artystkami tylko dlatego, że pięknie śpiewały. Ich głos był nośnikiem sensów, wartości i wolności – by wspomnieć tylko „Strange Fruit” czy „Moon Over Alabama”. Cécile McLorin Salvant żyje w nieco innej Ameryce i o innym świecie śpiewa. Przede wszystkim jednak słucha tego, co ją otacza i oddaje te emocje w piosence. 20 listopada – na finał festiwalu Jazz Jantar, będzie można przekonać się o tym osobiście. ©KP



Bez granic

Od Iranu po Egipt, przez Skandynawię, Chicago i oczywiście Trójmiasto. W cyklu Avant Days na festiwalu Jazz Jantar będzie można usłyszeć muzykę nieprzewidywalną, niekonwencjonalną i niepozostawiającą słuchacza obojętnym.

Jazz Jantar jest od lat miejscem polskich i europejskich jazzowych premier. Tak będzie i podczas 22. edycji festiwalu. Publiczność Klubu Żak jako pierwsza usłyszy m.in. nowy projekt trójmiejskiego kontrabasisty Ola Walickiego „LLovage” – przygotowany w duecie z grającym na perkusji i instrumentach elektronicznych Jackiem Prościńskim. Po raz pierwszy zabrzmiał w Pol-



Jaimie Branch

PETER GANIUSZKIN

sce także nowy materiał pochodzącego z Kairu gitarzysty Maurice'a Louki pt. „Elephantine”. Louca łączy egipską energię i tradycję z rozmiłowaniem w uduchowionych, a nawet międzyplanetarnych, futurystycznych odmianach jazzu. Do Gdańska powróci także supergrupa Atomic, w której czołowi skandynawscy improvizatorzy bawią się jazzową konwencją w najbardziej nieposkromiony sposób. Szczególną uwagę warto także zwrócić na dwójkę nieoczywistych trębaczy – Amira ElSaffara oraz Jaimie Branch.

Ten pierwszy już na początku swojej muzycznej drogi jako trębacz Civic Orchestra w rodzinnym Chicago grał pod batutą Pierre'a Bouleza, Mściława Rostropowicza czy Daniela Barenboima. El-Saffara słyszał nawet na płycie Barenboima poświęconej Duke'owi Ellingtonowi. Po przeprowadzce do Nowego Jorku Amir wciąż pracował z najlepszymi, tyle że na scenie muzyki improwizowanej, m.in. u boku wielkiego pianisty Cecila Taylora. W 2001 r. wygrał prestiżowy konkurs dla trębaczy Carmine Caruso, jednak zamiast na dobre zanurzyć się w odmętach kariery muzyka jazzowego, ElSaffar wyjechał do

Iraku, by tam studiować muzykę swoich korzeni – ojczyzny jego ojca.

W Bagdadzie uczył się od ostatnich prawdziwych mistrzów muzyki *maqam*. Podróżując po Bliskim Wschodzie uczył się gry na santurze (tradycyjnych perskich cymbałach), poznawał pieśni i zgłębiał przekazywane przez wieki z ust do ust legendy i mity. Po powrocie do USA podjął się opowiedzenia muzyką o tym, czego doświadczył podczas swoich podróży. Tak powstał zespół Two Rivers, w którym irackie skale i barwy tradycyjnych instrumentów łączą się z jazzową improwizacją. Na ostatniej płycie zespołu, zatytułowanej „Crisis”, Amir próbuje opisać kraj, który poznał na początku XXI wieku, teraz dotknięty kolejnymi wojnami i wewnętrznymi konfliktami. Projekt powstał na zamówienie słynnego festiwalu w Newport. Publiczność nagrodziła artystów owacją na stojąco już po pierwszym utworze.

Z Chicago do Nowego Jorku swoją muzyczną drogę przeszła także Jaimie Branch. Na swojej debiutanckiej płycie „Fly or Die” postanowiła sprowadzić do nowojorskiego mieszkania swojej siostry najbliższych przyjaciół z Chicago: wiolonczelistkę Tomekę Reid, kontrabasistę Jasona Ajemiana oraz perkusistę Chada Taylora. Album szybko trafił na biurka krytyków „New York Timesa”, NPR czy „Wire”, którzy zgodnie uznali go za jeden z najciekawszych debiutów roku 2017. W Gdańsku polską premierę będzie miało rozwinięcie tego zamyśłu: „Fly or Die II”. Liderka rozszerza tu swój brzmieniowy wachlarz o, jak sama wylicza: syntezatory, skrzypiące buty, dzwonki, gwizdki oraz głos.

Płyta jest na wielu poziomach grą z Ameryką: jej pogmatwaną polityczną teraźniejszością i muzyczną przeszłością. Album otwiera „Modlitwa za Amerykkę”, wieńczy „Piosenka miłosna (dla dupków i clownów)”. Gniew łączy się tu ze śmiechem, a krzyk z parodią bluesów, westernów i tradycyjnej amerykany. Jest to jednak przede wszystkim bardzo wysokiej próby granie. ©KP

22. JAZZ JANTAR FESTIWAL

25–27 października

8–11 oraz 14–20 listopada

Informacje o wszystkich artystach i szczegółowy program na jazzjantar.pl

Przekrój poprzeczny fortepianu

**Podczas festiwalu
będzie można usłyszeć
szerokie spektrum
jazzowej pianistyki:
od ciepłego brzmienia
fortepianu „Banana
Grand” z roku 1934
po ekstrawaganckie
improwizacje Japonki
Satoko Fujii.**

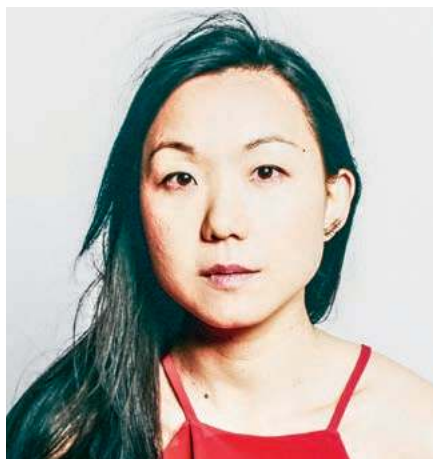
Trójmiejski pianista Sławek Jaskułka regularnie prezentuje nowe projekty na scenie Klubu Żak. Tak było z jego albumami „Sea” czy „Komeda Recomposed”. Artysta, który w swoim dorobku ma m.in. koncerty w Carnegie Hall, w Japonii czy na słynnym North Sea Jazz Festival, nie ustaje w poszukiwaniu nowych brzmień. Jednak chociaż wielu nowości poszukuje w elektronice i futurystycznych wynalazkach, inspirację znalazł w zabytkowym instrumencie szwedzkiej firmy Malm-sjö. Jego wyjątkowość tkwi w budowie bryły instrumentu. Jego wnętrze posiada więcej otworów rezonansowych. Dzięki nim instrument ma cieplejsze i potężniejsze brzmienie. Łut szczęścia sprawił, że jeden z dwóch działających „Banana Grandów” – jak pieśzcotliwie określa się ten model – mógł trafić do Sławka Jaskułka (po drugi trzeba się wyprawić aż do Singapuru). Na nim zarejestrował najnowszą płytę „The Son” i właśnie ten materiał usłyszymy na festiwalu Jazz Jantar 26 października.

Na jedynym koncercie w Europie wystąpi w Klubie Żak trio pianisty Matthew Shippa, kontrabasisty Williama Parkera oraz grającego na flecie, trąbce i saksofonach Daniela Cartera. Ich muzyka, zapisana na płycie „Seraphic Light”, została nagrana podczas konferencji naukowej zatytułowanej „Sztuka, rasa i polityka w Ameryce”. Koncert poprzedziła dyskusja →

⇒ muzyków, którzy od dekad są aktywnymi i zaangażowanymi twórcami muzyki improwizowanej. Shipp i Parker to artyści o międzynarodowej renomie. Przez lata współtworzyli zespoły słynnego Davida S. Ware'a. Daniel Carter, choć aktywny na nowojorskiej scenie od lat 70., pozostawał dotąd nieco na uboczu. Przepiękna, medytacyjna, a jednocześnie bardzo otwarta w formie muzyka „Seraphic Light” to doskonała okazja, by go lepiej poznać.

Japonka Satoko Fujii na scenie Klubu Żak pojawi się w duecie z amerykańskim basistą Joe Fondą. W improwizowanym dialogu artyści mierzą się ze sobą od kilku lat. Zapis jednej z takich rozmów ukazał się na świetnie przyjętej przez krytykę płycie „Mizu”. Muzycy rozmawiają ze sobą dźwiękami w sposób absolutnie nieskrępowany. „W pewnym momencie Satoko zagrała coś, co zabrzmiało dla mnie jak opera. Pomyślałem, że ktoś powinien teraz zaśpiewać, więc zaśpiewałem” – wspomina Joe Fonda. Satoko Fujii szuka muzyki wewnątrz fortepianu. Pod jej palcami instrument odsłania zupełnie nowe brzmieniowe możliwości. Ich gra z Fondą jest podróżą w nieznane krajobrazy.

Z Satoko Fujii współpracowała także inna pianistka, która zawiązała na festiwal: Myra Melford. Zagra recital solo. Spodziewać możemy się po niej wszystkiego: od inspiracji historią muzyki kreatywnej jej wielkich nauczycieli: Henry'ego Threadgilla czy Dona Pullena, po muzykę medytacyjną inspirowaną pismami Rumiego. Nieprzewidywalnie zapowiada się też premiera albumu „Nie przejmuj się” duetu Grzegorz Tarwid (fortepian), Szymon Gąsior (perkusja). Młodzi polscy improwizatorzy spotkali się na studiach w kopenhaskim Rhythmic Music Conservatory. Tam zawiązał się ich tandem pod nazwą Alfons Slik. Jak sami piszą: muzyka zespołu oscyluje pomiędzy free jazzem, współczesną muzyką klasyczną, rock'n'rollem, disco i polskimi zwyczajami weselnymi. Weselnym zwyczajem może być więc głośno i radośnie – a przy fortepianie w Klubie Żak będzie się działo. ©KP



Linda May Han Oh

MAT. PRASOWE

Kamienie szlachetne Lindy May Han Oh

Kontrabasistkę Lindę May Han Oh oglądać mogliśmy w Polsce dotąd u boku innych liderów – Joe'go Lovano, Dave'a Douglassa czy Pata Metheny'ego. Teraz nadszedł czas na jej własną wypowiedź.

Tytuł autorka zaczerpnęła ze słownika geologicznego. Awenturyn to zielonkawy minerał – rodzaj kwarcu. Jego chropowata faktura odbija światło, a efekt ten nazywa się awenturyzacją. Może przez podobieństwo do słowa przygoda – ang. *adventure* – kamień ten jest symbolem kreatywności, zmiany i potencjału.

„Aventurine” Lindy May Han Oh to zestaw autorskich kompozycji, zebranych na różnych etapach jej życiowej drogi, a ta była kręta, jeszcze zanim zaczęła się jej muzyczna kariera. Rodzice Lindy pochodzą z Chin, ale urodziła się w Malezji, a wychowała w Australii. Jak sama mówi, przez sporą część życia nie czuła się do końca członkinią żadnej wspólnoty. Tożsamość pomogła jej zbudować muzyka, a jej do-

mem stał się Nowy Jork. Najpierw studiowała w Manhattan School of Music, a następnie zdobywała szlify jako członkini zespołów jazzowych mistrzów i mistrzyń – pianistki Geri Allen, trębacza Dave'a Douglassa czy perkusistki Terri Lyne Carrington. Pod swoje skrzydła wzięła ją Izumi Uchida – wyjątkowa postać improwizowanej sceny: jazzowa promotorka, Japonka, żyjąca między Tokio, Nowym Jorkiem i Warszawą.

Izumi kochała dźwięki wymykające się gatunkowym ramom i sztywnym przymiotnikom. Pokochała też Polskę, w której mieszkała przez 10 lat, zapraszając do nas swych ukochanych artystów z USA, a także pomagając w karierze improwizatorom znad Wisły. Z pierwszej ręki wiedziała, jak wyboista jest droga w jazzowym biznesie dla kobiety azjatyckiego pochodzenia. To Izumi namówiła Lindę Oh do podróży w rodzinne strony. W Korei Południowej kontrabasistka pracowała z muzykami grającymi na tradycyjnych instrumentach perkusyjnych. W Malezji grała z ludowymi śpiewakami. Z tych inspiracji powstał utwór „Deepsea Dancers”, który znaleźć można wśród kompozycji „Aventurine”. Izumi nie było niestety dane usłyszeć tego wykonania. Managerka zmarła niespodziewanie w 2014 r. Utwór ten poświęcony jest jej pamięci.

Czytając samą obsadę albumu „Aventurine”, można odnieść wrażenie, że to kwartet podwójny: jazzowemu składowi – saksofon altowy, fortepian, kontrabas i perkusja – towarzyszy klasyczny kwartet smyczkowy. W rzeczywistości jednak to wielokrotnie ze sobą spleciona dźwiękowa tkanka. W Klubie Żak zabrmi ona w sposób wyjątkowy: do amerykańskiego kwartetu w składzie Linda Oh (kontrabas, głos), Fabian Almazan (fortepian), Will Vinson (saksofon altowy), Matthew Stevens (gitara) dołączy NeoQuartet – kwartet smyczkowy złożony z absolwentów Akademii Muzycznych w Gdańsku, Warszawie i Lucernie, specjalizujący się w repertuarze muzyki najnowszej.

Ciekawa jest nie tylko treść „Aventurine”, ale także jego forma. Album ten nie jest dostępny w postaci płyty, a złożonego z 10 segmentów origami. Słuchacz sam może wybrać, w jakim formacie chce pobrać muzykę. To nie tylko zabieg efektowny wizualnie, ale przede wszystkim demonstracja sprzeciwu artystki wobec globalnej nadprodukcji plastiku. ©KP



Awatair, od lewej: Tomasz Gadecki, Michał Gos, Mark Tokar

Awatair: morze, powietrze i Coltrane

– Słuchałem różnej muzyki: rock’n’rolla, Davisa, a wszyscy mówili o Coltrane. Poszedłem więc do sklepu, a tam była tylko jedna jego płyta, „Meditations”. Włączyłem i cały mój świat muzyczny wywrócił się do góry nogami – mówi „Tygodnikowi” Tomasz Gadecki, saksofonista tria.

Meditations” to płyta z 1966 r. – ostatni album nagrany z muzykami słynnego wielkiego kwartetu Coltrane’a. Skład poszerzony jest tu już o drugiego saksofonistę, Pharoah Sandersa. Muzykę z płyty zalicza się do późnego okresu w twórczości legendarnego saksofonisty, w którym jeszcze bardziej uwalnia on swoją muzykę, rozszerza techniki gry na instrumencie, gra free, medytuje. Okres ten do dziś pozostaje mniej popularny wśród fanów jazzu. Coltrane jest tu mniej zrozumiały, bardziej szalony. – Słuchałem wcześniej mainstreamu, uczyłem się w szkole, graliśmy jakiś jazz z kolegami z klasy. Tutaj poczułem nagle, że w muzyce chodzi o coś więcej: jazz to nie musi być jakaś ustalona konwen-

cja, struktura, pochod akordów. To może być ciąg energii. Dla mnie to był nowy początek – mówi Tomasz Gadecki.

Jest od wielu lat współtwórcą trójmiejscowej sceny muzyki improwizowanej. Wspólnie z basistą Marcinem Bożkiem tworzy duet Olbrzym i Kurdupel. Pracuje z Mikołajem Trzaską, Rafałem Mazurem, Raphaellem Rogińskim i wieloma innymi improwizatorami. Z perkusistą Michałem Gosem – współtwórcą niezliczonych przedsięwzięć artystycznych Ryszarda Tymona Tymańskiego i Jerzego Mazzolla – postanowił spróbować wejść w świat muzyki późnego Coltrane’a po swojemu: potraktować jego muzykę jako zaproszenie do stworzenia czegoś nowego.

Po kilku koncertach w duecie improwizatorzy rozszerzyli skład o ukraińskiego kontrabasistę Marka Tokara, zna-

nego m.in. ze współpracy z chicagowskim saksofonistą Kenem Vandermarkiem (Resonance) czy klawecistą Wacławem Zimlem (Undivided). 15 marca 2019 r. już jako trio wkroczyli na scenę Klubu Żak, by w ramach festiwalu Jazz Jantar zagrać koncert, a powstała muzykę zarejestrować.

– Wielu muzyków modli się, by poczuć na scenie taką energię, jaka wydarzyła się tego wieczora między nami i publicznością – mówi Gadecki. – Nie mieliśmy sztywnych założeń. Wiedziałem, że chcę sięgnąć po kilka tematów Coltrane’a: „The Father and the Son and the Holy Ghost”, „Naima” oraz „Seraphic Light”. Jednak droga, którą do tej muzyki będziemy podążać, pozostała otwarta.

Publiczność, która tego dnia pojawiła się w Żaku, nie mogła być na taką muzykę przygotowana. Zespół Awatair miał dopiero zaistnieć. „Było to granie porywające, progresywne, przygważdżające słuchacza do parkietu, przez swą agresję wyzwalające, trzymające w napięciu (...) cudownie przytłaczające i zaangażowane, stężone, spełniające funkcje katharsis” – pisał w swojej recenzji tego koncertu Czesław Pajkert.

Pod koniec swojej twórczej aktywności John Coltrane zwracał się w stronę Boga, najwyższego, nie do końca przystającego do któregoś z kanonicznych wyznań religijnych. Gadecki także unika słowa „religia”. Woli słowo „duchowość”. – Muzyka jest czymś, co może komuś pomóc, pocieszyć, wyzwolić reakcję, być szokiem, być energią. My graliśmy wtedy u siebie, w Gdańsku. Morze, przestrzeń, wiatr: właśnie tu wszystko się piętrzy i kumuluje. Chcieliśmy dać temu upust w naszym graniu – tłumaczy saksofonista. Nawiązuje do tego także tytuł płyty. Pierwotnie miała się nazywać „Watair” – skrzyżowanie wody i powietrza. – Mark zaproponował, że może „Awatair”, a że bardzo lubię Marka i jego pomysły, uznałem, że tak będzie super.

Artysta ma jeszcze jedno marzenie: grać z taką pasją, przekonaniem, energią, jak robił to Trane, do końca.

Album „Awatair plays John Coltrane” ukaże się 8 listopada nakładem Fundacji Słuchaj!

©KP

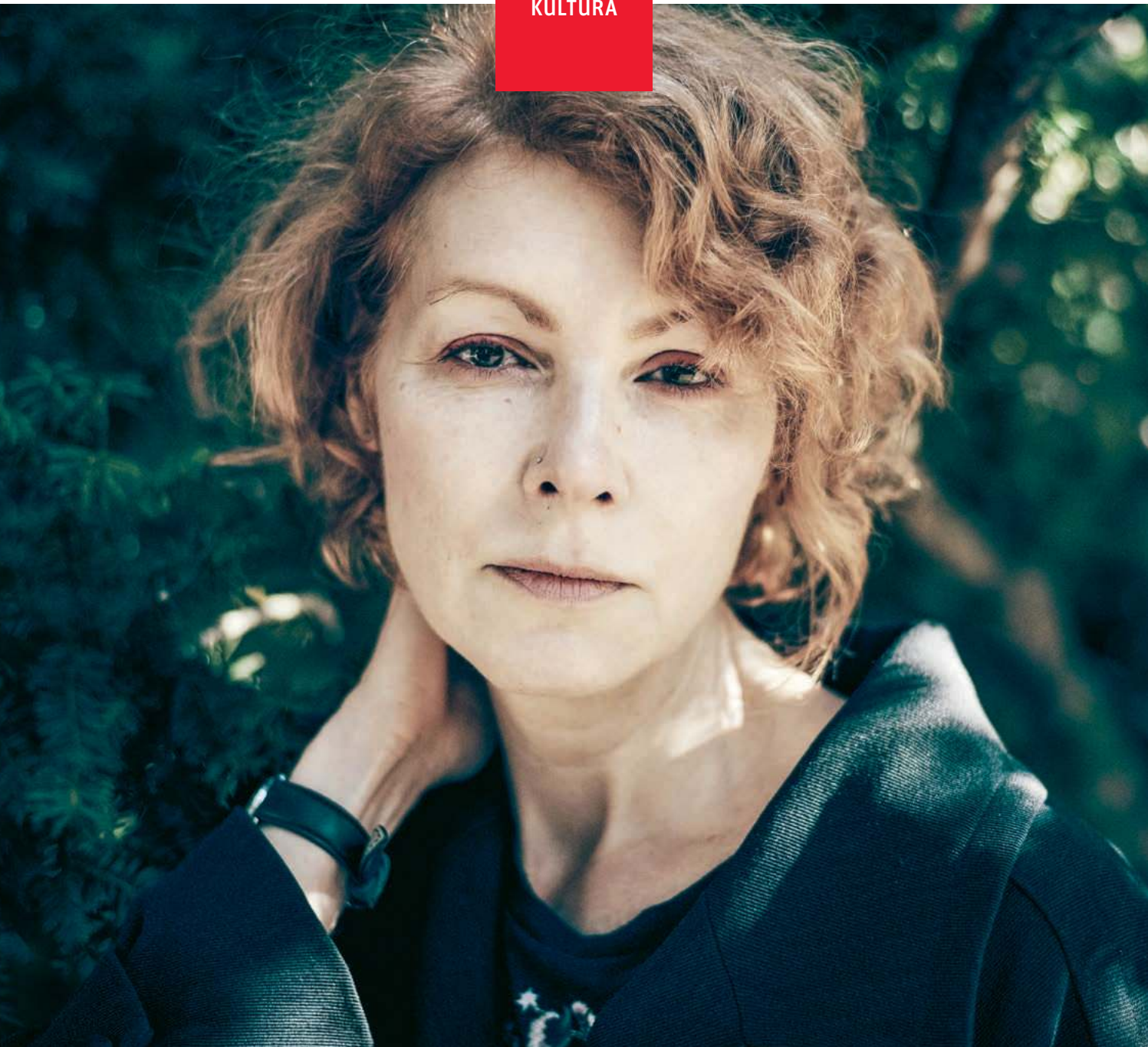
**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 42/2019

REDAKCJA I TEKSTY: Kajetan Prochyra

TYPOGRAFIA: Zuzanna Kardyś | FOTOEDYCJA: Edward Augustyn

NA OKŁADCE: Cécile McLorin Salvant | fot. Mark Fitton



POMYLONE ŻYCIA

AGNIESZKA GLIŃSKA, REŻYSERKA:

Nie ma znaczenia, czy jest się potomkiem kata, czy ofiary.
Bo tabu, wata niewiedzy, w której żyje się latami,
w identyczny sposób odkłada się w psychice.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Jaki to moment w Twoim reżyserskim życiu?

AGNIESZKA GLIŃSKA: Dziwny. W nie-reżyserskim też. Namnożyło mi się pytań i wątpliwości. Co, po co, o czym, dla kogo, jak, żeby miało jakikolwiek sens. Bo w tym bałaganie dziś najważniejsze jest poczucie sensu i nadzieja, i chciałabym reżyserować tylko wtedy, gdy będę miała pewność, że umiem to podarować. Poczucie odpowiedzialności za to, co na scenie, też mi urosło proporcjonalnie do wieku, no to się zatrzymałam. To znaczy wyhamowuję. Z dużej prędkości, więc długa ta droga hamowania.

Reżyserce wystarcza uczenie studentów na krakowskiej AST?

Lubię tę uczelnię, lubię jej atmosferę, pięknych ludzi, których tam spotykam. Uczenie daje mi dużo satysfakcji i mało stresu, więc to pożywny pokarm dla duszy. Ale w ogóle nie rozpatruję życia w kategoriach: czy mi wystarcza, czy nie.

A Kraków? To Twoje miejsce do życia? Właściwie tu zamieszkałaś.

Na obecnym etapie życia dużo mnie z tym miastem łączy. Zawodowo i podprogowo, mentalnie. Nie czuję się tu jak przyjezdna, nie umiem spojrzeć na Kraków z perspektywy Warszawy, bo nie jestem z Warszawy. Jest taka piękna opowieść Dorna w „Mewie” Czechowa o Genui, że „kiedy wieczorem wychodzi się z hotelu, cała ulica jest zatłoczona. Przemieszczasz się potem wśród tłumu bez celu, tu i tam, po linii łamanej, żyjesz z tłumem, stapiasz się z nim psychicznie i zaczynasz wierzyć, że w zasadzie możliwa jest jedna światowa dusza, w rodzaju tej, którą kiedyś w pana sztuce grała Nina Zarietchna”. No to ja tak się czuję w Krakowie. I mam tu rower i swoje rowerowe trajektorie, jestem

tak trochę od środka, trochę z zewnątrz. Na razie.

Stąd pochodzi Twoja prababcia – Pepi Weiss. Pojawia się w spektaklu „Z biegiem lat, z biegiem dni”, który wyreżyserowałaś w Teatrze im. Słowackiego. Nie zdążyłaś jej poznać, ale opowiedz o kobietach, które otaczały Cię w dzieciństwie

Zarobione po uszy, dzielne, oddające swoje życie innym. Mama prowadziła dom i pracowała w szpitalu dziecięcym w rentgenie. Kończyła pracę i biegiem zakupy, obiad, kolacja, pranie, sprzątanie. Dopiero jak z siostrą dorosłyśmy, przeszła na emeryturę, zaczęła mieć jakieś chwile dla siebie.

Typowe dla pokolenia naszych matek.

Miałam blisko obie babcie. Z tą ze strony mamy byłam silnie związana; gdy się urodziłam, rodzice mieli niewiele ponad 18 lat, podrzucali mnie często do dziadków.

Babcia Jasia, mama mamy, niewiele opowiadała o swojej wojennej historii, o wywiezieniu na roboty. Wiem, że we wczesnych latach 40. uciekła z fabryki broni. Trafiła do wiejskiej posiadłości państwa-baronostwa – pracowała jako pokojówka. Ci ludzie byli antyhitlerowcami, u nich spędziła prawie całą wojnę i świetnie nauczyła się języka, z którego potem nigdy nie zrobiła użytku. Jako nastolatka ze zdumieniem odkryłam, że babcia perfekcyjnie mówi po niemiecku. A potem, w 1945 r., spotkała dziadka, który jak i ona z robót wracał do Polski. Oboje pochodzili z okolic Krakowa, lecz osiedlili się we Wrocławiu. Dziadek był robotnikiem w Hutmenie, ona urodziła czwórkę dzieci, więc dom, praca, potem choroby: cukrzyca, reumatyzm... Była ciepła i pogodna. Ogromnie dużo czytała. Nawet jak miała słaby wzrok, brała lupę, nieustępliwie. Gdy odwiedziłam ją ostatni raz przed śmiercią, pytała: po co to życie całe?

A babcia od strony taty?

Babcia Kasia. Mieszkała z nami, a właściwie my z nią. Zapisła się w mojej pamięci jako skryta, cicha, dobra i pobożna. Nic nie opowiadała o przeszłości. Ani jednego słowa. Pochodziła ze wsi niedaleko Gorlic. Była jedyną i najmłodszą siostrą wśród braci, którzy nie po-

zwolili się jej edukować, chcieli, by została na roli. Rodzice ich osierocili wcześniej, chyba z powodu epidemii. Uciekła stamtąd, chciała się kształcić. W Krynicy pracowała w jakiejś kawiarni i została ściągnięta do Krakowa – przez ponad 10 lat, do 1939 r., pracowała jako pomoc domowa u Natana i Pepi Weissów. Uratowała przed Zagładą ich syna Ludwika, który, jak wybuchła wojna, był dwudziestolatkiem, w każdym razie sporo od niej młodszym. Wynajdywała dla niego mieszkania, w których się ukrywał, przewoziła z miejsca na miejsce. Ryzykowała każdego dnia, była heroiczna. Z końcem wojny pobrali się. Jak bardzo była odważna, dzielna i silna, przeczytałam dopiero w Yad Vashem; dziadek w latach 90. złożył tam dokumenty. W ubiegłym roku babcia Kasia została pośmiertnie odznaczona.

Parę dni temu tata wysłał mi zdjęcie grobu babci na cmentarzu we Wrocławiu, gdzie od niedawna widnieje napis: „Sprawiedliwa wśród Narodów Świata”.

Twój tata coś wiedział o ich historii?

Coś tam wiedział, więcej nie wiedział, w domu nie było tematu. To było wyparte, stłumione, z poczuciem, że nawet jeśli coś przeczuwamy, to się o tym nie mówi głośno, bo dla wszystkich ocalałych jest to zbyt bolesne i niebezpieczne. Dziś myślę z czułością o tym, jak wiele musiał udźwignąć mój tato w dzieciństwie – milczenie rodziców o wojnie i ten podły stalinowski czas. Pokolenie moich rodziców to prawdziwi herosi.

A prababcia Pepi Weiss, urodzona w 1889 r.?

Pepi z domu Wettstein zmieniła swoją datę urodzenia na 1893 rok, odmłodziła się, one wszystkie tak wtedy robiły, to było ich „spa”. Teraz chodzę po Krakowie jej śladami, coraz więcej o niej wiem. Miała trójkę rodzeństwa, mieszkali przy Miodowej 2. Jej mama, Rozalia Rachelą, pochodziła z Süsserów, licznej, mocno rozgałęzionej rodziny, która wybudowała sporo kamienic na Krakowskiej. Była tam też, nieistniejąca dziś, synagoga Lejba Süssera. Tato Pepi, Jakub, miał na Bożego Ciała kosztowną rzeźnię. Kiedy pracowałam nad „Z biegiem lat...”, całkowicie weszłam w jej losy. I tak Pepi przeciągnęła mnie na drugą stronę.

Czyli?

→

AGNIESZKA GLIŃSKA (ur. 1968)

jest reżyserką teatralną i aktorką.

W 2017 r. w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie wystawiła „Z biegiem lat, z biegiem dni (gdzie jest Pepi)”, luźną wariację na temat spektaklu Andrzeja Wajdy sprzed blisko 40 lat według scenariusza Joanny Olczak-Ronikier, a w marcu 2019 r. w Starym Teatrze „Panny z Wilka” według opowiadania Jarosława Iwaszkiewicza.

⇒ No wiesz, popadłam w rodzaj obłędu. Śledziłam, tropiłam, szperałam w archiwach, każdy drobiazg, najmniejszy szczegół był zaczynem kolejnej wyprawy w ich świat, w życie, które próbowałam zrekonstruować praktycznie z niczego. Weszłam w tunel czasu – w jakiś kontakt z tymi duchami, jakkolwiek to brzmi. Łącznikiem była właśnie moja prababcia. Pepi z matką, mężem, siostrą i jej rodziną poszła do getta krakowskiego. Pepi i Natan trafili potem do Płaszowa. Matka, Rozalia Rachela, zginęła w akcji czerwcowej w getcie, wyrzucona z balkonu czy zastrzelona, są dwie wersje. Siostra Gucia z mężem Mordechajem i z dwójką małych synków w akcji październikowej zostali wywiezieni do Bełżca i tam zamordowani. Ignacy, brat Pepi, nie był w getcie, żył na aryjskich papierach, w 1942 r. został rozpoznany w pociągu i zastrzelony. Najmłodszy brat, Henryk, zmarł jeszcze przed wojną, coś się wdało po operacji wyrostka, miał trzydzieści parę lat.

No a w Płaszowie, w sierpniu 1943 r., jak mówią dokumenty, mojego pradziadka Natana zastrzelił Untersturmführer Leonhard John, a Pepi kilka miesięcy później została wywieziona z transportem kobiet do obozu pracy w Skarżysku-Kamiennej.

Jako siłę roboczą wykorzystywano tam Żydów. Przeciętny dzienny wymiar czasu pracy wynosił od 12 do 14 godzin. Produkowano pociski. Kontakt z chemią powodował dotkliwe podrażnienia skóry, oczu, dróg oddechowych, objawami były skurcze serca, wymioty, poparzenia.

W tej fabryce broni ludzie umierali masowo, przy pracy lub zakatowani przez nadzorujących, bez jedzenia, bez ubrań. Cały czas przychodziły nowe transporty. Zachowały się dwa liściki od Pepi, które jakiś dobry człowiek przekazywał na krakowski adres i trafiły w ręce mojego dziadka. Pepi błagała syna o leki i coś ciepłego, jakiś płaszcz lub koc (*milczenie*). Te listy były pisane kopiaowym ołówkiem na skrawku papieru. Pepi mówi wprost, że jeśli jej nie pomogą, to umrze. Miała świadomość zbliżającego się końca (*milczenie*). I w chwilę później, od tego człowieka, który przekazywał listy, przyszła informacja, by nic już do Pepi nie wysyłać, bo zmarła na tyfus. Prababcia miała wtedy lat 50 (*milczenie*).



Pepi Weiss, ok. 1894 r.

Sądzę, że zamarzyła, właściwie wiem to. Ten transport z Płaszowa przyjechał w listopadzie, nie żyła już w styczniu.

Odważę się to powiedzieć: Pepi Weiss w chwili śmierci miała tyle lat, co Ty teraz.

Ten fakt dał mi sporo do myślenia. Wiesz, wśród tych niewielu rzeczy, które ocalały z dziadkiem, są zdjęcia, a wśród nich fotografia przepięknej dziewczyny. Na odwrocie jest napisane, że to Ida Elbinger. Zaczęłam tej Idy szukać. Z dziadka zapisków wynika, że przed wojną była dziewczyną jego najbliższego przyjaciela, Staszka Frenkla, malarza, który wyjechał do Londynu i tam zrobił karierę. Jak zaczęła się wojna, stała się wielką, odważną miłością Leo Lipskiego.

Pracuję w Krakowie, trafiła mi się ostatniej zimy okazja, by tanio wynająć mieszkanie przy ulicy Miodowej. Urządziłam się w nim, a po paru miesiącach odkryłam, że Ida Elbinger mieszkała nie tylko przy tej samej ulicy, ale także w tej samej kamienicy, pod tym samym numerem.

Wiem teraz, że chcę i muszę zaopiekować się Idą, dowiedzieć się czegoś więcej niż to, że jej uroda olśniewała, a dla artystów stawała się muzą.

Co łączyło dziadka z Idą?

Dziadek miał osobliwy sposób wchodzenia w relacje z kobietami, uzależniony był od ich uwagi. Miał kilka życ; pod koniec wojny związał się z moją babcią, potem ją zostawił z czwórką dzieci, w tym

mojego tatę, i założył drugą rodzinę, a potem jeszcze jedną... Nieprzerwanie grał w taką grę „nowy los”, jakby instynktownie czuł, że po tym wszystkim, co przeszedł, należy mu się jeszcze jedno życie, i jeszcze jedno... Wchodził na kolejny level. Umieranie, finał, zmierzch, wyczerpanie – to były sprawy, przed którymi wiecznIE uciekał.

Jaki miałeś kontakt z dziadkiem?

Skąpy i bardzo tego żałuję – w rodzinie nie miał zbyt dobrej renomy, funkcjonował jako birbant, który zostawił babcię z czwórką dzieci. Ale sama babcia miała z nim nieprawdopodobną więź, ponad zwykłymi ludzkimi przyziemnymi sprawami. W ich relacji musiało się splatać tyle płaszczyzn – ona była dla niego i wybawicielką, i matką, i kochanką, i żoną, i opiekunką. Nigdy nie stracili kontaktu, dziadek do babci przychodził regularnie, będąc już w innych związkach. Odwiedzał, zaglądał znienacka. Babcia siadała z nim w kuchni, robiła mu herbatkę, wysłuchiwała, doradzała. Dziadek wpadał zawsze na Wigilię, by pokazać się na jej początku, był jak meteor. Brak mi go. Miał polot i wdzięk. To, co ich łączyło, było większe niż miłość czy przywiązanie – taki węzeł.

Na śmierć i życie?

Na każdy ich moment. Dziadek Ludwik zmarł osiemnaście lat temu, babcia Kasia długo przed nim, jeszcze gdy byłam w maturalnej klasie. A ja dopiero teraz ich poznaję. I wciąż o nich myślę. O tym, jak to jest, zawdzięczać komuś ocalenie i potem próbować razem żyć. Jestem kwintesencją splotu losów polsko-żydowskich. A jedyne, co mam po nich, to lornetkę teatralną, która należała do prababki.

Wykorzystałaś ją jako rekwizyt w „Z biegiem lat, z biegiem dni”.

Spektakl tej historii nie pomieścił, nie mógł pomieścić. Powstawał na bieżąco z moimi poszukiwaniami i odkryciami, w takim rozedrganiu. Operacja na żywym organizmie, egzaltacja i wielkie emocje. Teraz mam więcej dystansu i wiedzy. Zrobiłam w międzyczasie podyplomowe studia polsko-żydowskie w IBL-u. Poznałam setki podobnych historii; każda jest wyjątkowa.

A ta lornetka była w szufladzie biurka dziadka, zamkniętej przez lata na klucz. Mogłam tam zajrzeć dzięki uprzejmości i życzliwości ostatniej żony dziadka.

Co jeszcze było w szufladzie?

Szpargały, jak to w szufladzie. Korespondencje, zapiski, notatki. Jakies próby literackie, wycinki, karteczki, świstki. Strzępy pamięci... Stojaczek na ołówki, kieliszczek – pamiątka z Breslau z 1912 r. Takie właściwie nic a wszystko. Artefakty, które mają swoje życie.

I które są pożywką dla Twojej wyobraźni.

A jaka moc jest w zdjęciach! Widzi się na nich ludzi i kontekst: ubiór, bibliotekę, ulicę. Znam imiona i nazwiska większości osób z tych ocalałych fotografii, rodziny bliższej i dalszej, znajomych. Wyszukałam ich adresy, wiem, które okna do nich należały, sprawdzam, czym się zajmowali, jak zginęli. Próbuję dowiedzieć się, jak żyli, zanim ich istnienie wymazano gumką myszką.

Biografię prababci budowałam z wyrazu jej twarzy na różnych zdjęciach, w różnych okolicznościach i przejmąco smutnych oczu. Pepi była niespełniona na wielu poziomach, życie ją rozczarowało. Przypuszczam, że stąd wzięła się teatr. I stąd się wzięła ta lornetka, była stałą bywalczynią Teatru Słowackiego.

Moment! Powiedziałaś, że teatr bierze się z niespełnienia. Jak to?

No tak: daje on coś, czego nie daje życie (*milczenie*). Pepi była bardzo samotna. Nie miała zawodu. Jej mąż był adwokatem, na całe dnie zniknął w kancelarii, prowadził jeszcze drugą kancelarię w Skawinie. Żył pracą, a ona była zazdrosna o mundantki.

Adwokackie sekretarki.

Raczej nie byli zgodnym małżeństwem. Pepi chorowała na wrzody żołądka, piła mleko migdałowe, leczyła się u doktora Wysockiego i jeździła do wód. Niewiele miała przyjaciół.

Gucia, jej młodsza siostra, ma na fotografiach zupełnie inną energię. Jest pogodzona z życiem, bije od niej jasność, otwartość. A w Pepi jest mrok i melancholia.

Zastanawiałaś się, kim byłaby Pepi, gdyby przeżyła wojnę?

Powiem coś ryzykownego, co mnie samą boli: ona chyba nie była skazana na przetrwanie. Miała krótkie, pomyłone życie i prędką śmierć. Na jej twarzy malowała się rezygnacja. Choć udało się jej przeżyć getto. Nie wiem jakim kosztem.



Katarzyna Glińska z domu Martuszevska, Kraków 1920 r.

ARCHIWUM PRYWATNE

Do tego getta poszli z woli pradziadka Natana, który uważał, że nie wolno przeciwstawiać się prawu, a od narodu z taką kulturą i historią jak Niemcy nie należy spodziewać się niczego złego.

Wtedy częste przekonanie.

Jego syn Ludwik, czyli mój dziadek, miał już zupełnie inne przekonanie. Przed wojną przez dwa lata studiował prawo na UJ, gdzie doświadczył bojówek oraz getta ławkowego. Miał wyobraźnię, czytał gazety i od początku wiedział, że do getta nie pójdzie. Został po aryjskiej stronie. Zmienił nazwisko. I to moja dzielna babcia Kasia, wtedy ich służąca, załatwiła mu fałszywą kenkartę.

Chodzę dziś po Krakowie, jakby te lata nie minęły, wciąż penetruję te zakamarki i podwórka. Składałam puzzle z ich historii.

Ta historia po prostu na Ciebie czekała.

Po jej odkryciu wreszcie zaczęłam swoje życie. Jakbym sama wyszła z jakiegoś kanału, z ukrycia, na światło dzienne. Przekroczyłam granicę presji niemówienia, która wchodzi bardzo głęboko w organizm, nawet jeśli nie ma się pojęcia, czego ona dotyczy. Coś nie gra, ale nie wiesz co. Czytam teraz „Mój dziadek by mnie zastrzelił”, wspomnienia Jennifer Teege, wnuczki Amona Götha, komendanta obozu w Płaszowie, likwidatora gett w Krakowie i Tarnowie, powieszono go w 1946 r. Jennifer jest córką Niemki i Nigeryjczyka. Wychowywała się w rodzinie zastępczej, studiowała w Izraelu.

Dopiero przed czterdziestką dowiedziała się, że jest wnuczką Götha. I wiesz, co jest najbardziej zdumiewające? To, że tak naprawdę nie ma znaczenia, czy jest

się potomkiem kata, czy ofiary. Bo tabu, wata niewiedzy, w której żyje się latami, identycznie odkłada się w psychice.

Rozumiesz to?

Próbuję.

To, czy jesteś wnukiem kata, czy ofiary, czy twój przodek upadł, czy był upadłany, wstyd niemówienia, w takim samym natężeniu zatruwa kolejne pokolenia. Tak samo przedzierasz się przez zaskieki z mgły i niejasności. To jest pytanie, które mnie wciąż zajmuje: ile wojny jest w nas?

Gdy poznałam swoich przodków, poczułam, że już nie ma we mnie lęku. Bo on – stały i pierwotny – był wcześniej gruntem, bazą mojego życia. I nie mówię o strachu o życie – od dziecka byłam blisko śmierci.

O tym lęku powiedz więcej.

Jest on kulą w środku, od której się wszystko zaczyna: myślenie, działanie, czucie ludzi i w ogóle świata. To rodzaj zaburzenia, które spowodowało, że życie kosztowało mnie dziesięciokrotnie więcej, niż powinno kosztować. A teraz ten lęk został wyżyteczkowany.

I?

Ogromna ulga. Odzyskanie siebie dla siebie. No i mam Kraków – zawsze wiedziałam, że jest mój, a nie miałam pojęcia, z jakiego powodu. To moje rodzinne miasto.

A wytłumaczysz tę Twoją bliskość ze śmiercią?

Na wszystkie wakacje w dzieciństwie jeździłam do Brzeska, tam mieszkała prababcia ze strony mamy. Prababcia była bardzo bogobojna, w kościele była rano i wieczorem, chodziłam z nią na wszystkie msze i nabożeństwa. A w ciągu dnia szła na cmentarz, gdzie leżał jej mąż zmarły przed wielu laty. Kiedy siedziała przy jego grobie, modliła się, pielęgnowała kwiatki, to ja sobie hasałam po tym cmentarzu, znałam każdy jego najmniejszy zakątek, w tym kwaterę przeznaczoną dla dzieci. Czytałam, że Anusia żyła z lata, a roczny Juruś powiększył grono aniołków... Na większości grobów były zdjęcia, często wierszyki, których uczyłam się na pamięć.

Pamiętam też, jak w rodzinie w Brzesku urodziło się dziecko i po dwóch tygodniach zmarło na łóżeczkową śmierć. →

⇒ W nocy jego rodzice pukali do prababci, bo wiedzieli, że u niej zawsze jest woda święcona. Potem był pogrzeb i ktoś wpadł na pomysł, by to dzieci niosły białą trumienkę. No i niosłam tę trumienkę w kondukcje razem z trójką małych kuzynów. Takie doświadczenie nie powoduje traumy, tylko zmienia perspektywę: można się urodzić i zaraz umrzeć, ta wiedza jest we mnie, odkąd pamiętam. Nie mam w sobie lęku przed śmiercią, raczej mam lęk przed życiem. Teraz zdecydowanie mniejszy.

Mniejszy, bo wiesz, jacy ludzie za Tobą stoją?

Wiem, czyje losy mnie ulepiły. I jeszcze wiem, że pomyłone życia zdarzają się nie tylko z powodu wojny. Mój dziadek poszedł na prawo, bo mu ojciec kazał. A wojna dziadka z tego musu wyzwoliła i został tym, kim chciał: inżynierem. Przed '39 nie miał nawet co o tym marzyć – na AGH nie było miejsc dla żydowskich studentów.

Moje życie też jest pomyłone, jeśli chodzi o wybór zawodu. Przez dzieciństwo i dorastanie żyłam w przekonaniu, że będę lekarzem, i dopiero w maturalnej klasie, popchnięta irracjonalną siłą młodości, postanowiłam zdawać do szkoły teatralnej. Jeszcze dziesięć lat temu próbowałam być z tym niepokodzona i myślałam, by zdawać na medycynę, nawet zaczęłam się do tego przygotowywać. Znajomy pan profesor bardzo mnie wspierał, ale poległam na tym, że musiałabym na nowo przerebić chemię, co by mi zajęło z pół roku. Nie mogłam sobie zrobić w pracy półrocznej przerwy, muszę zarabiać na życie.

A reżyserowanie jest dla Ciebie ważne?

W byciu reżyserem jest mi trudno, coraz trudniej. Może przede wszystkim dlatego, że nie mam podstawowej kwalifikacji. By być twórcą, trzeba mieć choćby częściowe przekonanie, że świat jest o mnie. Że to, co mam do powiedzenia, jest istotne. A ja wiem, że świat nie jest o mnie i lubię ten świat opowiadać w teatrze, ale nie mam pewności, że to ma jakiś sens. Dlatego mówię o tym, że moje życie jest pomyłone. Pomyłony autobus. Fajna nawet ta inna trasa, ale coraz mniej mam motywacji i zapału do reżyserowania. Lubię po prostu sobie być. Nie muszę tworzyć. Ja nic teraz nie muszę.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

Mit o prapoczątku

DOROTA KOZIŃSKA

Wszystko to razem tak wstrząsa, tak zapada w pamięć, że będzie się śniło po nocach. Oto „Drach” Szczepana Twardocha w wersji Arkadiusza Nowaka.

BYŁ SOBIE STATEK. PRZYSZEDŁ NA świat w południowonorweskiej miejscowości Rosendal, nad fiordem Hardanger, w 1872 r. – tym samym, w którym urodził się Roald Amundsen. Dostał na imię „Gjøa”, na cześć żony swego pierwszego właściciela. „Piękna Bogini” – bo to właśnie znaczy „Gjøa” – przez prawie dwadzieścia lat wozila po morzu rybaków łowiących śledzie. Rozbiła się w pobliżu portu Kabelvåg na Lofotach. Po remoncie poszła w nowe ręce i wypłynęła na wzburzone wody Arktyki. Pożeglowała na Morze Karskie, dotarła do wschodnich brzegów Grenlandii, wyprawiła się ku Nowej Ziemi, skąd powróciła okrężną drogą przez Ziemie Franciszka Józefa i Wyspę Białą.

W 1901 r. Amundsen odkupił swoją rówieśnicę za dziesięć tysięcy koron, wzmocnił jej drewniany kadłub, wyposażył ją w silnik i dwa lata później ruszył na podbój Przejścia Północno-Zachodniego: na polę mitycznej drogi wodnej z Europy do Azji Wschodniej przez Archipelag Arktyczny. Po licznych perypetiach osiągnął swój cel w 1906 r. Zamiast wziąć „Boginię” w triumfalną podróż powrotną do Norwegii, zostawił ją w San Francisco, gdzie niszczała przez dekady, smagana wiatrem i deszczem, dewastowana przez wandalów. Na rok przed setnymi urodzinami Amundsena zawiązano komitet na rzecz sprowadzenia statku do ojczyzny. Odrestaurowana „Gjøa” stoi dziś samotnie w oddzielnym budynku Frammuseet w Oslo – zielona, niepozorna łupinka, dzięki której Amundsen urzeczywistnił marzenie dziesiątków pokoleń europejskich żeglarzy.

W stulecie tego wyczynu Przejście Północno-Zachodnie w rekordowym tempie przepłynęła najmłodsza ekipa żeglarzy na świecie. Na początkowym

etapie wyprawy polskim jachtem „Stary” – przez Szwecję, Danię, Norwegię, Szetlandy i Wyspy Owcze na Islandię – w składzie załogi znalazł się Aleksander Nowak, student ostatniego roku kompozycji Akademii Muzycznej w Katowicach, w klasie Aleksandra Lasonia. Rok wcześniej uczestniczył w rejsie dalekomorskim na Svalbard: przedsięwzięcie sfinansował z pierwszej raty stypendium „Förderpreise für Polen”, ufundowanego przez monachijską Ernst von Siemens Musikstiftung. Drugą obiecano mu za realizację poważnego zamówienia kompozytorskiego – muzycznego dziennika podróży na morza północne. Nowak skomponował „Fiddler's Green and White Savannas Never More” na chór męski i orkiestrę kameralną; wykonał go po raz pierwszy na lwowskim festiwalu Aksamitna Kurtyna, w październiku 2006 r.

Życiopisanie

Prawykonanie przyjęło owacyjnie. Krytycy śmiali się do łez z opracowania tradycyjnych szant i nie ustawiali w zachwytach dla rozwichrzonego poematu dźwiękowego, dowcipnego jakoby. Zetknęłam się z tym utworem trzy lata później, w nagraniu na płycie Polskiego Radia Katowice. Nie było mi wcale do śmiechu, a przed oczyma stały mi raczej partytury Brittena i Szostakowicza.

W muzyce Nowaka nie wyczułam ani parodii, ani pastiszu, tylko przejmujący dialog z przeszłością, podszytą niepokojem tęsknotą za Fiddler's Green – legendarnym zaświatem marynarzy, krainą wiecznej uciechy, nie milknących skrzypiec i niestrudzonych tancerzy. Coś się jednak we mnie burzyło. Uległam sugestiom ówczesnych „postępowców”, upychających kompozycje Nowaka w przepastnej



Premiera „Dracha” na festiwalu Auksdrone, Tychy, 5 października 2019 r.

szufladzie z napisem „jeszcze nowszy romantyzm”.

Popeliłam błąd. Już wówczas powinienam była wsłuchać się w „Last Days of Wanda B.” z 2006 r., będące „zapisem emocji towarzyszących pożegnaniu oraz zestawem migawkowych wspomnień, przeplatanych szczątkowymi cytatami ulubionych melodii” adresatki dedykacji, czyli niedawno zmarłej babci Nowaka. Andrzej Chłopecki zarówno w „Fiddler’s Green”, jak i w tym utworze wytropił pierwsze ślady kompozytorskiego „życiopisania” – wplatania banalnych z pozor elementu codzienności w uniwersalną, mityczną tkankę ludzkiej egzystencji. Zwrócił uwagę, że Nowak od pierwszych prób kompozytorskich zdradzał

osobliwą wrażliwość na słowo: że o niezwykłości jego muzyki stanowiły uwarunkowane tekstem funkcje poszczególnych głosów w partyturze i zaskakujące faktury harmoniczne. Słusznie ocenił, że w jego twórczości znać „pazur twórcy wybitnego”. Trafnie zaobserwował, że równie brawurowo w świat polskiej muzyki współczesnej weszli tylko Krzysztof Penderecki i Paweł Mykietyn.

Coś mi zaczęło świtać po prapremierze opery kameralnej „Sudden Rain” (2010), w której po raz pierwszy pojawili się Ona, On i Coś jeszcze. Nowak i współautorka libretta Anna Konieczna zestawili fragmenty listów i notatek osoby z zespołem Aspergera z rozmową małżeństwa w dniu rocznicy ślubu. Ona czekała na

dowód miłości, On dał jej wolność, którą zinterpretowała jako zapowiedź rozstania. Na drodze obojga stało Coś: nieświadomość własnych emocji, nieumiejętność wyrażenia istoty rzeczy poza słowami i milczeniem. Wciąż jeszcze zbита z tropu subtelnością strategii kompozytorskich Nowaka uznałam pochopnie, że partytura „Sudden Rain” nie kryje w sobie szczególnych napięć ani konfliktów, doceniłam jednak warsztat twórcy i jego nieprzeciętną umiejętność pisania na głos ludzki. Zrozumiałam też, że Nowak nie jest bynajmniej epigonem „pokolenia stalowowskiego”, że równie swobodnie zongluje tradycją, jak brzmieniem awangardy, przeciw której zbuntowali się kiedyś jego nauczyciele. ➔

Pisarki i pisarze

→ Nie spodziewałam się jednak, że Nowak potrafi stworzyć dzieło tak spójne i porażające siłą wyrazu jak późniejsza o pięć lat „Space Opera” – historia pierwszej załogowej wyprawy na Marsa, opowiedziana znów głosami Onych, czyli małżeńskiej pary astronautów, oraz Czegoś Pozaludzkiego, reprezentowanego między innymi przez muchę, podróżującą z nimi na gapę. Utwór wyznaczył początek nowej ery w karierze Nowaka: współpracy z wybitnymi pisarzami, którzy nigdy nie mieli do czynienia z formą operową. Co więcej, nagabnięci przez kompozytora, ani myśleli zmieniać tego stanu rzeczy.

Scenariusze kolejnych oper Nowaka to owoc żmudnych negocjacji, potem zaś równie żmudnej edukacji niedoświadczonych w materii pisarzy, którzy ku własnemu zaskoczeniu tworzyli pod jego okiem narracje zwarte i klarowne, prowadzone na kilku poziomach, utrzymane w ryzach konwencji teatru muzycznego.

Znakomite libretto „Space Opera” to dzieło Georgi Gospodinowa, jednego z najwybitniejszych współczesnych pisarzy bułgarskich. Nowak obudował je muzyką trudną, utkaną z niejednorodnych, a zarazem fascynujących współbrzmień, bogatą w warstwie orkiestrowej, zmysłową w partiach wokalnych, pełną wyrafinowanych nawiązań do spuścizny tytanów XX wieku. Zaczął budować własne uniwersum mityczne: w swojej pierwszej „prawdziwej” operze roztoczył wizję apokalipsy bytów lekceważonych, wykraczając poza antropomorficzny sposób ujmowania natury.

Jeszcze dalej posunął się w „Ahat il!” do libretta Olgi Tokarczuk, na motywach jej powieści „Anna In w grobowcach świata”. Zasugerował pisarce, by najważniejszą postacią w tej historii nie czynić rozkapryśzonej i okrutnej bogini Inanny, lecz jej śmiertelną powiernicę Ninszubur. Nakłonił Tokarczuk, by pomieszać bohaterom języki: mowę ludzi oddać angielszczyzną, mowę bogów i demonów – killkorgiem złowieszczego niezrozumiałych wymarłych języków. Całość zespolił muzyką przemyślaną i zrealizowaną tak konsekwentnie, że nie miałam żadnych wątpliwości, kogo nominować do tegorocznych Paszportów „Polityki”. Każdej z głównych postaci przyporządkował odrębną strukturę mikroharmoniczną. Tajemniczą regułę rządzącą światem oddał akordem dwunastodźwiękowym, który

Scenariusze kolejnych oper Arkadiusza Nowaka

to owoc żmudnych negocjacji, potem zaś równie żmudnej edukacji niedoświadczonych w materii libretta pisarzy.

nawraca w toku utworu niczym wagnerowski motyw przewodni. Przywrócił mi wiarę w przyszłość opery: stworzył odrębny, rozpoznawalny od pierwszych taktów idiom dźwiękowy, zniewalający cechą, którą współczesność przez długie lata miała w pogardzie – subtelnym i nieoczywistym pięknem, popartym niepospolitą wyobraźnią brzmieniową. Przedstawił kolejną odsłonę mitu na stulecie wszystkich strachów, w którym przyszło nam żyć – przypowieść o konieczności buntu przeciw bezmyślnym i samolubnym bogom.

On, Ona i Coś

W styczniu dostał Paszport „Polityki” – pierwszą poważną nagrodę w swojej karierze. Kilka miesięcy później zaanonsował premierę kolejnej kompozycji, tym razem owoc współpracy ze Szczepanem Twardochem. Prawykonanie „Dracha” odbyło się niedawno w ramach trzech wieczorów festiwalu Aukso-drone w tyskiej Mediatece, z udziałem orkiestry Aukso pod batutą Marka Mosia – Nowak odzegał się od sformułowania „opera” i przedstawił swój nowy utwór jako *dramma per musica*, odwołując się do korzeni formy. Przesłał mi wcześniej libretto, w które nie miałam odwagi zajrzeć, nie wyobrażając sobie, jak można skondensować potężną, wielowątkową sagę dwóch śląskich rodzin do rozmiarów niespełna półtoragodzinnego utworu na troje solistów i orkiestrę kameralną z klawesynem.

Otóż można. Obydwaj twórcy wydestylowali „Dracha” do postaci mitu o prapoczątku, o cyklicznej naturze czasu i nierozłącznej więzi człowieka z przyrodą. Znowu jest On – Josef, ten sześćioletni, który patrzył na świniobicie, ten, który

poszedł na Wielką Wojnę, Josef górnik i przykładowy ojciec rodziny, Josef, który zdradził żonę, oraz ten, który zabił i potem zwariował. Znowu jest Ona – uosabiająca wszystkie kobiety Josefa: jego matkę, żonę i kochankę. Ale oboje są także sarną i jej koźlęciem, śmiertelnym strachem zarzynanej świni, tęsknotą matki, głodem psów, rozpaczą żony i pożądaniem męża. A nad wszystkim znowu góruje Coś – przedwieczny smok Drach, chtoniczny bóg płodności i zmarłych, gnostyczny uroboros, kres i początek wszystkiego. Istota wszechrzeczy, rozjeżdżana gąsienicami czołgów, kaleczona brudami okopów i szybów górniczych, pożerająca martwych i wypływająca z głębi trzewi nowe życie.

Nowak wyposażył Oną w głos sopranowy (Joanna Freszel), Onego obdarzył barytonem (Sebastian Szumski), Drachowi nadał brzmienie kontratenoru (Jan Jakub Monowid), czasem zwielokrotnie użyciem *live electronics*. Ubrał to wszystko w tak wyrafinowaną szatę muzyczną, że w porównaniu z nią przygasło nawet piękno „Ahat il!”. Narracja – niczym odradzający się w nieskończoność Drach – rozwija się kolistnie, od śpiewu wspartego zniekształconym harmonicznym akompaniamentem aż po istic straussowskie kulminacje i z powrotem, do barokowego prapoczątku. Rozbudowana partia klawesynu (Marcin Świątkiewicz), nastrojonego w dawnej temperacji średnio-tonowej, tworzy niepokojące, fałszywie brzmiące „wzory”, krążące wokół kilku ustabilizowanych centrów tonalnych. „Ludzki” śpiew Onego i Onej przestacza się niepostrzeżenie w kwik świni albo szczekanie sarnich koźląt. Drach komentuje z dystansu albo sam sobie śpiewa modlitwę, która brzmi czasem jak średniowieczny lament, czasem zaś – jak świetlisty luterański chorał.

Wszystko to razem tak wstrząsa, tak zapada w pamięć – również za sprawą idealnie zgranego z narracją czarno-białego filmu Łukasza Heroda – że będzie się śniło po nocach.

Skąd się wzięło to organiczne „życiopisanie” Nowaka? Z podróży do Arktyki, gdzie lód śpiewa, morze oddycha, a ptak krzyczy jak człowiek. Ze wspomnienia o niepozornej łódce imieniem „Gjøa”, bez której Amundsen nie dotarłby na Alaskę, a którą później porzucił tak bezdusznie, jak tylko człowiek potrafi.

© DOROTA KOZIŃSKA



NATALIA KABANOW / MAT. PRASOWE

„Księżę” w reżyserii Pawła Świątka, Teatr Polski w Podziemiu we Wrocławiu

Pod ziemią i w lesie

DARIUSZ KOSIŃSKI

Kurz opadł już dawno. Cezary Morawski od prawie roku nie jest dyrektorem Teatru Polskiego we Wrocławiu. Wydawałoby się, że wszystko powinno wracać do normy. I wraca, lecz niestety do tej, która właśnie nadchodzi.

TEAETR POLSKI WE WROCŁAWIU WSZEDŁ w wiek XXI jako jedna z najważniejszych polskich scen. Za czasów dyrekcji Pawła Miśkiewicza (2000-04) i Krzysztofa Mieszkowskiego (2006-16) zapewnił sobie współpracę znakomitych reżyserów na czele z Krystianem Lupa, miał niezwykle zespół aktorski i odwagę do podejmowania eksperymentów, które najpierw wydawały się poronione, a potem przechodziły do legendy. Do czasu.

Po dojściu PiS do władzy i wyborze dyrektora Mieszkowskiego na posła z ramienia opozycyjnej Nowoczesnej Teatr

Polski błyskawicznie znalazł się na linii politycznego frontu. Ostry konflikt wybuchł wokół przedstawienia „Śmierć i dziewczyna” według Elfriede Jelinek w reżyserii Eweliny Marciniak. Spektakl był reklamowany prowokacyjnym plakatem, a oliwy do ognia dołała informacja, że wezmą w nim udział aktorzy porno, którzy będą na scenie uprawiać seks. Minister Piotr Gliński usiłował zablokować premierę, pisząc do marszałka województwa dolnośląskiego bezprecedensowy list. Przedstawienie (premiera 21 listopada 2015) było znakomite, a oskarżenia o por-

nografię okazały się równie niemądre jak prowokacyjna kampania „promocyjna”.

Niezależnie od intencji, ta „afera” oznaczała wciągnięcie Polskiego w polityczne gry, co w końcu doprowadziło do jego upadku. Gdy pod koniec sezonu zarząd województwa ogłosił, że nie przedłuży umowy z Mieszkowskim i ogłosi konkurs na dyrektora, zaczął się korowód protestów, zabiegów i gier, który i wtedy, i dziś trudno rozplątać. W końcu 22 sierpnia 2016 r. odbyło się posiedzenie komisji konkursowej, która wybrała Cezarego Morawskiego, kandydata popieranego od początku przez wicemarszałka Tadeusza Samborskiego z PSL. Zasiadający w komisji Krystian Lupa uznał ten wybór za farsę, protestowała przeciwko niemu znaczna część zespołu artystycznego i środowiska. Nowego dyrektora poparła jednak zakładowa Solidarność, pravicowi publicyści oraz Ministerstwo Kultury.

Choć od początku mówiło się, że Morawski za chwilę odejdzie, a zarząd województwa głosował za jego odwołaniem już w lutym 2017 r., to najpierw decyzję negatywnie zaopiniował minister Gliński, a potem jej wykonanie zaskarżył →



TOBIASZ PAPUCZYŚ / MAT. PRASOWE

„Leśni. Apokryf” w reżyserii Marii Streker, Teatr Polski we Wrocławiu

→ pisowski wojewoda Paweł Hreniak. Po batalii sądowej Morawski ostatecznie został na kolejny sezon, konsekwentnie rozkładając Teatr artystycznie i ekonomicznie.

Jednak po kontroli NIK i ujawnieniu wysokich wynagrodzeń, jakie wypłacał sobie dyrektor, nawet jego sojusznicy z centrali stracili cierpliwość. Kolejna próba odwołania podjęta w listopadzie 2018 r. okazała się skuteczna. Było jednak za późno. Powołany na p.o. dyrektora naczelnego Krzysztof Budzanowski i wspomagający go do grudnia jako p.o. dyrektora artystycznego Krzysztof Kopka mieli doczekać tylko do nowego konkursu. Ten jednak nie przyniósł rozstrzygnięcia, bo nie zgłosił się nikt, kto dawałby nadzieję choćby na rozpoczęcie odbudowy pozycji Teatru wykuwanej przez wiele lat, a zniszczonej przerażająco szybko.

Krajobraz po bitwie

Teatr Polski wciąż czeka na przełom, który nie następuje i trudno mieć nadzieję, że nastąpi. Coraz wyraźniej widać, że trwały stan zawieszenia i niedziałania, w jakim się znalazł, to cel i reguła obecnej „polityki kulturalnej”: skoro wobec braku lub słabości artystów realizujących ideologiczny i estetyczny program władzy w kulturze niewiele dzieje się po jej myśli, to lepiej niech nie dzieje się nic.

I właśnie w kontekście tej polityki ogromne znaczenie mają takie inicjatywy jak Teatr Polski w Podziemiu. Powołany w roku 2016 jako scena niezależna przez aktorów i widzów współtworzących program i oblicze wrocławskiej sceny za czasów Mieszkowskiego, stał się wręcz symbolem oddolnych działań przekraczających reaktywne protesty i chwilowe demonstracje niezgody. Mimo obaw jego aktywność nie wyczerpała się w serii performansów napędzanych gniewem. Współpracując z takimi reżyserami jak Krzysztof Garbaczewski, Sebastian Majewski czy Monika Pęcikiewicz, zespół stworzył program interesujący niezależnie od „podziemnego” i anty-Morawskiego kontekstu. Jest teraz nie tylko znakiem obywatelskiej niezgody i przejęcia spraw w swoje ręce, ale także miejscem, w którym toczy się ważna i aktualna debata. Pozostaje jednak hybrydą: tworzony przez zawodowców i wspierany przez miasto, funkcjonuje na teatralnym offie, odwołując się do mainstreamowej publiczności – nie ma takiej siły przebić i zasięgu oddziaływania jak teatry repertuarowe. A choć działa dłużej, niż się spodziewano, to w jego nazwę i formułę wpisana jest tymczasowość.

W miejsce jednej silnej placówki teatralnej mamy dwie działające na różne sposoby, ale też na różne sposoby osłabione. Na początek sezonu 2019/2020

każda z nich zapowiedziała nowe przedstawienia.

Repetycja z WOS-u

Teatr Polski w Podziemiu rozpoczął sezon prezentacjami „Księcia” w reżyserii Pawła Świątko (premiera 20 września), podobno na podstawie traktatu Niccolò Machiavellego. Jeszcze przed wyjazdem zostałem ostrzeżony, że to nie jest spektakl, tylko „symulacja artystyczno-społeczna”. Należało się więc spodziewać wciągania w akcję, pozbawiania bezpiecznego statusu widza i innych tego typu atrakcji. Pojawiało się ich w ostatnich latach na scenach tak dużo, że deklaracje twórców, iż symulacja „książeczka” jest pierwszą w polskim teatrze, przyjąłem z dużą ostrożnością. *Post factum* muszę jednak przyznać, że na taką skalę chyba rzeczywiście po raz pierwszy nie tyle wciągnięto publiczność w akcję, ile zbudowano ją z jej działań i decyzji.

Wrocławski „Książę” to gra współtworzona przez zespół i przychodzących do teatru uczestników. Przy wejściu każdy otrzymuje plakietkę z nazwiskiem postaci, którą będzie grał, a zarazem przypisującą go do określonej grupy i wyznaczającą pozycję w hierarchii społecznej. Wchodząc na salę zamienioną w przestrzeń gry, jestem – jak wszyscy – mocno zagubiony, ale od razu podchodzi ktoś z licznych koordynatorów i wyjaśnia pokrótce, o co tu chodzi. Oto jesteśmy w państwie, które dzieli się na trzy autonomiczne i rywalizujące ze sobą regiony: rolniczą i nieco zacofaną Rurytanię, technologicznie zaawansowaną Tellurię oraz opartą na górnictwie i przemyśle ciężkim, zamożną Karbonię. Ja wylądowałem w tej ostatniej. Jestem pionkiem – szeregowym członkiem klanu zajmującego się działalnością w sektorze transportu. Wydaje się, że nie mam wielu możliwości, bo pieniądze na inwestycje dostali tylko szefowie klanów. Mogę oczywiście im doradzać, ale szybko okazuje się, że działalność gospodarcza jest dość trudna ze względu na niesprawność systemu bankowego (na moim pokazie spotegowaną jeszcze przez „realną”, nieprzewidzianą awarię sieci komputerowej) oraz otoczenie polityczno-społeczne.

Państwo jest w trakcie przygotowań do wyborów. Obecny prezydent (Igor Kujawski) zostaje oskarżony o korupcyjne powiązania z potężnym biznesmenem z Karbonii (Tomasz Lulek), a choć

usiłuje skompromitować oskarżającego go dziennikarza (Michał Opaliński), to w końcu (przynajmniej w mojej „grze”) wybory przegrywa. Zwycięża kandydatka z Tellurii – spokojna i racjonalna dziewczyna, na którą głosowałem częściowo wbrew partykularnym interesom mojego regionu. Po raz pierwszy od dawna czuję satysfakcję z wygranej, tym większą, że moja prezydent nie jest aktorką, ale osobą z publiczności.

Przebieg gry, czas jej trwania i wynik zależą oczywiście od aktywności uczestników, a także od losu. Ci, którzy przy wejściu otrzymali plakietki głów klanów lub gubernatorów prowincji, przeżyli coś zupełnie innego niż ja, który doświadczyłem losu obywatela zagubionego w niejasnych procedurach, częściowo pozbawionego najprostszych narzędzi działania, a zarazem (to już z własnej winy) na tyle wycofanego i nieufnego, by nie rzucić się od razu w wir politycznej czy społecznej aktywności. Mogłem przecież zgłosić się do pracy w rządzie, startować w wyborach, działać na rzecz ekologii lub lokalnej społeczności. Zasady gry są takie, że im śmieiej w nią wchodzisz, tym więcej się wokół ciebie dzieje. Zwykły obywatel ma tu sporo chwil czczych, kiedy wydaje mu się, że nic nie może, nic od niego nie zależy, nic nie ma do zrobienia. Coraz bardziej mnie to irytowało i męczyło, aż uświadomiłem sobie, że nie jest to wyłącznie efekt przedstawienia, ale stan, który sam sobie zafundowałem i który przecież znam z pozateatralnej rzeczywistości. Symulacja zadziałała.

Gdy opowiadałem o „Księciu” swoim dorosłym dzieciom, oboje zgodnie wzruszyli ramionami i powiedzieli, że podobnie uczono ich wiedzy o społeczeństwie, a całe to teatralne nowatorstwo nie różni się od przeciętnej gry miejskiej. Pewnie mają rację, ale też i nie o nowatorstwo idzie. „Książę” nie przynosi rewelacji, nie odsłania nieznanych mechanizmów, na pewnym poziomie jest wręcz banalny. Ale w konkretnej sytuacji politycznej i społecznej użycie teatralnej gry dla swojej powtórki z wiedzy o społeczeństwie wcale nie wydaje się marnowaniem czasu i energii.

No alarms

Dwa tygodnie po wzięciu udziału w „Księciu” znów jechałem do Wrocławia, tym razem na Scenę na Świebodzim „nadziemnego” Polskiego, by obejrzeć „Leśnych. Apokryf” (premiera 3 października). Przedstawienie było bodaj pierwszym od czasów Mieszkowskiego, które wyjściowo miało wiele danych, by stać się spektaklem ważnym. Czuli to teatralni PR-owcy głosząc, że „nikt nie zostanie obojętny”, skoro „Agnieszka Wolny-Hamkało, świetna wrocławska pisarka, podjęła ważny dziś dialog z opowiadaniem partyzanckimi Tadeusza Różewicza”, a „Marta Streker, po raz pierwszy jako reżyserka w naszym teatrze, z pomocą znanych i dawno nieobsadzanych aktorów przełożyła go na scenę”. Można było wręcz mieć poczucie, że zerwana ciągłość jest nawiązywana, bo na afiszu pojawili się Igor Kujawski, Michał Opaliński, Dariusz Maj czy Tomasz Lulek – aktorzy

-buntownicy, stanowiący wręcz filary Polskiego w Podziemiu.

Niestety przedpremierowe zapowiedzi i oczekiwania bladły z każdą minutą spektaklu. Twórcynie sięgają po kolejne piętra prowokacji, aktorzy szargają świętości, rzucają flagami i słowami na „k”, fałszują liturgiczne śpiewy, wygłaszają jak należy „od siebie” monologi pełne „przejmujących” mądrości i wyznań, ale wszystko to nie kończy się oczekiwaną salwą. Nie wiem, czy był to zamierzony efekt, czy po prostu coś w teatralnym piśtolecie nie zadziałało, ale gdy w finałowej scenie egzekucji zamiast wystrzału rozległo się tylko cichutkie „pyk, pyk” równie daremnie co nerwowo przyciskanego cyngla, nastąpiło wreszcie wrażenie spójności i konsekwencji.

I dramatopisarka, i reżyserka nie potrafiły zbudować układu napięć, poprowadzić uwagi widzów, rozłożyć akcentów. Nie jest to wszystko jakoś straszliwie złe, ale z każdą chwilą staje się bardziej nużące i męczące w nieodróżnicowaniu i obojętności, z jaką przechodzi obok. Bo największą wadą spektaklu wydaje się nieumiejętność budowania żywego związku z kontekstem współczesności. Nie wystarczy zaśpiewać „Polska! Białoczerwoni!” i wyświetlić napis „Rekonstrukcja”, by uzyskać rezonans wśród publiczności. Nie jest prawdą, że Różewicz piszący o wojnie nie ma dziś nam – podświadomie na nią czekającym i świadomie do niej wychowywanym – nic do powiedzenia.

Kilka dekad temu, gdy Różewicz mował się z pamięcią wojny, odwołujące się →

REKLAMA



**Chcę dla niej
lepszego świata.
Ty też?**

Wspieraj lepszy świat dla
każdej dziewczynki i kobiety

Wejdź na **femfund.pl**

**FEM
FUND**
fundusz
feministyczny

→ do niej teksty kultury funkcjonowały we wciąż żywym kontekście historycznym, który – co widać zwłaszcza po młodszych aktorach i widzach – nie jest już odczuwany i zrozumiały. W przedstawieniu nie zastąpiono go skutecznie żadnym realnie dotkliwym kontekstem współczesnym. Zabrakło mi zwłaszcza odwołania do mitu „wyklętych” i całej opartej na zobowiązaniu wobec zmarłych polityki historycznej rządzącej w Polsce formacji. Wprawdzie Sfinks (Dariusz Maj) mówi o tym w monologu wypowiedzianym z widowni, ale zostają z tego tylko słowa wykrzykiwane coraz bardziej bezzadnie w coraz bardziej obojętne twarze.

Przeciwnicy teatru, którego Teatr Polski Mieszkowski był symbolem, mogą uznać „Leśnych” za dowód na wypalenie się formuły kiedyś nośnej, ale zużytej w kolejnych powtórzeniach. Do pewnego stopnia mieliby rację, bo chyba w żadnej innej sztuce proces rutynizacji nie następuje tak szybko jak w teatrze. W jakiejś mierze dotyka on obu wrocławskich scen, bo choć ta „podziemna” pozostaje bardziej dynamiczna i – choćby przez udział publiczności i odmienną warunków pracy – nie tak łatwo popada w schematy, to i ona wydaje się osuwać w pewną rutynę. Choćby dlatego, że funkcjonuje w określonym, stosunkowo wąskim środowisku, mając bardzo ograniczone możliwości konfrontacji i sprawdzenia siebie z publicznością niesformatowaną. Wrocławski pat instytucjonalny zaczyna więc być patem artystycznym. Oba – tak przecież różne – przedstawienia łączy to, że już po pierwszych minutach zasadniczo wiadomo, co będzie dalej i jak będzie wyglądała reszta wieczoru. Żadnych niespodzianek, żadnych olśnień i zaskoczeń. Uścisk dłoni z tlenkiem węgla...

Wracałem z Wrocławia nocą, a przez zmęczoną i przysypiającą głowę przelatywały oderwane zdania z nienapisanego jeszcze tekstu. Jedno z nich brzmiało „Po stoczeniu walnej bitwy Teatr Polski w obu swoich wersjach wpadł w jałowy bieg”. Gdy przypomniałem, że na początku sezonu 2019/2020 równie dobrze można je zapisać bez dużych liter. © DARIUSZ KOŚCIŃSKI

Jej portret

ANITA PIOTROWSKA

Céline Sciamma wpuszcza nas w zwarty krąg kobiet i ich zakazanych przez kulturę „kobiecych spraw”, wspólnych wszystkim bez względu na ich społeczny status.

GŁOŚNA POWIEŚĆ SIRI HUSTVEDT „Świat w płomieniach” przyniosła rozpisany na wiele głosów, chwilami tragiczny, a chwilami mocno satyryczny obraz traktowania kobiecej twórczości, która nawet dziś musi sięgać po męskie przebranie, ażeby zyskać należytą uwagę i respekt. Film „Portret kobiety w ogniu” (podobieństwo tytułów czysto przypadkowe) przywdziewa kostium XVIII-wieczny, by opowiedzieć całkiem inną historię, choć i ten wątek – funkcjonowania artystki pod męskim nazwiskiem – pojawia się w filmie Céline Sciammy. Nagrodzony w Cannes za scenariusz melodramat posiada tytuł tyleż uwodzący, co zwodniczy, jakby żywcem wyjęty z serii Harlequina. Dostajemy tymczasem ubrany w ciężkie peleryny i sznurowane gorsety wyrafinowany dyskurs miłosny, a zarazem minitraktat o malarstwie i sztuce patrzenia.

Kiedy Marianne (Noémie Merlant) przybija do wybrzeży Bretanii, by namalować portret młodej dziedziczki na zlecenie jej matki (Valeria Golino), dziewczyna o znaczącym imieniu Héloïse (Adèle Haenel) nie wie zrazu, że jest portretowana. Obraz ma bowiem posłużyć jako „zachęta” dla jej przyszłego męża, obcego człowieka mieszkającego w dalekim Mediolanie. Dzisiaj wystarczyłaby do tego aplikacja randkowa, nie potrzeba byłoby żadnych pośredników, a wybór kandydata czy kandydatki byłby po obu stronach całkowicie suwerenny. W tamtej epoce nikt kobiety nie pyta o zdanie, a jej los jest od początku zdeterminowany.

Podczas nadmorskich spacerów malarza udająca damę dworu intensywnie przygląda się swej modelce, by potem w ukryciu przelewać swoje obserwacje na płótno. Im bliżej ostatniego pociągnięcia

pędzlem, tym coraz bliższy staje się kontakt dwóch kobiet: wyzwolonej jak na owe czasy artystki i wychowanej w klasztorze melancholiczki. Gdy Héloïse dowie się w końcu o roli, jaką pełni w jej domu Marianne, przeżyje rozczarowanie. Nie tylko dlatego, że padła ofiarą podstępny, a za chwilę jej wizerunek stanie się czymś na kształt portretu trumiennego. Również dlatego, że obecność Marianne powoduje w niej przyspieszone bicie serca. Co więcej, w gotowym obrazie Héloïse nie rozpoznaje ani samej siebie, ani odwzajemnionego wobec niej uczucia, dlatego niszczy portret i musi on zostać namalowany od nowa. W tym momencie, pod nieobecność kontrolującej wszystko matki, rozpoczyna się zupełnie inny film, dodajmy: jeszcze bardziej frapujący.

Czy udany portret to wierna podobaźna, czy raczej projekcja tego, kto patrzy? Czy patrzenie, zarówno na linii portreciasta–jego model, jak i między obrazem a jego odbiorcą, jest aktem wyłącznie jednostronnym? Bo kto tak naprawdę patrzy na kogo? Te rozważania, rodem z płócien Diego Velázqueza czy esejów Johna Bergera, znajdują na ekranie nader zmysłowy wyraz. Ale nie dajmy sobie zamydląć oczu, jesteśmy wszak w krainie łagodności, która kryje pod powierzchnią istic wybuchowy ładunek. Sciamma, znana dotychczas z reżyserii „Lilii wodnych” (2007) czy „Chłopczycy” (2011), w których tożsamość seksualna była silnie sprzężona z pojęciem podmiotowości, potrafi być współczującą i drapieżną jednocześnie. „Portret kobiety w ogniu” tylko z początku wydaje się pięknoduchowski i koturnowy.





MATERIAŁY PRASOWE

Adèle Haenel jako Héloïse i Noémie Merlant jako Marianne w filmie „Portret kobiety w ogniu”

Ze swoim ciepłym, vermeerowskim światłem, łagodnym tonem i rytmem opowieści, z dyskretną, acz wywołującą przyjemne mrowienie fonosferą, która dopiero w finale eksploduje „Latem” Vivaldiego, przynosi przede wszystkim radykalną zmianę punktu widzenia.

Dlatego Laura Mulvey, brytyjska feministka i teoretyczka filmu, tym razem byłaby zachwycona. To ona jest autorką sformułowania *male gaze*, które oznacza dominujące w głównym nurcie kina „męskie spojrzenie”, powodujące uprzedmiotowienie i seksualizację kobiet na ekranie. W „Portrecie” czuje się, że „władczynią spojrzenia” jest kobieta i że kino w kwestii kobiecej erotyki nie powiedziało jeszcze ostatniego słowa. Co więcej, nie jest to patrzenie zawłaszczające, niezależnie od tego, czy mowa o malarce portretującej Héloïse, czy o patrzącej na nie obie reżyserce (jej prywatny związek z Adèle Haenel nie był dla nikogo tajemnicą). Odwieczny status kobiety jako biernej „muzy natchnionu” zostaje tu zakwestionowany podwójnie: to ona staje za sztalugą czy za kamerą, ale nawet będąc po tej drugiej stronie, przestaje być atrakcyjnym, fetyszyzowanym przedmiotem.

W czułym obiektywie operatorki Claire Mathon znalazła się także postać Sophie (Luàna Bajrami), młodziutkiej służącej, która zachodzi w niechcianą ciążę. W ten sposób zostajemy wpuszczeni w zwarty krąg kobiet i tabuizowanych przez kulturę „kobięcych spraw”, wspólnych wszystkim bez względu na ich społeczny status. Stąd też odtworzony w filmie nocny rytuał wokół ognia, w którym

biorą udział bohaterki, a szorstką, wielogłosową pieśnią ludową śpiewaną przez miejscowe kobiety. Stąd sceny, których ani tradycyjne malarstwo, ani dotychczasowe kino nie pokazywało i które trudno byłoby nawet wymyślić – jak wizyta u „babki” spędzającej płuzy, z niemowlętami baraszkującymi na tym samym aborcyjnym łóżku.

Przestrzeń, którą kreuje Sciamma, nie ma jednak nic wspólnego z zamkniętym, dusznym „babińcem”, a jej film równie dobrze spala się w miłosnym ogniu, co oddycha chłodnym powietrzem bretońskiego nadbrzeża. Na dodatek przychodzi mu w sukurs obecna często we francuskim kinie klasyczna literatura, na czele z Heloizą i Abelardem, lecz nade wszystko z mitem orfickim. Czytany i żywo dyskutowany przez bohaterki filmu, dopisuje ich własnej historii przyszywającą puentę. Polskiemu widzowi może się to skojarzyć z tekstem piosenki, stworzonej ongiś przez Jonasza Koftę, której tematem był „niedokończony, jasny portret twój”. Wyidealizowane wspomnienie ukochanej osoby, którą „ogładając się wstecz” podmiot liryczny zdążył utracić raz na zawsze, miało potem towarzyszyć mu do końca życia, hołubione i opiewane. Ta piosenka spokojnie mogłaby promować „Portret kobiety w ogniu” – jeden z piękniejszych kinowych obrazów miłości romantycznej i związanej z nią dialektyki. ©

PORTRET KOBIETY W OGNIU (*Portrait de la jeune fille en feu*), reż. Céline Sciamma. Prod. Francja 2019. Dystryb. Gutek Film. W kinach od 18 października.

WARTO ZOBACZYĆ W TV [19 – 25 X]

1. Inny świat



Teatr TV, reż. Igor Gorzkowski, Polska 2019, TVP 1, 21 X, 21.00
W setną rocznicę urodzin Gustawa Herlinga-Grudzińskiego powstała pierwsza ekranowa adaptacja jego prozy obozowej. Klamrą opowieści jest spotkanie pisarza z łagrowym współwięźniem, które miało miejsce w Rzymie tuż po wojnie. Występują m.in. Philippe Tłokiński, Rafał Zawierucha i Arkadiusz Janiczek.

2. Statua wolności: matka wygnańców



Dokumentalny, reż. Fenton Bailey, Randy Barbato, USA 2019, HBO GO, od 25 X
Od końca XIX wieku jej sylweta witała imigrantów dobijających do wschodniego wybrzeża USA. Dla wielu pokoleń Amerykanów stała się symbolem rozmaicie pojmowanej niezależności i buntu, ale także ikoną kultury popularnej. Dokument śledzi historię nowojorskiej statui od czasu jej wzniesienia aż po epokę Donalda Trumpa.

3. Touch me not



Dramat, reż. Adina Pintilie, Francja/Niemcy/Rumunia/Czechy/Bulgaria 2018, Cineman VOD
Jeden z najbardziej kontrowersyjnych zwycięzców Berlinale to eksperyment z pogranicza kina i galerii sztuki współczesnej. Rumuńska artystka z udziałem aktorów, amatorów i swoim własnym próbuje odkłamać obraz ciała czy seksualności w dzisiejszej kulturze, promującej młodość, urodę, zdrowie oraz określone wzorce zachowań.

4. Ustrzelić mafię



Dokumentalny, reż. Kim Longinotto, Irlandia/USA 2019, vod.pl
Jak to się stało, że zahukana gospodyni domowa z Palermo stała się pierwszą włoską fotoreporterką dokumentującą mafijne zbrodnie? Portret 84-letniej dziś Letizii Battaglii to nie tylko opowieść o wybitnej, zaangażowanej społecznie fotograficzce, ale także kawał włoskiej historii i obyczajowości, zanurzony w tamtejszej fotografii i kinie.

JAN

Klata: Poważny kandydat



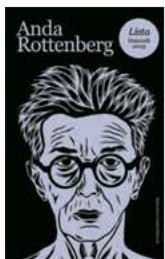
WIEM, ŻE JUŻ JEST PO HERBACIE, KOŚCI ZOSTAŁY RZUCONE, OBŁOK NIEWIEDZY ROZWIANY, SONDAŻOWNIE SKOMPROMITOWANE, SUWEREN WIĄZĄCO PRZEMÓWIŁ PRZES URY... WIEM, ŻEM PONIEWCZASIE, ALE... CHCIAŁEM JEDNAKOWOŻ ZWRÓCIĆ UWAGĘ NA POWAŻNEGO KANDYDATA. Niestety nie zostanie szansy, że w obecnym parlamencie się znajdzie, choć niebywale zasługuje. Rzućmy nań okiem, lepiej późno niż wcale, zobaczmy, co nas ominęło, jeszcze za nim zatęsknimy.

Niby wybory, a wyboru brak, braku brak, żrenica nie zaznaje wytchnienia, są tylko przestrzenie publiczne zaśmieczone bardzo lub jeszcze bardziej, wyborczo, zewsząd patrzą na nas piękne i mądre, potencjalnie sprawcze twarze kandydatów. One patrzą na nas, bo bardzo chcą, my patrzymy na nie, bo musimy. Nie ukrywajmy: są to głównie facjaty należące

do partii rządzącej, gdyż rządzi ona także terenami przydrożnymi i czerpie z tego propagandowe profity. Zdesperowani językotwórcy nazywają tego typu upstrzenie przestrzeni „plakatozą”, „gębozą”, „fotoszopozą” – ale uciec przed tym nie idzie, cała Polska obwieszona, kto włodarzom zabroni czynić sobie ziemię poddaną, odciskać piętno w imię jeszcze lepszej przyszłości. Suweren musi mieć wybór, jest pluralizm, to niech demos sobie popatrzy, co będzie na ścianę gołą lub na płot patrzył, skoro demokracja, taki mamy kraj-obraz.

A zatem w Zielonej Górze na żółtej przydrożnej barierce wisiał na banerze promyczek nadziei, dumny kandydat, zdumiewająco plasujący się ponad podziałami (tak, to możliwe!), reprezentujący absolutnie wszystkie partie polityczne naraz, niejaki Jurek Zajop. Myślę, że warto zapamiętać to imię i nazwisko. Dlaczego? Co Jurka Zajopa odróżnia od tysięcy innych beczceścieli polskiego krajobrazu? Otóż Jurek Zajop ma wielce lakoniczny, acz fenomenalny program: „Więcej banerów!”. Minimum słów, maksimum treści, za prawdę bardzo, ale bardzo przekonującej. I jeszcze minicymesik, wizualno-semantyczna wisienka na torcie: w lewym górnym rogu baneru Jurek Zajop dość czytelnie nabazgrał nazwę wszechobejmującej koalicji, którą reprezentuje: Vox Populi. Chciałbym zawczasu zadeklarować, że chcę oddać głos na Jurka Zajopa. Jak nie w tych, to w następnych wyborach (o ile się ich doczekam, oczywiście). ©

Lektor: Taki klimat



■ **ANDA ROTTENBERG, LISTA.**
DZIENNIK (STYCZEŃ – CZERWIEC 2005)
Wydawnictwo Krytyki Politycznej,
Warszawa 2019, ss. 192

PIĄTEK MIJA, ZAMIERA kampania wyborcza, a ja czytam przenikliwe, cierpkawe zapiski Andy Rottenberg sprzed lat czternastu. I widzę w nich przestrogę przed idealizowaniem przeszłości. Tytuł odnosi się do listy wyniesionej z Instytutu Pamięci Narodowej przez Bronisława Wildsteina. Współpracownicy SB sąsiedowali na niej z „figurantami”, czyli tymi,

których służby obserwowały z racji ich działalności czy też podejrzanych kontaktów. Powszechnie uznano ją jednak za „listę agentów”, krzywdząc wielu ludzi zaangażowanych w opozycję. „Cały Peerel w układzie alfabetycznym, od a do zet... A co z KGB?” – pyta ironicznie autorka. Ona sama też znalazła się na liście i złożyła w IPN wniosek o uznanie za pokrzywdzoną. Zaświadczenie z datą 20 czerwca 2005 zamyla

książkę, którą otwarła wiadomość o wyczynie Wildsteina. Wewnątrz opowieść o życiu w cieniu mniemanego piętna, czy raczej wbrew niemu. I relacja z kraju, w którym trwa permanentny bałagan, a większości polityków zupełnie nie obchodzi kultura. Jeśli zaś obchodzi, wtedy jest jeszcze gorzej, bo albo ją traktują instrumentalnie, albo cenzurują. Anda Rottenberg, znakomita znawczyni sztuki współczesnej, straciła szefostwo Zachęty po wystawie przygotowanej w 2000 r. przez wielkiego kuratora Haralda Szeemanna, na której znalazła się rzeźba Maurizioa Cattelana „La nona ora” – papież przygnieciony meteorytem. Minister Ujazdowski zmusił dyrektorkę do odejścia, a oburzenie środowisk prawnicowo-katolickich znalazło dodatkowe ujście w antysemickim hejcie.

Z kolei ważna wystawa o relacjach polsko-niemieckich w sztuce, o której projekcie czytamy w tym dzienniku, doczekała się realizacji dopiero sześć lat później – bo po drodze były wybory i ideologiczna chorągiewka zaczęła wskazywać inny kierunek. W dniu śmierci Jana Pawła II diarystka notuje: „Umarł. / Zmówmy modlitwę. / Zapalmy świece. / Bądźmy lepsi”. Szybko jednak zauważyła, że żałoba – w której sama uczestniczy – zmienia się w pompacyjny obrzęd i patetyczne wielomówstwo. A pojednanie zwaśnionych polityków czy kibiców było tylko na pokaz. Gorzko? Taki klimat. Jest jednak w tym dzienniku inna warstwa – zapis radości czerpanej z przyjaźni, z mozolnego naprawiania rodzinnych więzi, z kotów, z ogrodu. I ta warstwa okazuje się mimo wszystko najważniejsza. ©P

PAWEŁ

Bravo:

Oda do radości



TOKAJ JEST WIECZNY, UCZYLI MNIE W CZASACH, kiedy zajmowałem się winem od strony teoretycznej – bo znajomość praktyczną oczywiście podtrzymuję. Obcowanie w pracy z życiem politycznym wręcz tego ode mnie wymaga. Gdybym jeszcze śledził Twittera, tę naszą rozgęgana agorę, to wino byłoby za słabym lekarstwem. Musiałbym wtedy sięgnąć po napój równie, jak się okazuje, wieczny – winiak luksusowy.

Ach, nie wszystko na szczęście ulega modzie, niszczycielskiej sile, która – jak głosi hymn Unii Europejskiej – rozpręga świat trwałych przeżyć, aż musi nadejść córa Elizejskich Pól i spaść go z powrotem w jedność. Ilekroć wkraczam do jednego ze skansenów późnopeerelowskiej gastronomii (polecam np. bar Paragraf naprzeciw stołecznego gmachu sądów) nucę odę do radości na widok trwającego na posterunku winiaku. W jego niezbyt szlachetnych żółtawych refleksach migocze obietnica, że świat, w którym umrę, nie będzie wcale aż tak różny od tego, w którym się urodziłem.

Stąd nie zna granic moja wdzięczność dla Łukasza Modelskiego, erudyty i smakosza, biesiadnego głosu radiowej Dwójki, że wydając w postaci książki zapis audycji „Droga przez mąkę”, uwzględnił świetną rozmowę o konsumpcji w świecie pogardzanego dziś podgatunku literatury popularnej, jakim była powieść milicyjna. Niebieszcz służy aparatu państwa, klasowo i ideowo słuszni, gardzili zbytkiem (w którym pławili się emisariusze określonych kół – nikt ich nie określał bliżej, ale czyż nie na tym polega lepkość insynuacji?). Chyba że odrobina luksusu spływała na nich w postaci winiaku, który dyskretnie sygnalizował ich wyróżniony status.

Bo też i status, hierarchia, porządek dziobania są zasadniczym problemem tej książki. Zbiór kilkudziesięciu rozmów (wydanych pod kokieterijnym podtytułem „Literatura dla kucharek”) traktuje o autorach od Grzegorza Wielkiego po Michela Houellebecqa, i sięga do literackich obrazów jedzenia. A to wszystko nie tylko po to, by przekonać, że głód, apetyt, gotowanie i ucztowanie są bardziej obecne na kartach wielkiej i małej literatury, niż się spodziewacie. Nie, to byłyby tylko erudycyjne popisy, wycinanki cytatów, czasem odświeżających banalne skojarzenia (skoro Proust, to na pewno magdalenki? No to się zdziwicie). Owszem, Dwójka czasem lubi zamieniać się w radiowęzeł dla prymusów, ale to nie ten przypadek.

Rzecz w tym, że Modelski, trzymając pozornie żartobliwy fason, wypuszcza rozmówców wprost na czołowe starcie z naczelnym zagadnieniem literatury. Żadna nie jest godna

tego miana, jeśli nie uświadamia czytelnikowi, że poza momentami mistycznego czy narkotycznego uniesienia nie istnieje życie, którego nie da się opisać słowami. Że ludzka egzystencja zaczyna się i spełnia tylko w sieci znaczeń, odniesień do tego, co już zostało powiedziane i ponazywane. Ponazywane, a więc też ułożone w jakimś porządku społecznym. Nawet intymność pewnych przeżyć też jest znacznikiem nadanym przez kulturę.

Literatura, tak jak ją rozumiemy po europejsku, działa jak zakraplacz mitu w żywioł codziennego doświadczenia. To na mocy jej dekretoów sprężyny uczuć i instynktów ożywiają nas w jakimś kierunku. Kiedyś służyła np. do tego, żeby przeżywać miłość i rozkosz – dziś coraz bardziej „uwolnione” od ograniczeń więzi ludzkie, w miarę zastępowania słów przez obrazki zamieniają się w papkę doznań, które przestajemy doznawać, chyba że jako bezkształtne łaskotki. Rozmówcy „Drogi przez mąkę” próbują wykazać, jak bardzo wciąż literatura, przez samą czynność nazywania, układania w pewien kod i kontekst, jest gwarantem naszego smaku. A to, co naprawdę nam smakuje, kiedy jemy, przepływa przez werbalną część mózgu, wyćwiczoną w grze z tekstem, a nie oczyszczone zdjętkami.

Literatura jest zawsze po to, by wypchnąć nas z tu i teraz. Jest głosem tego, co tam i kiedy indziej. A w napięciu między tymi biegunami dopiero dzieje się żywot człowieka. Zawsze kiedy siadamy do kolacji, gdzieś tam nasz cień uczestniczy w innej. Przywilej czytelnika na tym polega, że jego menu jest ograniczone tylko tym, co dziś sobie ściągnie z półki. Bywają takie domy, że półki są lepiej zaopatrzone od lodówki. ©P

*Nie byłoby ładnie, gdybym nie zastrzegł, że sam mam skromny wkład w tę książkę. Ale jest mnóstwo lepszych powodów, żeby ją szczerze zalecać, niż te trzy rozmowy o autorach, do których, jak dobrze wiecie, czuję ogromną miętę – Camille-
rim, Hrabalu i Simenonie. Ten ostatni przypomina nam stale, że Francja to nie tylko południe z prowansalskich pocztówek,*



ADOBE STOCK

ale i mglista, wilgotna północ, gdzie pije się piwo lub calvados i jada zawiesziste potrawki. Jedną z nich – blanquette de veau – którą pani Maigret czasem szykuje komisarzowi, warto przyswoić sobie na te zimne miesiące. Pół kilo łopatki cielęcej kroimy w dużą kostkę, blanszujemy krótko we wrzątku, odcedzamy. Do dużego garnka wkładamy mięso, 2 marchewki pokrojone w grube talarki, cebulę naszpikowaną dwoma goździkami, ga-

łązkę selera, pora, liść laurowy, tymianek, zalewamy 1,5 l wody, solimy, doprowadzamy do minimalnego wrzenia i gotujemy 1,5 godziny. Kiedy mięso zmięknie, wyjmujemy je wraz z marchewkami, odcedzamy wywar. W garnuszku robimy jasną zasmażkę z 40 g masła i mąki jak do beszamelu, rozprowadzamy ją stopniowo dolewając 0,5 l wywaru, mieszamy cały czas, aż powstanie gęsty sos. Zalewamy nim mięso i marchewki oraz 200 g pokrojonych pieczarek, które osobno podduśliśmy w garnuszku w odrobinie wody z łyżką masła i sokiem z połówki cytryny. Na sam koniec zaciągamy sos jednym żółtkiem rozrobionym z pół szklanki tłustej, kwaśnej śmietany, albowiem Maigret miał wątrobę jak stal i nie jadał dietetycznie.

PANI JEZIORA

Jeśli ponad wodę wystaje tylko twoja głowa,
to każda kropla deszczu staje się fontanną.
Ptaki są wtedy jak odrzutowce.

ADAM ROBIŃSKI

JAK SIĘ JEST CZŁOWIEKIEM, TO NA ŚRODKU PRAWDZIWĄ BLIŃSKOŚĆ można poczuć tylko z zaskrońcem. Wszystko inne, czując na karku oddech, będzie uciekać. Perkoz da nura, kaczka czmychnie w trzciny, łabędź dwa razy walnie skrzydłami i zostanie po nim tylko zmarszczka na wodzie. O rybach nie ma co nawet gadać. „Srebro ryb gaśnie zaraz po ich śmierci” – pisze w eseju „Dziesięć lśnień” Krzysztof Środa, ale przecież tak naprawdę z poziomu kajaka czy łódki widać ledwie migotanie. Czyli nic nie widać.

Dlatego najlepiej poszukać zaskrońca. Płynie bezszelestnie, ogon łopocze pod taflą jak chorągiew na wietrze. Mała głowa szuka kierunku, jakby kierowała się wyłącznie zmysłem powonienia. Dwie żółte plamki suną po czarnym. Trochę to wygląda na tanię, trochę na wyczyn. Tak mi się przynajmniej wydaje ciepłego sierpniowego popołudnia na Jeziorze Wronczyńskim Dużym, w połowie drogi między Poznaniem i Gnieznem.

Właściwie nie płynę, a stoję i tylko macham wiosłem. Pod nogami mam pompowaną deskę. Trzy metry długości wypełnione jedną atmosferą. Po angielsku to się nazywa *stand up paddle board*, w skrócie SUP, po polsku powinno chyba „słup”, bo tak to z daleka wygląda. I tak płynę za tym zaskrońcem, mam go przy prawej burcie, a on nagle przerzuca swoje oślisze cielsko przez deskę i ląduje w wodzie z jej drugiej strony, jak jakiś delfin albo humbak, a nie wąż. I wtedy to już naprawdę stoję osłupiały. Pejzaż kołysze się jak trącony martwą falą.

Maksymilian Grab

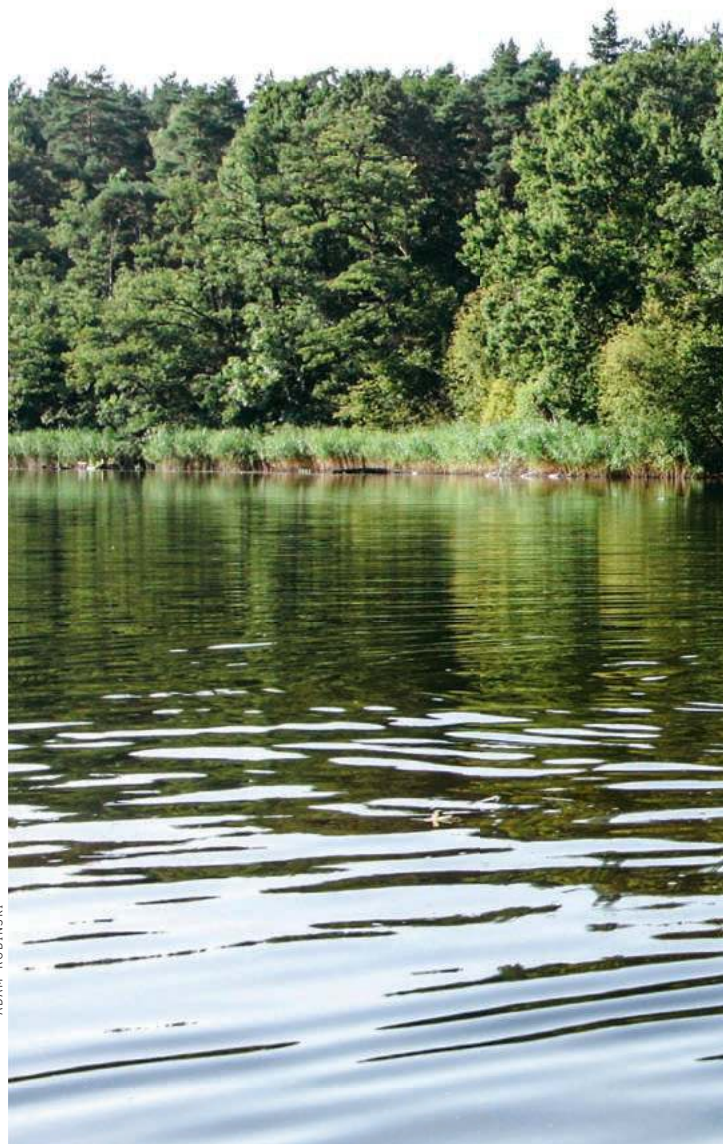
Na początku Daria Mielcarzewicz miała wątpliwości: „Naprawdę chce ci się jechać trzy godziny w jedną stronę, żeby ze mną popływać?”.

To musiały być trzy godziny, bo mieszka w Poznaniu, a celami jej przyrodniczych wypadów są wielkopolskie jeziora.

Daria Mielcarzewicz w Jeziorze Wronczyńskim, sierpień 2019 r.

Choć mówi o nich raczej „peregrynacje”. Wiedziałem, że chcę, od kiedy przeczytałem o tym wszystkim na portalu Kultura u podstaw. „Gdy popatrzeć na mapę Wielkopolski, jest tu naprawdę sporo niebieskich plam. Daria od jakiegoś czasu te plamy eksploruje. Zakłada płetwy i przepływa jeziora” – napisała o niej poznańska księgarka Maria Krześlak-Kandziora. Zanim dojechałem do ostatniej kropki, w myślach pisałem już do Darii emocjonalnego maila. Jeśli nie liczyć tej pojedynczej wątpliwości, z chęcią przystała na propozycję. Warunek był jeden: to musi być jezioro, w którym jej jeszcze nie było. Umówiliśmy się we Wronczynie, pod pomnikowym grabem imieniem Maksymilian. Zanim ruszyłem z Warszawy przez sierpniowy krajobraz malowany nawłocią, chciałem coś o tym drzewie przeczytać, poszukać zdjęć, ale Google był bezsilny i znajdował tylko jakiegoś Maksymiliana Graba. Drzewo było więc jedynie punktem na internetowej mapie. Zresztą na miejscu okazało się, że wcale go już nie ma. Został tylko złamany w pół pień, który obrósł chaszczami. Spotkaliśmy się przy jego zapuszczonym nagrobku. A więc mapa nie nadążała za światem.

Być może dlatego Daria narysowała własną? „Taką, której nigdzie się nie kupi; na której nie będzie żadnych niepotrzebnych kolorów, nadmiaru różnych rodzajów dróg, torów kolejowych i innych nieistotnych szczegółów jak hotele, szkoły czy lotniska. Nie zaznaczyłam na tej mapie też cmentarzy,



pałaców, zamków i synagog, żeby mnie nie rozpraszały. Nie wpisałam wielu wiosek. Z rzek zaznaczyłam tylko Wartę. Nawet niektórych ważnych dróg nie widać. To bardzo uboga mapa. Nie zaliczyłabym nią zajęć z kartografii, mimo że bardzo kocham mapy. Beznadzieja. Parę niebieskich plam na białym brystolu” – napisała, zanim jeszcze zobaczyłem ten kartograficzny cud na własne oczy.

– Teraz trochę żałuję, że jest taka mała. Gdyby była trochę większa, więcej tych jezior by się na niej zmieściło – mówi, wyciągając z samochodu korkową tablicę. Mapa trzyma się jej za sprawą paru pinezek. W środku Poznań, z północy na południe pasek Warty, ze wschodu na zachód kreska autostrady A2. Cały wszechświat w objęciach Szamotuł, Skoków i Zaniemyśla. Poza tym głównie plamy, bławatkowa wysypka. Krwiobieg dróg łączy je jakby od niechcenia, niestaranie. Przypomina raczej zdartą pajęczynę niż wytwór człowieka. Czasem się rozdwa, czasem po prostu urywa. Jakby tam, gdzie nie ma jezior, nie było nic ciekawego. Może faktycznie nie ma? W prawym dolnym rogu jest za to odrębna legenda.

Czerwona kropka: „staw rybny lub rezerwat, nie można się kąpać”. Fioletowa: „dużo śmieci, trzeba wrócić i posprzątać”. Serduszek: „czysta woda”. Trójkąt: „względnie czysta”.

Czarna głębia

Chciałoby się napisać, że wszystko zaczęło się od tej mapy, ale to nieprawda.

– Mam respekt do wody, długo nie pływałam dobrze. Aż postanowiłam sobie, że nauczę się tak pływać, by się nie męczyć w wodzie – wspomina Daria. – Regularnie chodziłam na basen, żeby nauczyć się krytego kraula. Aż w końcu czterdzieści pięć minut treningu przestało być fizycznym problemem.

Z basenu przeniosła się na jeziora, bo – jak tłumaczy – to zupełnie inna liga przeżyć i doświadczeń: – Przyjemność →



⇒ zanurzenia i przemiany w podwodne stworzenie są podobne. Ale poza tym pływanie w jeziorze to przede wszystkim bycie w naturze. Bycie gościem w czyimś domu. Z technicznego punktu widzenia to pływanie w ciemno, niepokojące. Na dnie nie widzisz błękitnego dna z kafelkowym paskiem, który wyznacza ci kierunek. Pod sobą masz czarną głębię, nawet wtedy, gdy jezioro jest bardzo czyste. Punktem odniesienia jest odległa linia brzegowa i ewentualnie ktoś, kto ci towarzyszy.

A więc Wronczyn, Puszcza Zielonka, ostatni piątek sierpnia. Zaraz zacznie się szkoła, ale na razie jest słoneczne popołudnie, więc poznaniacy po pracy ruszają na zielone. Wąska, obwarowana trzcina plaża płynnie przechodzi w piaszczyste dno. Pod stopami badyle, kamienie i szczeżuje. Dalej trzciny, bączywie, nenufary, cały ten jeziorny sznyt. Jakiś facet po pas w wodzie, banda dzieciaków na kocyku, plusk, gwar, chichot. Muzyka końca lata.

Kiedy w 1999 r. brytyjski pisarz Roger Deakin opublikował „Waterlog” – zapis podróży wpływ przez swoją ojczyznę – pisał o perspektywie żaby. Jeśli ponad wodę wystaje tylko twoja głowa, każda kropla deszczu staje się fontanną. Ptaki są jak odrzutowce. Odległości rosną, pewność siebie maleje, z twardo stąpającej po lądzie istoty dwunożnej stajesz się jednym z wielu stworzeń wodnych. Za pan brat nie tylko z zaskrońcem, ale i z nartnikiem, traszką, ze szczupakiem i armią płoci. Niektóre masz pod nosem, innych nie widzisz, za to czujesz, jak ocierają się o twoje zanurzone stopy. „Pływanie niepokojące”, jak chce tego Daria, albo „odmienna perspektywa spojrzenia na resztę uwiecznionej na lądzie ludzkości”, jak rozwinął swoją myśl Deakin.

Płyniemy w ciszy, duża żaba i ja, machający wiosłem słup. Przed siebie, bez konkretnego celu, byle dalej od brzegu, od lądowych dźwięków, ku słońcu. Czas płynie, choć nikt go nie odmierza. W pewnym momencie uznajemy po prostu, że to już. Gdzieś tu jest ten środek. Wtedy Daria opiera się o asekuracyjną bojkę, a ja przysiadam na desce i zaczynam gadać do tej wystającej znad powierzchni, ozdobionej uśmiechem głowy. I tak sobie trajkotamy na środku jeziora, bo to wymarzona sceneria do rozmowy.

Po widok

Daria urodziła się w Elblągu, do Poznania przyjechała na studia, i tak już zostało. Ukończyła teatrologię, fotografię i grafikę, a sześć lat temu założyła Sklep z cytatami: – Chciałam wiedzieć, jak wyglądają pisarze, więc narysowałam Gombrowicza. Tak to się zaczęło.

W ofercie ma m.in. projektowane przez siebie koszulki, kubki, torby, pocztówki z podobiznami literatów, filozofów, artystów i ich słynnymi frazami. Wymyśla okładki książek. Współtworzy Po-Dzielnę, pierwszy polski freeshop, a więc sklep, którego asortyment nic nie kosztuje. Jedni przynoszą używane ubrania, książki, buty, zabawki, a inni po prostu biorą to, co im potrzebne (ale wymieniać można za jego pośrednictwem również myśli czy umiejętności). To właśnie w Po-Dzielni Daria znalazła sporych rozmiarów techniczną kalkę, za pomocą której przerysowała z przewodnika rowerowego szkielet swojej przyszłej mapy.

– To skąd ci się wzięły te jeziora? – pytam przy akompaniamencie miarowego chłupotu.

– Z potrzeby zapuszczania się w dzikie. W naturę. Z dziecięcej ekscytacji odkrywania nieznanego, z potrzeby dalekiego widoku.

– Ale czemu jeziora? Czemu nie rzeki? – bo jednak dla człowieka z Mazowsza sprawa nie jest oczywista.

– Rzeki mnie niepokoją. Są wąskie, zbyt wąskie, żeby móc rzucić wzrokiem hen, w ten wodny bezkres, i czerpać z niego satysfakcję. Z kolei siedem lat temu, w Himalajach, ostatecznie zaspokoiliam chyba potrzebę łożenia po ten widok w góry. Wspięłam się na prawie 5,5 tys. metrów i wyżej mnie już nie ciągnie. Być może weszłam wystarczająco wysoko.

Przemierzać wielkopolskie akweny zaczęła rok temu, choć jak podkreśla, rozkręciła się dopiero minionej wiosny. Od maja pływała w około trzydziestu, do końca września, a jak pogoda da to i października, planuje wejść jeszcze do kilku nastu. Wygląda to trochę tak, jakby chciała je wszystkie zinwentaryzować.

– Nie użyłabym tego słowa, ale fakt, robię swój prywatny spis jezior. Częściowo pewnie z potrzeby porządkowania rzeczywistości. Fascynujące jest to prywatne badanie cech wspólnych jezior, ich różnic, szukanie stałych charakteryzujących grupy wód. Gdy odwiedzę większość jezior z mojej mapy, planuję narysować kilka wykresów. Zawsze jednak będą one bardziej artystyczne niż naukowe.

Byty nieoczywiste

Myśl tę rozwija na blogu, który prowadzi od kilku lat. Opisuje rzeczy, które robi w życiu po raz pierwszy. Jak pierwsza narysowana własnoręcznie mapa. „Bo chodzi tu o to, że ja jeżdżę sprawdzać, czy te profesjonalne mapy nie kłamią. Rewiduję te wody. Upewniam się, czy naprawdę istnieją, czy są jeziorem, czy rybnym stawem, czy są czyste, czy zimne, czy otoczone lasem, czy przepływają przez nie rzeki, czy koncertują tam ptaki, czy są tam dzikie plaże, czy śmieć tam rybacy, czy można by tam zostać na noc i nie spotkać nikogo, czy dopłynę wpływ na koniec jeziora”.

– Najfajniejsze są te, które mają czystą wodę, dużo drzew i mało ludzi. Ale nie daj się zwieść, bo to jest zbyt proste rozróżnienie. Czasami wystarczy słońce, zakątek, jedna zatoczka, skarpa, stare drzewo, mały pomost, kamień albo ptasi koncert, żeby poczuć się u jeziora jak na prywatnej audycji – mówi. A potem dodaje: – Bo jeziora są bardzo nieoczywiste.

Dlatego lubi zaludnione Jezioro Strzeszyńskie i zaśmiecone na brzegu jezioro w Uzarzewie. Lubi Jezioro Kamińskie z zejściem z lasu, „choć woda w nim bywa oleista, jak gdyby ktoś płucał milion puszek po szprotach. Jezioro Góra, choć na początku lata wyglądało jak gęsta zupa szczawiowa. Jezioro Stęszewskie, choć zrobiono tam dziwną, płatną plażę otoczoną nieprzyjaznym drucianym płotem. Jezioro Chomęcickie, choć w szycie sezonu śmierdzi tam pieczonymi kiełbasami. Jezioro Kowalskie, które jest nieprzyzwoicie brudne, ale przepiękne widokowo, więc można siedzieć na brzegu i się gapić godzinami”.

I jeszcze Jezioro Wronczyńskie Duże, choć jak się wsłuchać w ten jego wypełniony pluskami szep, okaże się on szumem aut na pobliskiej szosie z Pobiedzisk do Tuczna.

Przez chwilę milczymy, a mi przychodzi do głowy jeszcze jedno, z uwagi na okoliczności dość oczywiste pytanie: – Dopada cię czasem w tej wodzie, na środku jeziora, metafizyka?

– Nie zawsze to jest medytacja, ale zawsze znajduję czas na to, żeby po prostu poleżeć na wodzie. Zrelaksować się przy współdziale natury. A gdy płynę dostatecznie długo – najdłużej zdarzyło mi się płynąć bez przerwy trzy kilometry – to wpadam w rodzaj mantry. Dotykanie swoich granic przez wysiłek fizyczny to piękna sprawa. Z czasem ten wysiłek przestaje być problemem, a cudownie oczyszcza psychikę.

Coś w tym musi być, skoro podobne spostrzeżenie znajduję potem u Deakina: „Zanurzam się z ponurą twarzą człowieka, który wygląda jak w głębokiej depresji, a wychodzę z wody jako rozśpiewany idiota. Nagości i bezwładności w wodzie towarzyszą absolutna wolność i dzikość, które głęboko wiążą człowieka z miejscem kąpieli”.

Gdzie jest Noteć

Wracamy na brzeg – Daria prosto, ja okrężną drogą, podczas której spotykam jeszcze zaskrońca – żeby objąć jezioro jedynym spojrzeniem. Na kocu czekają kakao w termosie, kompot i jajka na twardo („Bez jajek na twardo nie jeździ się w dzikie” – pisała wcześniej Daria, wiedziałem więc, jak się przygotować). Ale żeby peregrynację uznać za zakończoną, musimy jeszcze zrobić zdjęcie. Formuła jest zawsze ta sama.

Daria zanurza się aż po czubek głowy, nad powierzchnię wystawiając jedynie przedramię. W dłoni trzyma tabliczkę. Wróżba jest ponura, ale – naukowcom należy wierzyć jak nikomu innemu – prawdziwa: „To jezioro też wyschnie”. Bilans wodny województwa wielkopolskiego jest od dawna ujemny, żeby nie powiedzieć: tragiczny. Lustro niektórych jezior Pojezierza Gnieźnieńskiego przez ostatnie 20 lat opadło o dwa metry, innych nawet o pięć. Winne są suche lata, ale też – a raczej przede wszystkim – działalność kopalni odkrywkowych w okolicach Konina. Jak donosił w czerwcu Greenpeace: Noteć, największy dopływ Warty, na odcinku 30 kilometrów po prostu wyschła. Podobne spostrzeżenia miał Filip Springer w opublikowanym w „Piśmie” reportażu: „Czasem woda jest, ale nie płynie; innym razem trudno ją dojrzeć w zarośniętym korycie, zdarza się, że na dnie jest jedynie piach. Oddalam się od odkrywek, a Noteci coraz mniej. To jeden z najrzadziej nawiedzanych przez deszcze regionów w Polsce”.

– Być może to pływanie jest jakąś moją własną odpowiedzią na klimatyczną katastrofę? – zastanawia się Daria. – Małą cegiełką. Walką o dzikość, którą jesteśmy winni naszej planecie? Robię te zdjęcia po każdym pływaniu, choć nie mam jeszcze pomysłu, co z tego wyniknie.

Ale tu i teraz, z perspektywy czy to żaby, czy sapiensa, wszystko jest po staremu. Bezpieczne i niewinne jak krople wody ściekające z nosa po wynurzeniu. Błotniste ciasto włoży między palce stóp, pięty drążą własne jeziora, a gęba się śmieje. Nie, to całe ciało się śmieje. Trudno wtedy myśleć o antropocenie, ociepleniu czy szóstym wymieraniu. Więc chyba jednak chodzi przede wszystkim o przeżycia.

– Z różnych powodów nad te jeziora rzadko jeżdżę sama, ale niezależnie od tego, ile jest ze mną osób, traktuję to wszystko bardzo osobiście – mówi Daria, spacerując wzrokiem po drugim brzegu. – Ten najpiękniejszy moment wydarza się zawsze gdzieś na środku jeziora, kiedy po wysiłku rozluźniam się i po prostu kładę na wodzie. Ona wpada mi w uszy, więc izoluje od dźwięków z zewnątrz i jednocześnie



ARCHIWUM PRYWATNE

DARIA MIELCARZEWICZ jest absolwentką teatrologii, fotografii artystycznej i grafiki. Od ponad sześciu lat prowadzi w Poznaniu Sklep z cytatami – ze swoimi projektami, w których łączy typografię, grafikę i literaturę.

zaprasza do siebie. Zapominam wtedy o tym, że czuję do niej respekt. Daje mi nagle poczucie bezpieczeństwa. To wspaniałe uczucie, głęboka i osobista integracja z naturą. Słyszę tylko wodę, więc i siebie, widzę niebo i wierzchołki drzew. Wiem, jak to może zabrzmieć, ale mam wrażenie, że właśnie tak może czuć się płód w brzuchu matki. Szkoda tylko, że nie widzi wtedy tych drzew...

Jak to było u D.H. Lawrence'a? „Woda to H₂O, dwa atomy wodoru, jeden tlenu, ale jest jeszcze trzecia rzecz, która czyni je wodą. Tylko nikt nie wie, co to”.

© ADAM ROBIŃSKI

STANISŁAW

Mancewicz: *Bukwa i flak*



RZECZ TĘ ZAPISALIŚMY TRZY DNI PRZED wyborami i w dniu ogłoszenia laureatów literackiego Nobla. Był to, rzecz trzeba, dzionek niesłychanego kociokwiku w mediach prowadzonych przez pracowników propagandy, ale i wśród czynni-

ków partyjno-rządowych. Można by tu długo, a łatwo się bawić tym stanem, rzecz jednak nie w tym, a w pewności, że już takie coś kiedyś widzieliśmy.

Jesteśmy bezwzględnie przeciwni infantylnym porównaniom dzisiejszości do przeszłości, ale zaiste numer „Trybuny Ludu” z dnia następnego po Noblu dla Wałęsy zreprodukował się na naszych oczach, w wersji elektronicznej. Wydanie ówczesnego dziennika telewizyjnego zostało – jak to się mówi – zremasterowane i puszczane w tych samych godzinach co tamto, wtedy. Kto nie widział tego cudu ponownego przyjścia, niechaj żałuje. Takie rzeczy, z taką dokładnością odwzorowania, zdarzają się w życiu rzadko albo w ogóle. Bukwa, którą się posłużono do napisania tekstów o literackim Noblu czy będąca literą wykrztuszonych z tej okazji komentarzy, miała tłustość i krój identyczny z oryginalnym, tzn. z tekstami o Noblu Wałęsy. Każda buzia była już widziana wtedy i teraz, każde słowo było słyszane i przeczytane, i powtórzone, okazja była taka sama – ogólnie więc komplet, a nawet nadkomplet.

Było coś w tym jeszcze, coś osobliwie zaskakującego, a mianowicie zerowa świadomość uczestnictwa w rekonstrukcji ludzi, którzy z rekonstrukcji uczynili prawdę histo-

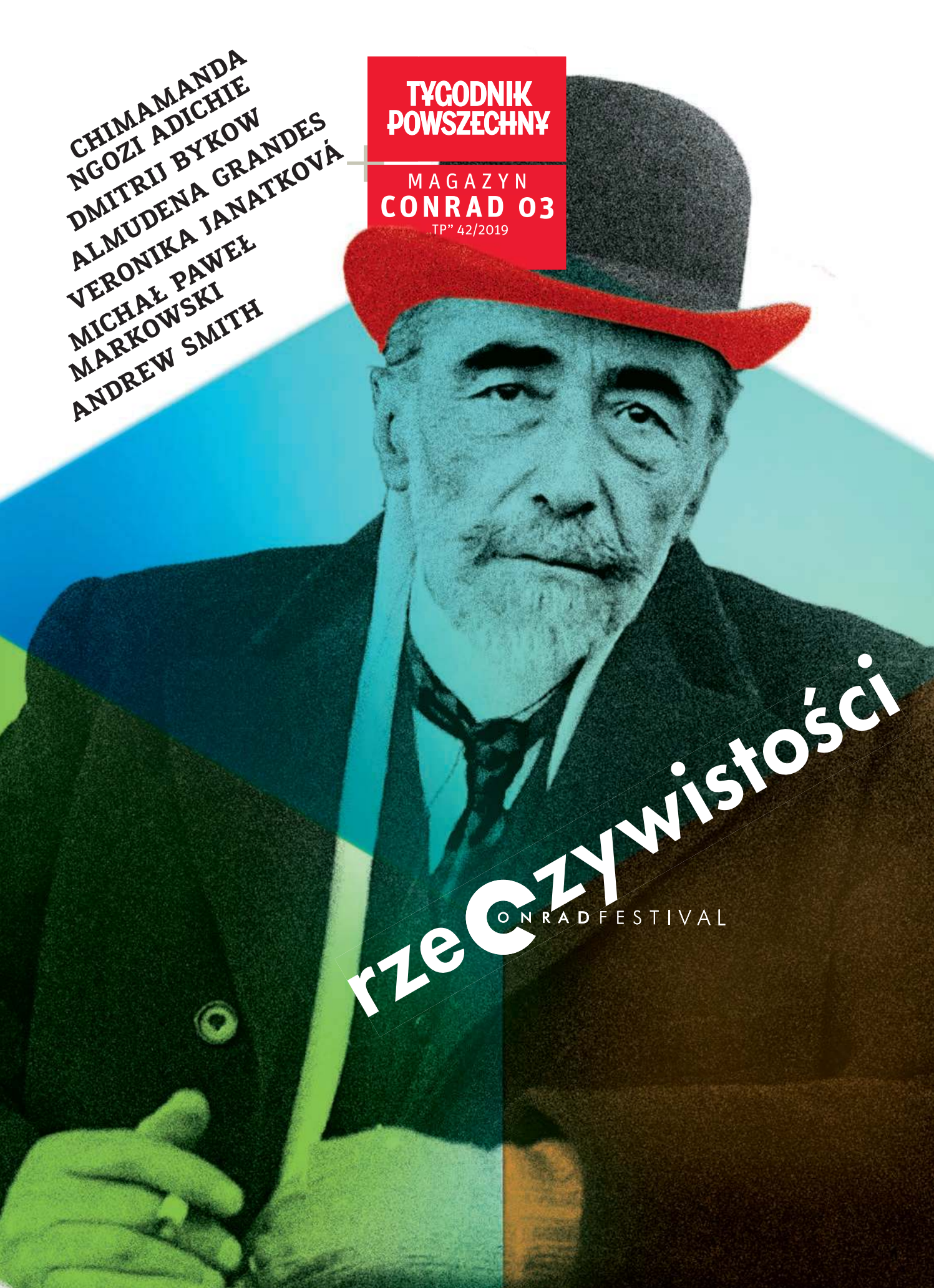
ryczną, zero świadomości remasteringu, pewność i uśmiech odkrywców rezolutnego uderzania w punkt, zadowolenie z własnej oryginalności i plastycznego wytłuszczania bukw. A więc – jako się rzekło – kociokwik plus osobliwe widowisko i osobliwe umysłowości. Nie może nam także umknąć osobliwość widzenia literatury jako transportera opancerzonego na frontach wojny ideologicznej, bądź barwnej planszy na przyspieszonym kursie doktryny politycznej. Słowem: dno.

Ten krótki opis i mała refleksja musi być nam też kanwą do dalszych rozważań na temat czasu. Pretekstem niechże będzie nieodległa – do wykonania jeszcze w tym miesiącu – konieczność ustawienia zegarków na nowo, czyli na zimowo. Robimy to od zawsze, ale ten raz będzie bodaj przedostatnim. Ludy Europy nie chcą już przesuwac wskazówek ani w tę stronę, ani w tamtą, a powodów tej niechęci jest mnóstwo. Polacy należą – co jakoś ciekawe – do największych na kontynencie przeciwników cofania i posuwania, i są zażartymi zwolennikami zarzucenia wszelkich manipulacji czasem. Widzimy tu – popatrzysz na lud ten z lotu ptaka – jakąś zasadniczą sprzeczność w odczuwaniu. Idzie nam o to, że z jednej strony widać marzenie o pełnej, niemal fizycznej potrzebie kontroli nad upływaniem czasu, a z drugiej przekonanie, czy może marzenie, by czas był jednak robiony z gumy i pod zamówienie. Mówiąc szczerze i bez histerii, przestawianie zegarków dwa razy w roku jest działaniem kosmetycznym, ma też w jakże ważnej dla człowieka sferze symboliki znaczenie małe, niemal niezauważalne. Cóż z tego, że dziś „czas cofamy”, a kiedy indziej „przyspieszamy”? Nic. Zdaje się zatem, że po zniesieniu cofań i przyspieszeń życie nie będzie jednak ani lepsze, ani gładsze, zwłaszcza – popatrzmy – że są to peryferie tutejszych zmagañ z czasem. Jednak pół narodu codziennie cofa czas niemal fizycznie, ciągnąc go zawzięcie za ręce, włosy i nogi, a reszta ciągnie go także wręcz i fizycznie w drugą stronę. Czasy w Polsce się nieustannie szturcha, naciąga lub obkurcza, pompuje albo flaczy – i zajmują się tym wszyscy, od rana do wieczora.

© P

BARTOSZ MINKIEWICZ





CHIMAMANDA
NGOZI ADICHIE
DMITRIJ BYKOW
ALMUDENA GRANDES
VERONIKA JANATKOVÁ
MICHAŁ PAWEŁ
MARKOWSKI
ANDREW SMITH

TYGODNIK
POWSZECHNY

MAGAZYN
CONRAD 03

TP" 42/2019

rzeCzywistości
ONRAD FESTIVAL

Festiwal Conrada 21 – 27 października 2019



GRZEGORZ JANKOWICZ

W jaki sposób dana nam jest rzeczywistość? W jaki sposób możemy ją uchwycić? Przede wszystkim za pomocą języka, który służy do nadawania jej sensu. Bezpośrednie doświadczenie świata, o ile w ogóle jest nam dostępne, wiąże się z odczuciem, z wrażeniem, które domaga się czegoś jeszcze, które potrzebuje rozwinięcia w postaci opowieści. Ta ostatnia jest źródłem znaczeń. Dzięki temu, że opowiadamy sobie historie, świat staje się dla nas zrozumiały. Ze zrozumiałością zaś wiążemy uczucie bezpieczeństwa. Świat wypełniony sensem jawi nam się jako gościnny i otwarty. Ale nie zawsze tak jest. Fakt, że potrafimy zrozumieć rzeczywistość, w której na co dzień egzystujemy, nie gwarantuje komfortu. Bywa i tak, że musimy ją zmienić, zaważać o jej inny kształt, aby lepiej żyć. Póki nie zrozumiemy, czym ona jest, póki nie spojrzymy na nią przez pryzmat opowieści, taka zmiana nie będzie możliwa.

Znaleźliśmy się dziś w sytuacji, w której bardzo trudno przychodzi nam uzgodnienie wspólnego sensu rzeczywistości. Nie jest to jednak sens, jest to prawda, obowiązująca zawsze i wszędzie, lecz wspólna prawda, która rodzi się w efekcie zbiorowego wysiłku interpretacyjnego i rozmowy. Wszyscy mówią, nikt nie słucha. Wszyscy piszą, nikt nie czyta. Reagujemy na impulsy, medialne doniesienia, skrawki informacji, które fruwają w przestrzeni komunikacyjnej. Wysyłamy własne przekazy, nie zastanawiając się, czy zostały zrozumiane, lecz sprawdzając, jaki jest zasięg ich oddziaływania, czyli do jak wielkiej grupy odbiorców mogą potencjalnie dotrzeć. Przy czym „dotrzeć” nie oznacza tutaj zrozumienia, nie ma nic wspólnego ze świadomością i refleksją. Chodzi wyłącznie o fakt statystyczny.

Nie znaczy to jednak, że narzędzia, za pomocą których można wynegocjować wspólny sens rzeczywistości, nie istnieją, że jesteśmy na straconej pozycji. Literatura wciąż może nam w tym pomóc, gdyż spośród wszystkich języków, jakimi dysponujemy, właśnie ona najlepiej się do tego nadaje, niezależnie od miejsca i czasu, od warunków politycznych i skali ideologicznych nacisków. Można zacząć w każdej chwili, w dowolnym miejscu, np. w Krakowie, na Festiwalu Conrada, między 21 a 27 października, na jednym z blisko stu wydarzeń, które przygotowaliśmy. ©©

GRZEGORZ JANKOWICZ
DYREKTOR PROGRAMOWY
FESTIWALU CONRADA

W NUMERZE



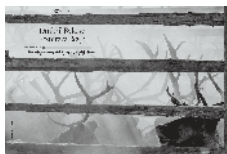
93

OLIWIA FRYC
Nigdy nie ma
tylko jednej historii



97

MICHAŁ PAWEŁ MARKOWSKI
Wartości kryją ziemię



IO2

GRZEGORZ PRZEBINDA
Dmitrij Bykow
rozmraża Rosję



IO7

ALMUDENA GRANDES
Ktoś musi opowiedzieć
naszą historię



III

KRZYSZTOF ŻWIRSKI
Brodząc w książecowym pyłe

Redakcja
Grzegorz Jankowicz
Okładka
Marek Zalejski
/ FOTO HULTON ARCHIVE / GETTY IMAGES
Skład
Artur Strzelecki
Fotoedycja
Grażyna Makara,
Edward Augustyn

Organizatorzy:


www.conradfestival.com

Zespół Festiwalu Conrada:
Dyrektor artystyczny
– Michał Paweł Markowski
Dyrektor programowy
– Grzegorz Jankowicz
Menedżer Festiwalu
– Urszula Chwałba

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Nigdy nie ma tylko jednej historii

OLIWIA FRYC

Według Chimamandy Ngozi Adichie literatura opowiada o światach – istniejących i wyobrażonych. Te ostatnie będziemy mogli powołać do istnienia, o ile potraktujemy poważnie przecinającą się z naszym życiem opowieść.

O powiadam historie” – tak rozpoczęła swój wykład na konferencji TEDx w 2009 r. Skromnie, jak na autorkę dwóch dobrze przyjętych i nagradzanych powieści oraz zbioru opowiadań. Głos trzydziesto-dwulatki załamywał się, a publiczność początkowo nie reagowała na jej żarty. Trwało to jednak tylko chwilę. Gdy uporała się z treścią, bez trudu nawiązała kontakt ze słuchaczami, którzy jej wykład za tytułowany „Niebezpieczeństwa jednej historii” nagrodzili owacjami na stojąco. To był przełomowy moment dla jej literackiej kariery. Dziełem, które przyniosło jej rozgłos, była powieść „Amerykana” o nigeryjskich emigrantach w USA, wydana w 2013 r. Potem opublikowała dwa feministyczne eseje, które wpisały się w ruch #MeToo. Te trzy książki były przepustką do anglosaskiego mainstreamu i kanonu najważniejszych amerykańskich pisarzy współczesnych.

Jej profil instagramowy pokazuje, jak bardzo jest popularna. Sesja okładkowa dla numeru brytyjskiego „Vogue’a” o najbardziej wpływowych aktywistkach społecznych. Ceremonia przyznania kolejnego tytułu *honoris causa*, tym razem na Uniwersytecie Yale. Pokaz mody domu Dior w Paryżu. Targi książki w Szanghaju. Spotkanie autorskie na uniwersytecie w rodzinnym Lagos. Okładka „Elle”. Wykład na Harvardzie. Dyskusja z Hillary Clinton. Wywiad w CNN. Zdjęcie z targu w nigeryjskiej Abie.

Adichie zabiera głos nie tylko jako pisarka, lecz również jako aktywistka spo-

łeczna, komentatorka bieżących wydarzeń społecznych i politycznych, autorytet w kwestii praw kobiet, a nawet jako ambasadorka nigeryjskich projektantów mody. Doskonale zdaje sobie sprawę z siły medialnego przekazu i świadomie wykorzystuje go do budowy wizerunku kobiety sukcesu.

Urodziła się w Enugu w Nigerii, wychowała w pięciomilionowym Nsukka. Ojciec wykładał statystykę na uniwersytecie, matka pracowała w administracji. Odkąd pamięta, nie miała problemu z wypowiadaniem własnych opinii („powinni uczyć tego w szkołach”), od zawsze też pisała. Zanim jednak znalazła własną dykcję, powielala schematy z czytanych książek – bohaterowie mieli jasną skórę i blond włosy, jedli jabłka, pili imbirowe piwo i rozmawiali o pogodzie. Ratunkiem okazały się niedoceniane przez nią wcześniej afrykańskie powieści. Nauczyła się z nich, że dobra literatura wypływa z bezpośredniego doświadczenia świata. Później poszła na studia medyczne, które jednak porzuciła i przeprowadziła się do Stanów Zjednoczonych. Zadebiutowała powieścią „Fioletowy hibiskus” – o granicy między wiarą a fanatyzmem i o przemocy obecnej w życiu dobrze sytuowanych nigeryjskich rodzin.

Tutaj jest po prostu inaczej

Według badań przeprowadzonych przez panafrkański Afrobarometer w 2018 r. co trzeci mieszkaniec Nigerii rozważa emigrację, a 12 proc. społeczeństwa decy-

duje się na opuszczenie kraju. To głównie ludzie młodzi lub w średnim wieku – wykształceni, mieszkający w miastach. Czego szukają zagranicą? Troje z czworga badanych odpowiada jednoznacznie: chcą emigrować z powodów ekonomicznych, ale też po to, by zwiększyć szanse na awans społeczny, zdobyć lepsze wykształcenie, uciec przed letargiem.

Pierwszy kierunek to niezmiennie Stany Zjednoczone, na drugim miejscu jest Europa. „Należymy do Trzeciego Świata, a ludzie z Trzeciego Świata patrzą do przodu, my lubimy, żeby rzeczy były nowe, bo to, co najlepsze, wciąż jeszcze mamy przed sobą” – mówi jeden z bohaterów „Amerykaany”, w której różne aspekty afrykańskiej emigracji do USA obserwujemy oczami dorastającej Ifemelu. Ta trzecia powieść Adichie jest historią niezwykle osobistą, w której możemy odnaleźć echa życiorysu autorki. Los nastolatki splota się z życiowymi doświadczeniami 17-letniej Adichie, powtarzają się nawet te same przystanki na mapie: Filadelfia, Baltimore, Brooklyn.

Dla bohaterów „Amerykaany” Stany Zjednoczone są obietnicą lepszego życia. Określenie „wyglądasz jak czarna Amerykanka” stanowi dla wielu największy komplement, amerykańskie filmy, czasopisma i programy telewizyjne są najważniejszym punktem odniesienia, a Manhattan to spełnienie marzeń.

Konfrontacja wyobrażeń z rzeczywistością okazuje się jednak bolesna: „Kochani nieamerykańscy czarni, kiedy postanowicie przyjechać do Ameryki, stajecie

→ się czarni” – pisze na swoim blogu Ifemelu, która, zaszukana jako ta „etniczna” czy „naturalna”, zderza się ze ścianą stereotypów. Kuriozalne wydają się jej rozmowy ze współlokalkami, które nie mogą uwierzyć, że nie słucha plemiennej muzyki, lecz Mariah Carey. Na nic zdają się tłumaczenia, że w Nigerii naprawdę mówi się po angielsku.

Ignorancja współlokatek jest tylko jednym z problemów. Inny to zachowanie pracodawczyni Ifemelu, która bezrefleksyjnie chwali wszystko, co afrykańskie, uważając, że każda czarnoskóra kobieta jest piękna. Jeszcze inny – związek Ifemelu z białym, przystojnym i bajeecznie bogatym mężczyzną, który musi nieustannie udowadniać, że jego relacja z czarnoskórą kobietą nie jest pomyłką, lecz świadomym wyborem. Nie wspominając już o sprawach tak banalnych, jak prostowanie długich, poskręcanych włosów przed rozmowami kwalifikacyjnymi – tylko po to, by wyglądać w oczach (białych) rozmówców na bardziej profesjonalną.

Adichie na każdym kroku tropi przejawy dziwnego stosunku białych Amerykanów do czarnoskórych. Kpi z amerykańskiej prowincjonalności, niezręczności liberałów i ich przesadnie afirmatywnego stosunku do wszystkiego, co afrykańskie. Wskazuje też szereg przemocowych praktyk społecznych i uprzedzeń, które ustawiają ludzi w zdefiniowanej pozycji – osób gorszych czy „z trudnego środowiska”.

Jej bohaterowie zderzają się z tym, co sama nazwała w wykładzie dla TEDx *a single story* – ryzykiem zamknięcia się w jednostronnej, stereotypowej opowieści o kraju, osobie czy kulturze. Tak jak „jedną historią” Meksykanów jest nielegalna emigracja, podobnie „jedną historią” Afryki jest ubóstwo czy AIDS. To także rasa – bycie postrzeganym w kontekście koloru skóry, który determinuje całokształt odbioru osoby. Adichie nie pisze jednak o tym najbardziej oczywistym rodzaju rasizmu, który ma twarz stereotypowego białego konserwatysty z tzw. Pasa Rdzy, lecz raczej o rasizmie strukturalnym, równie przemocowym, ale mniej widocznym, który przenika instytucje władzy, ideologie i skodyfikowane praktyki społeczne. Ustami bohaterów przypomina, że przemoc rasowa nie rozpoczyna się od nazwania kogoś czarnym, lecz raczej od potraktowania koloru

■ CHIMAMANDA NGOZI ADICHIE:

Jestem feministką,
ponieważ chcę żyć
na świecie, który jest
bardziej sprawiedliwy.
Jestem feministką,
ponieważ chcę żyć
na świecie, w którym
kobiecie nie mówi się,
co może, czego nie może,
co powinna, a czego
nie powinna dlatego,
że jest kobietą. Chcę żyć
na świecie, w którym
mężczyźni i kobiety są
szczęśliwsi i szczęśliwsze.

skóry jako czegoś problematycznego, i że przywilej rasowy białego człowieka istnieje nadal.

„Amerykaana” rozpoczyna się od końca: podsumowaniem kilkunastu lat spędzonych w Stanach. To zwierzenia dorosłej kobiety, która rozumie wreszcie, że nie będąc u siebie, nigdy nie stanie się w pełni sobą. Powodowana tęsknotą za domem, kulturą i zrozumieniem, Ifemelu powraca do Nigerii. Historia tej niezwykle silnej, pewnej siebie bohaterki urywa się, pozostawiając nas bez odpowiedzi na pytanie, czy można ułożyć sobie życie na nowo, będąc już częściowo „Amerykaaną” – Nigeryjką, która przejęła amerykański styl życia. Jej kontynuacją jest życiorys samej Adichie. Stany są dla niej domem zbyt ciasnym, w Nigerii zbyt wiele jej brakuje, więc dzieli czas pomiędzy oba kraje, jak tysiące emigrantów. Tym jednak, co ją wyróżnia, jest umiejętność czerpania siły z rozdwojenia, z różnorodności perspektyw. Jej przewaga wynika z dystansu, którym obdarowała rów-

niez Ifemelu – z płynnego poruszania się w obrębie kultury amerykańskiej i jednocześnie krytycznego na nią spojrzenia.

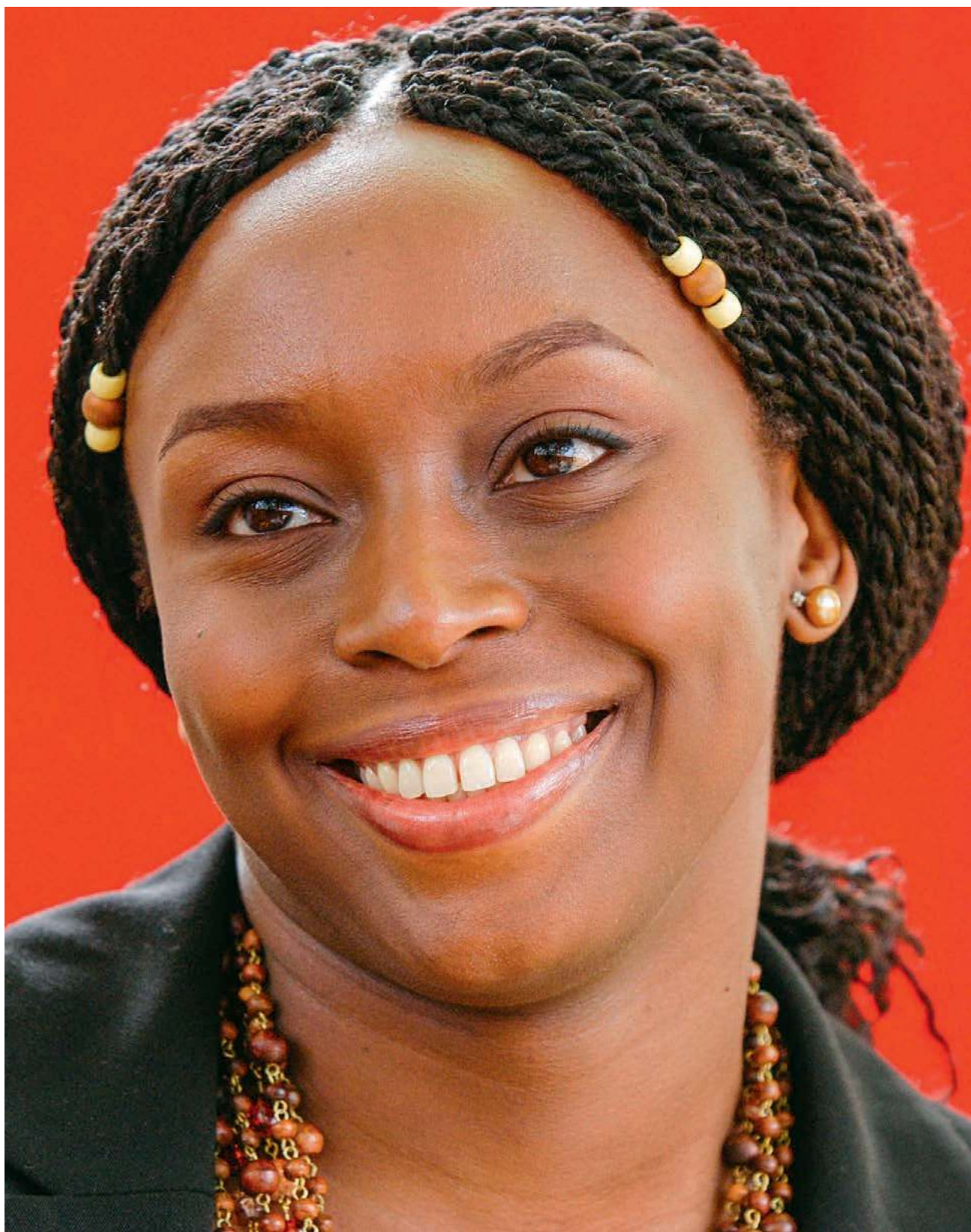
Świat milczał, kiedyś umierali

Czerwień reprezentuje krew poległych, czerń – żałobę po nich. Zielen przypomina obietnicę dobrobytu, a wschodzące słońce nadzieję na lepszą przyszłość. „Jeśli słońce nie zechce wstać, zmusimy je, żeby wstało” – mówi jeden z bohaterów „Połówki złotego słońca”, który obok tysięcy innych cywilów walczy pod barwami flagi białfrńskiej.

W drugiej powieści Adichie opisuje losy Nigerii końca lat 60., kiedy podzielony kraj wykrwawiał się w wojnie domowej. Tę niezwykle bliską jej historię, osobistą opowieść o rozerwanej ojczyźnie, chciała napisać już parę lat wcześniej, ale nie potrafiła uciec od sentymentalizmu i przeestetyzowanej rozpacz. Musiała ją odłożyć i wyjechać daleko, do uniwersyteckiej miasteczka w Stanach.

W powieści walka o niepodległą Republikę Biafry zamieszkałą przez Ibów, która trwała trzy lata i pochłonęła blisko milion ofiar, wkracza brutalnie w spokojne życie grupy przyjaciół i rodziny z nigeryjskiej klasy średniej, niszcząc na zawsze łączące ich więzi. Nie jest to jednak książka wojenna – Adichie skupia się w niej przede wszystkim na relacjach międzyludzkich, dla których krwawa walka o niepodległość jest raczej kontekstem i punktem odniesienia. Jednocześnie stawia bohaterów w sytuacjach krytycznych, pokazując, co wojna i głód, ale także nadzieja, duma i honor potrafią z nich wydobyć. Rozprawia się z pokawałkowaną, wciąż nieprzepracowaną pamięcią o czasach Biafry, krainy wschodzącego słońca, domu dla ludu Ibo (Igbo), który nie mogą znaleźć sobie miejsca w nigeryjskim społeczeństwie, postanowił zbudować własny świat.

Opowieść o Biafrze to także opowieść o nienawiści wobec mniejszości – tym razem nie rasowej, lecz etnicznej. Jej źródła należy szukać w czasach kolonialnych, kiedy działalność białych wzmocniła plemienne konflikty. Zgodnie z polityką „dziel i rządź” rozgrywano różnice między Północą i Południem, między społecznościami Ibo oraz Hausa i Joruba, by łatwiej zarządzać całym regionem. To właśnie nierówności społeczne i ekonomiczne, a także marginalizacja



PASCAL SAEZ / WRITER PICTURES / BEW

CHIMAMANDA NGOZI ADICHIE jest nigeryjską prozaiczką i dramatopisarką. Absolwentka Uniwersytetu Johna Hopkinsa w Baltimore i Uniwersytetu Yale, zadebiutowała w 2003 r. powieścią „Fioletowy hibiskus”. Za następną książkę, „Połówkę żółtego słońca” (2006), otrzymała Orange Prize, a jej „Amerykaana” (2013) została nagrodzona National Book Critics Circle Award i znalazła się wśród dziesięciu najlepszych książek roku według „New York Timesa”. Wydała także zbiór opowiadań „To coś na twojej szyi” (2009) oraz dramat „For Love of Biafra” (1998). Jej teksty były tłumaczone na ponad trzydzieści języków i ukazywały się w takich czasopismach, jak „New Yorker”, „Granta” czy „Financial Times”. Jej ostatnia książka to „Dear Ijeawele, or a Feminist Manifesto in Fifteen Suggestions” (2017).

→ przedstawicieli Ibo w życiu politycznym niepodległej już Nigerii stały się zarzewiem krwawej wojny.

Adichie przypomina również, że Biafra to haniebnny rozdział w historii świata zachodniego, który odwracał oczy od wstrząsających realiów wojny domowej. Narzędziem do zduszenia buntu Ibów stał się bowiem dla nigeryjskiego rządu głód, a jego najliczniejszymi ofiarami były dzieci. Biafrę uznano później za miejsce najpoważniejszego kryzysu humanitarnego od czasów II wojny światowej.

„Połówka...”, opowieść o śmierci i przetrwaniu z historią miłosną w tle, została utkana z prawdziwych wspomnień, także tych snutych w rodzinie autorki. „Wojna jest bardzo brzydka” – zwykł mawiać ojciec Adichie, uczestnik walk o Biafrę. Rodzinna pamięć o wojnie i o śmierci dziadków w obozie dla uchodźców naznaczyła również jej życie. Adichie postanowiła ożywić przerwane historie ludzkich istnień. Chciała, by pamięć o tragedii Ibów przetrwała – zamierzenie o tyle istotne, że ten temat wciąż nie został w Nigerii przepracowany, o czym świadczą niechęć reszty społeczeństwa wobec Ibów i stereotypizacja członków tej mniejszości.

W „Amerykaanie” padają znamienne słowa: „Człowiek z Hausa będzie rozmawiał w hausa ze swoim pobratymcem Hausa. Joruba spotka gdzieś innego Jorubę i będzie z nim rozmawiał w joruba. Ale Igbo do drugiego Igbo mówi tylko po angielsku. (...) To smutne, ale jesteście ludźmi pokonanymi. Przegraliśmy wojnę o Biafrę i nauczyliśmy się wstydić”. Adichie stara się przywrócić godność bojownikom o Biafrę. Obok Chinuy Achebe, innego wybitnego anglojęzycznego pisarza nigeryjskiego, jest największą adwokatką historii i kultury Ibów.

„Amerykaana” – jak mówi sama autorka – jest czymś w rodzaju *fuck-you book*, w której obśmiewa i krytykuje fałszywą polityczną poprawność, naiwny optymizm, hipokryzję i rasizm, opisując Stany Zjednoczone z perspektywy quasi-kolonialnej, tak jak Zachód zwykł robić z Afryką. „Połówka żółtego słońca” to polifoniczny list miłosny do rodzinnego kraju, a w szczególności do Igbolandu. Podobnie jak w pozostałych powieściach, również w tej rezygnuje z wszelkich nadmiarowych zabiegów formalnych czy stylistycznych. Najważniejsi są dla niej bohaterowie. Opowiada o krwawej hi-

■ Adichie nie pisze o najbardziej oczywistym z rodzajów rasizmu, który ma twarz stereotypowego białego konserwatysty z tzw. Pasa Rdzy, lecz raczej o rasizmie strukturalnym, równie przemocowym, ale mniej widocznym, który przenika instytucje władzy, ideologie i skodyfikowane praktyki społeczne.

storii kraju, o pomijanych imigrantów, o przemocy wobec kobiet, o ich sile, o słabościach mężczyzn i słabościach kobiet.

Wszyscy powinniśmy być feministami

Literacki dorobek Adichie to dzisiaj sześć książek, ale do jej popularności przyczynia się też rozległa aktywność medialna i społeczna. Dzieła nigeryjskiej pisarki znajdują się na listach najważniejszych lektur według „Timesa”, „New Yorkera” czy „Guardiana”, a równocześnie polecają je prezenterki z telewizji śniadaniowej w NBC i gospodynie domowe.

Beyoncé w utworze „Flawless” wykorzystwała fragment wykładu Adichie „Wszyscy powinniśmy być feministami”; ten sam wykład okazał się bestsellerem w Szwecji, gdzie rozdano go wszystkim 16-latkom w liceach. Adichie żartuje w wywiadach, że ma kompleks mesjasza, bo marzy jej się świat równych szans i równego traktowania. I choć misyjność jej działalności feministycznej wydaje się niepodważalna, równocześnie stała się krokiem milowym na jej drodze do mainstreamu.

„Jestem feministką, ponieważ chcę żyć na świecie, który jest bardziej sprawiedliwy. Jestem feministką, ponieważ

chcę żyć na świecie, w którym kobiecie nie mówi się, co może, czego nie może, co powinna, a czego nie powinna dlatego, że jest kobietą. Chcę żyć na świecie, w którym mężczyźni i kobiety są szczęśliwsi i szczęśliwsze. Na którym nie są ograniczani i ograniczane przez role płciowe. Chcę żyć na świecie, w którym kobiety i mężczyźni są sobie prawdziwie równi” – pisze w swojej ostatniej książce. Skąd bierze się tak wielka popularność jej tez? Złośliwy powiedziałby, że z wtórności, zwolennik – że z prostoty.

Rzeczywiście – jej teksty feministyczne nie wydają się niczym nowym, jeśli weźmiemy pod uwagę przekaz płynący od uczestniczek i uczestników wszystkich debat równościowych, które odbyły się w ostatnich latach. Z drugiej jednak strony feministyczne manifesty Adichie, tak jak wszystkie jej książki, są niezwykle wyważone i celne. Przypominają chociażby o tym, że aby stworzyć szczęśliwszy świat dla mężczyzn i kobiet, musimy zacząć od zmiany sposobu wychowywania dzieci – dziewczynek i chłopców. Dziewczynek, by pamiętały o swoich potrzebach i nie rezygnowały z nich na rzecz drugiej płci, i chłopców, aby pamiętali, że męskość – ta ciasna klatka, w której ich umieszczamy – nie jest definiowana przez siłę, brak strachu czy słabości. Takiej edukacji nigdy dość.

„Ikona feminizmu” – piszą o niej w zagranicznych periodykach. Sama mówi, że jej działalność społeczna bierze się z głębokiego poczucia niezadowolenia i z przekonania o szkodliwości istniejących różnic w wychowaniu i traktowaniu dziewczynek i chłopców. Źródło jej pisarstwa bije jednak gdzie indziej. Literatura ma zdaniem Adichie nieść prawdę, opowiadać o rzeczywistościach, które już istnieją, i tych, które dopiero możemy stworzyć. Jest dla niej pierwszym etapem urzeczywistnienia feministycznych idei. Jest miejscem, w którym idee przecinają się z życiem.

© OLIVIA FRYC

Spotkanie z **CHIMAMANDĄ NGOZI ADICHIE**, którego tematem będą granice wolności oraz udział literatury w jej zagwarantowaniu ludziom żyjącym w zglobalizowanym świecie, odbędzie się w sobotę, 26 października, a poprowadzi je Grzegorz Jankowicz.



ROBERT ŚLUSZNIK / CONRAD FESTIVAL

Michał Paweł Markowski, Kraków, Festiwal Conrada 2018 r.

Wartości kryją ziemię

MICHAŁ PAWEŁ MARKOWSKI:

Dlaczego świat się podzielił? Dlaczego każdy uważa, że ma rację, skoro logika podpowiada, że tak być nie może? Dlaczego ktoś może bez trudu przeinaczać fakty i twierdzić, że mówi prawdę? To nie są pytania, na które może odpowiedzieć polityk.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Co się stało, że literaturoznawca napisał książkę o polityce?

MICHAŁ PAWEŁ MARKOWSKI: Zna pan tę sportową śpiewkę, która wybucha, kiedy polska reprezentacja dostaje po głowie? „Polacy, nic się nie stało”. Otóż stało się przez ostatnie lata w naszym życiu bardzo dużo. Polityka zamieniła się w sprawę nas wszystkich, niezależnie od tego, kto czym się zajmuje. Rzekłbym, że na tym właśnie polega gwałtowna demokratyzacja współczesnej polityki: nie na

tym jeszcze, że wszyscy żyjemy w demokratycznych państwach (bo tak nie jest), albo że bardziej szanujemy demokratyczne procedury władzy (jest raczej odwrotnie), ale na tym, że coraz mniej ludzi może powiedzieć, że polityka ich nie obchodzi, że nie jest częścią ich życia. Jest. I to bardzo.

Hegel przychodzi nam z pomocą?

Jeśli cytuję dziś Hegla, to nie po to, by, jak dawniej, uzasadnić fundamentalną rolę, jaka przypada humanistyce w spo-

łeczeństwach nowoczesnych, lecz aby pokazać źródła nowoczesnych wojen kulturowych. Bez zrozumienia ich logiki to, co się dzieje dziś w polityce, jest trudne do zrozumienia. Dlaczego świat się podzielił? Dlaczego ludzie nie mogą się porozumieć? Dlaczego każdy uważa, że ma rację, skoro logika podpowiada, że tak być nie może? Dlaczego ktoś może bez najmniejszego trudu przeinaczać fakty i twierdzić, że mówi prawdę? Czym jest rzeczywistość, o której słyszymy, że trzeba ją zmienić, żeby było lepiej? To nie →

→ są pytania, na które może odpowiedzieć polityk. Polityk takimi pytaniami się nie zajmuje z zasady. Kto więc może? Kto powinien? Ktoś spoza bieżącej polityki, kto nie tylko nie będzie stronił od analizy wydarzeń politycznych, ale ośmieli się zadać pytania fundamentalne. Co to jest prawda? Co to jest wartość? Co to jest rzeczywistość? Niech czytelnika nie zwieździe to, że cytuję CNN albo TVP. Pisząc tę książkę, uświadomiłem sobie, że nie ruszymy z miejsca, jeśli nie postawimy niektórych kwestii na ostrzu noża. Kto chce zmieniać rzeczywistość, nie wiedząc, czym ona jest, pakuje się w nierozwiązywalne kłopoty.

Pełna zgoda, ale czy to nie jest przekonywanie przekonanych?

Przekonanych do czego? Do tego, że pisowcy w Polsce, a Republikanie w Ameryce są gorsi? Koalicjanci w Polsce, a Demokraci w Ameryce lepsi? Albo odwrotnie? Rzec w tym, że wszyscy mówią o wojnie kulturowej, jakby oczywiste było, że tylko jedna strona ma w niej rację. Główna teza mojej książki głosi, że jeśli w wojnie uczestniczą dwie strony, walcząc o swoje wartości i swoje pryncypia, to obie grupy mają swoje ku temu racje, a my tylko opowiadamy się po jednej ze stron, w zależności od tego, z którymi ludźmi chcielibyśmy nasze życie spędzać.

Chodziłoby o przekroczenie horyzontu naszych wartości?

Kiedy mówimy o wartościach, to ważne, żeby nasze były górą, więcej – nie chcemy uznać wartości naszych przeciwników i zwykle oskarżamy ich o nihilizm. Od kiedy mówi się o wartościach w polityce, czyli z grubsza od stu lat, polityka stała się sceną nierozwiązywalnych konfliktów. Każdy dziś o wartościach – niezależnie od orientacji politycznej – gada. To prawdziwa plaga: wszyscy mówią, że muszą bronić prawdziwych wartości, czyli tych, które sami wyznają. Unia Europejska flekuje Węgrów, mimo że oni też opowiadają się za wartościami, tyle że nie tymi, które wylicza Donald Tusk. Mówimy: „muszą zwyciężyć wartości”, ale zaraz dodajemy: „byłoby tylko były nasze”. To właśnie z tego powodu toczy się wojna wszystkich ze wszystkimi. Wojna, która będzie trwała tak długo, jak długo fetyszyzować się będzie wartości. Tymczasem nikt nie chce się wychylić i pod-



dać tego fetyszizmu krytyce, bo wie, że natychmiast zostanie oskarżony o nihilizm. To jest, niestety, dziedzictwo polskiej opozycji.

W Polsce straszenie nihilizmem jest w modzie od dawna.

W niezwykle ważnej książce „Kościół. Lewica. Dialog” z 1977 r. Adam Michnik sformułował główny dylemat intelektualny opozycji jako wybór między integryzmem i nihilizmem, z czego wzięło się szerokie poparcie dla Kościoła katolickiego. Bo kto nie poparł Kościoła, musiał być nihilistą. A tego przecież nikt nie

chciał. Tak zostaliśmy wmanewrowani w zabójczą dychotomię, na której skorzystał jedynie Kościół. To samo mówił Wojtyła: „prawda was wyzwoli”, ale zaraz dodawał: „tylko Chrystus jest prawdą, a prezerwatywy są po stronie cywilizacji śmierci”. No, ale o tym za głośno mówić nie trzeba, bo przecież tylu wspaniałych księży mamy i nie wszyscy to pedofile! Tymczasem chodzi raczej o poważną dyskusję intelektualną, która wykazałaby, że istnieje ścisła więź między wyborem proponowanym przez Michnika w latach 70. i dzisiejszym poparciem Kościoła dla populistycznej polityki PiS-u.



CHRISTOPHER FURLONG / GETTY IMAGES

Czy Grzegorz Schetyna powinien przeczytać Pana książkę?

Widzi pan, to w ogóle nie tak. Kto myśli w kategoriach władza-opozycja, nie będzie wiedział, co z tą książką zrobić. Nie opowiadam się po żadnej ze stron. Uznaję wręcz, że spór konserwy z liberałami jest bezsensowny z punktu widzenia zmiany rzeczywistości, bo blokuje prawdziwą demokratyzację społeczeństwa, czyli poszerzanie udziału coraz to większych grup ludzi w życiu publicznym. Mnie interesują ci, którzy jeszcze nie wiedzą, na którą partię zagłosować. A chcą się dowiedzieć, czym powinni się kierować w swoim wy-

borze. Więc ja im mówię: nie głosujcie na partię, czy to konserwatywną, czy to lewicową, czy liberalną, która wyciera sobie gębę wartościami, bo do niczego dobrego to nie prowadzi. To samo mówię politykom, czy to z lewa, czy z prawa, czy ze środka. Zostawcie wartości w spokoju, zajmijcie się usprawnianiem społeczeństwa, a nie szukaniem wrogów. Rzecz jednak w tym, że ludzie, jak to pokazują wszystkie badania z zakresu psychologii społecznej, przedkładają rację swojej grupy nad rację bardziej powszechne. Cóż, łatwiej antagonizować, niż myśleć. Dlatego Schetyna tej książki nie prze-

■ Na tym właśnie polega gwałtowna demokratyzacja współczesnej polityki: nie na tym jeszcze, że wszyscy żyjemy w demokratycznych państwach (bo tak nie jest), albo że bardziej szanujemy demokratyczne procedury władzy (jest raczej odwrotnie), ale na tym, że coraz mniej ludzi może powiedzieć, że polityka ich nie obchodzi.

czyta, podobnie jak nie przeczyta jej żaden pisowiec.

W książce postuluje Pan, że jedynym sposobem na zażegnanie wojny nowoczesnych plemion jest zwrot ku interpretacji. Na czym ma to polegać?

Zanik umiejętności interpretowania jest być może dziś największym kłopotem cywilizacyjnym, rodzącym ogromne problemy polityczne. Każdy może mieć opinię na dowolny temat, to jasne. Tyle tylko, że taka opinia, kiedy dochodzi do wymiany argumentów, zamyka jakąkolwiek dyskusję. Ty uważasz tak, ja uważam inaczej. I tak w nieskończoność. Jednocześnie, i tu jest pies pogrzebany, każdy, kto tak mówi, uważa, że ma rację. Każdy chce, żeby to jego opinia była górą, a opinia jego przeciwnika – dołem. Tymczasem interpretacja to zgoda na to, że wspólnie do czegoś dojdziemy, mimo że wychodzimy z różnych przesłanek, przesądów, opinii. Że uznamy jakieś zdanie na temat rzeczywistości za prawdziwe, a inne za fałszywe, że są jakieś kryteria, co do przestrzegania których się zgodzimy, by ktoś powiedział: „To prawda”.

W tym sensie ludzie dzielą się na tych, którzy uważają, że do prawdy dojdą nie sposób, i takich – jak ja – którzy uważają, ↗

→ że to możliwe, o ile przestrzega się pewnych reguł. Niestety, zawsze znajdzie się ktoś, kto będzie przekonywał, że to, co dla jednych jest prawdziwe, dla niego będzie fałszywe, a reguły są stroniczne. Na to – niestety – nie ma rady. Nie ma w życiu społecznym żadnych zabezpieczeń przed forsowaniem opinii jako sądu prawdziwego i nie ma żadnych zabezpieczeń przed deprecjonowaniem prawdy. Na tym polega ciemna strona demokracji, która jednak trzyma wszystkich w ryzach – tak długo, jak długo strony wojny kulturowej nie użyją przemocy i nie rozpoczną wojny domowej.

Współczesna agora przeniosła się już na dobre do internetu, a to przestrzeń, w której nietatwo wypracować wspólną interpretację.

Internet zamiast pogłębiać relacje międzyludzkie, zredukował je do jednostronnego przepływu emocjonalnych energii. Dlatego nie ma tam miejsca na interpretację. Wystarczy poczytać komentarze pod jakimkolwiek artykułem albo rozmową, by zobaczyć, że prawie wszystkim zależy jedynie na wypowiedzeniu własnej opinii. Nowe media opierają się na przymusie bezpośredniości: każdy siedzi z komórką w ręce i czeka na natychmiastowy przekaz ze świata, żeby tylko zagłuszyć samotność. A kiedy tej zwrotnej wiadomości nie dostaje, wpada we frustrację. Dawniej chodziło o prędkość i przyspieszenie, teraz chodzi o eliminację jakiegokolwiek zwłoki.

To internet, który z użytecznego narzędzia zdobywania wiedzy zmienił się w dostarczyciela momentalnej rokoszy, odpowiedzialny jest za najpoważniejsze przesunięcia ideologiczne na świecie. Jeśli mało kogo interesuje społeczne uzgadnianie warunków prawdziwości sądów na temat rzeczywistości i wystrzega się stosowania jakichkolwiek sprawdzalnych reguł ich uzasadniania, to przede wszystkim dlatego, że internet daje mu szansę momentalnej ekspresji, bez namysłu, bez rozsądku, bez potrzeby sprawdzania cokolwiek. Chodzi jedynie o zaspokojenie popędu opinii. Jeśli świat potwierdza moje opinie, to znaczy, że mam rację. Szkopuł jedynie w tym, że mam rację tylko dlatego, że odrzucam to, co moim opiniom przeczy. Ideologiczny podział świata jest tylko odbiciem rozproszenia w sieci i promuje narcyzm jako antidotum na bólączki świata.

■ Nie głosujcie na partię, czy to konserwatywną, czy to lewicową, czy liberalną, która wyciera sobie gębę wartościami, bo do niczego dobrego to nie prowadzi. To samo mówię politykom, czy to z lewa, czy z prawa, czy ze środka. Zostawcie wartości w spokoju, zajmijcie się usprawnianiem społeczeństwa.

■ Internet, który z użytecznego narzędzia zdobywania wiedzy zmienił się w dostarczyciela momentalnej rokoszy, odpowiedzialny jest za najpoważniejsze przesunięcia ideologiczne na świecie.

Pisze Pan, że spór sensu i wartości, który napędza dzisiejszą debatę polityczną, jest równie stary jak sama nowoczesność. Co się zatem stało w ostatnich latach, że znaleźliśmy się na krawędzi katastrofy?

Społeczne napięcia, o których pan mówi, nie zrodziły się ani wczoraj, ani przedwczoraj. Pojawiły się, gdy do głosu doszła ideologia poróżnienia, którą, jako pierwszy, trafnie zdiagnozował ponad 200 lat temu Hegel. W słynnej dyalektyce Pana i Niewolnika pokazał, jak Ja (Pan) i Nie-Ja (Niewolnik) walczą o wzajemne uznanie i potrzebują siebie nawzajem do istnienia w swoich rolach, w swoich tożsamościach. Kluczem jest tu kategoria tożsamości: komu zależy na tym, by być sobą, ten będzie się za wszelką cenę

odróżniał od kogoś innego, a zarazem go dramatycznie potrzebował. Jednak nie dlatego, by coś razem zrobić, ale by go zanegować. Przed Heglem „ja” to było „ja” samo w sobie, pełne, niepodzielne indywiduum i koniec. Nie potrzebowało nikogo (może poza Bogiem) do samookreślenia i nadal takie rozumienie indywiduum uznawane jest za największe odkrycie rodzaju ludzkiego. Podobnie z drugą kluczową kategorią mojej książki, podmiotem zbiorowym, który również – jako klasa, rasa, związek, rodzina, naród – szuka swojej tożsamości, odróżniając się i zarazem uzależniając od innego zbiorowego podmiotu.

Nasze współczesne frustracje wynikają stąd, że dotychczasowy system polityczny opiera się na tej morderczej walce indywiduum z innym indywiduum, jednego zbiorowego podmiotu z innym, na jednej wielkiej negacji tego, co odmienne. Oto przyczyna całego zamieszania: potężna wola odróżniania się za wszelką cenę. Kiedy indywiduum odkryło, że inni mu zagrażają w istnieniu, wpadło w panikę i zaczęło stawiać przed sobą zasięki. Nowoczesność to tylko ostatni okres tej wrogości, okres, w którym filozofia znalazła język, by nazwać to odwieczne pragnienie człowieka do zamknięcia się we własnym domu.

Liberalna demokracja jest w zauważalnym odwrocie. Argumentuje Pan, że ludzie rozpaczliwie poszukują Innego, pod którego mogliby się podpisać, żeby dawał im nadzieję (oraz podmiotowość). Czy to od teraz jedyny możliwy sposób uprawiania polityki?

Liberalna demokracja jest w odwrocie, bo zapowiedziała koniec historii, czyli dojście do takiego punktu w dziejach, w którym unieważniona została dynamika sporu Zachodu ze Wschodem. Ale szybko okazało się, że biedy przybyło, bogactwo rozłożyło się nierównomiernie, inni, dotąd pozamykani szczelnie w swoich zakamarkach, zaczęli tłuc do drzwi uprzywilejowanych. Słowem, przysła iluzja powszechnego dobrobytu i pokoju. Ten Inny, o którym mówię, to figura fantazmatycznego zbawiciela, biorącego na siebie ciężar niedoli i uzdrawiania wszystkich bólączek. Robi to za pomocą obietnic, o których wiedzą wszyscy, że są bez pokrycia, ale są, dla obu stron, jedynym ratunkiem w zmierzającym świecie.

Inny idzie na wojnę ze smokiem, którym są albo elity, albo złodzieje, albo zdrajcy. I mówi swoim wyznawcom: „Nie bójcie się, ja to wszystko za was załatwię, tylko mi dajcie papiery na przywództwo”. I nikogo nie frapuje to, że ów Inny ma innych za nic, bo traktuje ich tylko jako mięso wyborcze. „Tak – powiadają jego poddani – zrób z nas mięso, chcemy być twoim mięsem, bo inni nawet tego w nas nie widzą”. Dawanie nadziei wbrew rozumowi to złoty środek, którym posługuje się każdy populizm, czy to ekonomiczny, czy to polityczny, czy religijny.

Na czym polega logika populizmu?

Opiera się na baśni i dlatego jest tak groźna, bo niewywrotna. Nie uznaje żadnej argumentacji, żadnego podejrzenia poza podejrzeniem o światowy spisek, żadnej autorefleksji, żadnego wspólnego dochodzenia do prawdy. Trzeba ją przyjąć w całości i ulokować się wyłącznie po jednej stronie, odrzucając możliwość zmiany światopoglądu.

Czego więc potrzebujemy w zamian?

Poza budowaniem dobrobytu i laicyzacją społeczeństwa (gdzie większy dochód na głowę i mniej Kościoła, tam trudniej o Trumpa i Kaczyńskiego), trzeba radykalnej zmiany języka.

To kluczowy postulat Pana książki – o jaką zmianę tu chodzi?

Mamy taką rzeczywistość, jakiego języka używamy do jej opisu. Ale tu właśnie zaczyna się kłopot, bo spłaszczenie rzeczywistości idzie ręką w rękę ze spłaszczeniem języka, który staje się głupi. Brakuje mu niuansów. I nie ma znaczenia, czy to liberałowie, czy konserwa, lewica czy prawica. Jesteśmy świadkami globalnego tryumfu głupoty, czyli nieumiejętności porozumienia się z kimś, kto używa innego języka. Głupota to zamknięcie się na inną rzeczywistość, to absolutne panowanie opinii. Tuż przed śmiercią Philip Roth tak pisał w mailu do redakcji „New Yorkera”: „Jako obywatel widziałem masę niepokojących rzeczy pod rządami Nixona i Busha. Jednak cokolwiek nie traktowałbym jako ograniczenia ich charakteru czy intelektu, żaden z nich nie był tak po ludzku ułomny jak Trump: pozbawiony wiedzy o rządzie, historii, nauce, filozofii, sztuce, niezdolny do wyrażenia lub rozpoznania subtelności czy niuansu, odarty z wszelkiej przyzwoitości,

MICHAŁ PAWEŁ MARKOWSKI

(ur. 1962) jest wykładowcą akademickim, krytykiem literackim, eseistą, tłumaczem i publicystą. Profesor wizytujący na Uniwersytecie Jagiellońskim, kierownik Katedry Międzynarodowych Studiów Polonistycznych UJ, Stefan and Lucy Hejna Family Chair in Polish Language and Literature na University of Illinois w Chicago. Dyrektor artystyczny Festiwalu Conrada. Stały współpracownik „Tygodnika Powszechnego”. Opublikował m.in. „Słońce, możliwość, radość” (2010), „Powszechną rozwiązłość: Schulz, egzystencja, literatura” (2012) oraz „Politykę wrażliwości. Wprowadzenie do humanistyki” (2013). Współwydawca dwóch serii wydawniczych: Hermeneia oraz Horyzonty nowoczesności, członek redakcji „Tekstów Drugich” oraz „The Slavic Review”. Laureat wielu nagród, m.in. Nagrody im. Kazimierza Wyki za całość dorobku eseistycznego i krytycznoliterackiego.

ze słownikiem składającym się z 77 słów, który trafniej nazwać można kretynskim niż angielskim”. Człowiek jest głupi nie dlatego, że nie ma wykształcenia, ale dlatego, że uważa, że wykształcenie nie jest do niczego potrzebne, a nawet szkodliwe dla życia.

A co z postmodernizmem? Nie ma już miejsca na rozkosze lekturowe spod znaku Barthes'a?

Ach, postmodernizm! To jak z socjalizmem: kto nie był za młodu postmodernistą, ten na starość będzie świnią. No może nie aż tak, ale coś w tym jest. Przypomnę tylko, że w Polsce postmodernizm miał inne znaczenie niż gdziekolwiek, bo wedle klasycznej formuły Fredrica Jamesona był on późną fazą rozwoju społec-

zeństwa kapitalistycznego, my zaś się go czepialiśmy pod koniec komuny i na początku reform neoliberalnych. Cóż, odnajdywaliśmy inne rozkosze niż Mazowiecki, Balcerowicz i Syryjczyk po 1989 roku. Ważne dla nas były jednostkowe interwencje w retorykę społecznych zobowiązań, polityczne zaangażowanie wydawało się kontynuacją narodowej tradycji, której mieliśmy nieco dosyć. Pasjonowały nas nowe koncepty, nowe języki. Znałe rzeczy: dziecięca choroba wolności. Wtedy wydawało się to konieczne, by użyć frazy Houellebecqa. Dziś widzę to oczywiście inaczej, krytycznie, ale bez tego indywidualistycznego „dzieciństwa” żadna nowa wspólnota (a taką byliśmy po upadku komuny) nie może się obejść.

To na koniec zapytam o nadzieję – możemy ją jeszcze mieć?

Nic się już nigdy nie sklei, słowa o jedności narodowej to puste frazesy. Rozrwane tkanki nigdy się już nie zbliznią. W tym sensie nadziei nie ma. Ale w książce wyrażam marzenie o wyjściu poza dialektykę Pana i Niewolnika, poza zapasy PiS-u i Koalicji, kopanie Demokratów i Republikanów. Najbliższa politycznie jest mi droga trzecia. Ani liberałowie, ani konserwatyści, lecz lewica, tylko że takiej lewicy, jaką bym chciał widzieć u władzy w Polsce – nie gładzącej o wartościach, jak choćby Wiosna – nie widzę, choć wyglądam jej jak kania dżdzu. Marzy mi się polska Elizabeth Warren, która odeszłaby od jałowego sporu w obrębie kapitalistycznego paradygmatu i przekonała niegłosujących, że polityka jest ich życiem codziennym, a do tego domaga się naprawy. Jeśli Warren nie dostanie nominacji z ramienia Demokratów, będzie to oznaczało, że Ameryka jest jeszcze głupsza, niż sądzimy. A że to tylko potwierdzi pesymistyczne nastrojenie mojej książki? Jak mówił Hegel, tym gorzej dla rzeczywistości.

©® Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

Spotkanie z **MICHAŁEM PAWEŁEM MARKOWSKIM**, którego tematem będą wojny nowoczesnych plemion i przyczyny dzisiejszego kryzysu ustroju demokratycznego, odbędzie się we wtorek 22 października, a poprowadzi je Ryszard Kosiński.

Dmitrij Bykow rozmraża Rosję

GRZEGORZ PRZEBINDA

Zdaniem Bykowa poszukiwanie logiki terroru prowadzi nieuchronnie do uznania jego racji, co też niestety wielu w dzisiejszej Rosji czyni.



11

marca 2014 r. w korespondencji mailowej od Dmitrija Bykowa – któremu pół godziny wcześniej dzwoniłem za świeżo wysłuchane w radiu Echo Moskwy wystąpienie przeciw aneksji Krymu – natknąłem się na ciągle aktualne pytanie: „Czy w Rosji będzie rewolucja, jak sądzisz?”.

Nic rzeczowego na to odpowiedzieć nie mogłem, tak samo zresztą jak Bykow, roztropnie wzbraniający się przed roztrząsaniem szczegółów: „Czym się to wszystko skończy, doprawdy nie wiem. Widzę tylko kierunki, żadnych konkretności”. Gdy w odpowiedzi napomknąłem, że Putin natchniony „krymską wiosną” realizował będzie jakiś kurs na restaurację ZSRR, Bykow zaoponował: „O nie! To nie kurs na Sowiety, całość wygląda dużo gorzej. To kurs na panslawizm, Konstantynopol, prawosławny mesjanizm w duchu rosyjskich przedsowieckich kompleksów. Rosyjskość będzie gorsza od sowieckości”.

Śnieżna rewolucja

Znamienne, że parę lat wcześniej Bykow gorąco wierzył w nadejście nowej, nieimperialnej Rosji. Gdy przez Moskwę – od grudnia 2011 do lipca 2013 r. – przetaczała się fala antyputinowskich demonstracji, nazywana „śnieżną rewolucją”, pisarz od początku występował z obywatelskim żarem na słynnym placu Błotnym i na prospieckie Sacharowa. Szczególnie zapadła w pamięć jego mowa z 10 grudnia 2011 r. na Błotnym: „Dziś wielu pyta, czym się to wszystko skończy? Nie skończy się! (...) Liczni niegodziwcy, bojący się utracenia swej stabilizacji, mówią, że plac Błotny chce rewolucji. Nic podobnego. Nam jest potrzebna jedynie pokojowa, szczęśliwa i wolna Rosja”.

Ówczesne demonstracje były najpierw wyrazem sprzeciwu po sfalszowaniu wyborów do VI Dumy Państwowej, a od marca 2012 r. manifestanci protestowali już przeciwko wyborowi na trzecią kadencję Władimira Putina. Notabene z 30 mln głosów, jakie w grudniu 2011 r. dostała oficjalnie putinowska Jedinaja Rossija, aż połowa została jej do urn dosypana. I wkrótce ta oszukańcza VI Duma – z ksywą „szalejącej maszyny do głosowania” – pouchwalała błyskawicznie restrykcyjne ustawy, które do dziś służą autorytarnej władzy jako oręż pacyfikacji wolnej części społeczeństwa.

■ DMITRIJ BYKOW:

Wieczna zmarzlina zajmuje 25 procent terytorium całej kuli ziemskiej i 65 procent obszaru Rosji. Absolutny rekord głębokości zalegania zmarzliny odkryto w 1982 r. u źródeł wschodniosyberyjskiej rzeki Wiluj. Ziemia przemarzła tam do 1370 metrów. Ktoś nieorientowany mógłby powiedzieć, że to oszczerstwo i rusofobia.

Zapisałem to na gorąco 4 sierpnia 2019 r. jeszcze w Moskwie, dzień po ulicznych demonstracjach młodzieży, tym razem przeciwko fałszerstwom w wyborach lokalnych. Odważnych studentów tłukli zaciekle pałkami pod pomnikiem Puszkina ludzie z Rossghwardii, schowani za czarnymi maskami. Bykow przebywał akurat z literackimi wykładami w Odesie, nie było więc szansy spytać go, co przyniesie w sensie globalnym ten opór szlachetnej młodzieży. Pamiętam jednak, że w grudniu 2011 r., podczas pamiętnego wieczoru na placu Błotnym, w jakiś szczególnie ciepły sposób zwracał się właśnie do młodych: „Chciałbym tu podziękować wielu moim uczniom, dawnym i obecnym, są od nas młodszy, ale dziś dają nam – tym starszym, co już przywykli – piękny przykład. Próbowali ich tu nie wpuścić. Ale oni zdają tutaj swój własny egzamin”.

Dodajmy, że pisarz jest także do dziś nauczycielem literatury w dwóch moskiewskich szkołach średnich.

Jesień patriarchy

Wyjeżdżając z Moskwy 9 sierpnia, pamiętałem oczywiście, że równo 20 lat wcześniej prezydent Jelcyn powołał na stanowisko p.o. premiera nikomu wówczas

nieznanego Putina. A już 10 sierpnia, tradycyjnie w sobotę, znowu odbyła się w Moskwie na placu Sacharowa potężna demonstracja: tym razem ponad 50 tysięcy młodych protestantów w wieku od 20 do 40 lat. Największe takie zgromadzenie od grudnia 2011 r.

Bykow po paru dniach opublikował w tygodniku „Sobiesiednik” esej pt. „20 lat Putina – 20 lat na biegu wstecznym”. Pisał w nim tak: „Jeszcze nie czas na podsumowanie putinowskich rządów. Gdy Putin będzie usunięty albo w wyniku rewolucji, albo w rezultacie wojny, którą sam rozpęta, dopiero wtedy będziemy mieli więcej potrzebnych danych. Pokojowych scenariuszy Putin, czy też jego złożone z siłowników otoczenie, praktycznie nie przewiduje, chociaż Bóg jeden wie, co w Rosji może się jeszcze wydarzyć. I dopiero wtedy – a podejrzewam, że będzie to znacznie wcześniej niż w 2024 [koniec czwartej kadencji Putina] – można będzie postawić kropkę nad P. Już jednak dziś są jasno widoczne zarówno te bezwzględnie złe, jak i te niezaprzeczalnie dobre rezultaty putinowskich rządów”.

Do tych ostatnich zalicza Bykow oczywiście opór – to jest powstanie utalentowanego, aktywnego pokolenia młodzieży, z jego „nawykami sprzeciwu” i „gotowości do walki o wolność”, a nie „chęci czerpania tej wolności z oślizłych łapek naczałstwa”. Cieszy go zarazem, że w minionym fatalnym dwudziestolecu zdążył pokazać swe odstręczające oblicze także rosyjski szowinizm. Dokonało się – jak pisze – „ostateczne zrzucenie masek, demaskacja rosyjskiej idei”, „widoczne jak na dłoni uformowanie się rosyjskiego faszyzmu, jego represyjny program, ideologia, strategia międzynarodowa”.

Takie podsumowanie sytuacji w Rosji to w gruncie rzeczy powrót Bykowa do pesymistycznej wizji, jaką przedstawił wiosną 2014 r. we wspomnianym mailu. Z dzisiejszą konkluzją: „Bezwzględnie złe jest to, że kraj poświęcił 20 lat nie na systematyczny rozwój, lecz na odwrót, i że zamiast restauracji złego ZSRR, dokonał się powrót w wielu sferach do przedsowieckiego monarchizmu i przedsowieckiej państwowej religijności. Bezwzględnie złe są masowe (tak, masowe!) represje, łamanie Konstytucji, likwidacja niezależnych sądów. Nadto moralna degeneracja, głębokie zepsucie, niewyobraźalny wręcz stopień państwo-



MIHAIL MOKRUSHIN / EAST NEWS

Dmitrij Bykow podczas demonstracji przeciwko fałszowaniu wyborów na placu Błotnym w Moskwie, grudzień 2011 r.

wego łgarstwa, cynizmu i złodziejstwa. Wszystko to jest projekcją osobowości Putina, odzwierciedleniem jego cech. To nieuchronne przy rządach autorytarnych, tak samo jak kolektywna paranoja za Stalina czy senny kolektywny marazm za Breżniewa". Swoją rolę odgrywa tu oczywiście państwowa telewizja, określana przez Bykova mianem „goebbelsowskiej”, nie ze względu na ideologię, lecz chwytły i metody.

Bez wiary i rozumu

Dodajmy do tego postawę lwiej części upaństwowionej Cerkwi, która przeważnie milczy, ale niekiedy również toleruje haniebne publiczne wystąpienia swych najgorszych przedstawicieli.

Sam Dmitrij Bykow wychowywał się jeszcze w latach 80. na najpiękniejszej rosyjskiej tradycji, związanej z osobą wielkiego religioznawcy i ekumenisty o. Aleksandra Mienia, zamordowanego okrutnie w Moskwie w 1990 r. Jako młody poszukujący uczestniczył w la-

DMITRIJ BYKOW (ur. 1967) jest rosyjskim pisarzem, poetą, krytykiem literackim i publicystą. Po polsku ukazały się jego „ŻD” oraz „Uniewinnienie”. Choć nie jest politykiem, wymienia się go w szeregu liderów ponadpartyjnej antyputinowskiej opozycji. Dzięki obywatelskiej postawie oraz celnym satyrycznym komentarzom na aktualne tematy stał się głosem rosyjskiego protestu. W swoich książkach umiejętnie łączy elementy kryminału, antyutopii, a nawet thrillera z refleksją nad historią i teraźniejszością Rosji.

tach 80. w jego wykładach dla inteligencji, a dziś mówi w kontekście ojca Aleksandra tak: „Ślusznie powtarzamy, iż bez Chrystusowego zmartwychwstania nasza wiara jest pusta. Jak bowiem powiedział o. Mień: »Kariera ziemskiego Jezusa zakończyła się krachem«. Jednakże wiara w zmartwychwstanie nie zadziałałaby

sama z siebie, gdybyśmy nie odczuwali ponadczasowej moralności jego nauki”.

Tymczasem rosyjskiemu prawosławiu, także i temu obecnemu, zarzuca pisarz utożsamienie sfery świeckiej z boską. Nieprzypadkowo prawosławni ideolodzy tak ochoczo odwołują się dziś do Dostojewskiego i do jego wiary w „dobroczynne scalenie państwa i prawosławia”. Temu cesaropapizmowi Bykow przeciwstawia idee Dymitra Mereżkowskiego z jego trylogii „Chrystus i Antychryst”. Chrześcijaństwo jawi się tu najpierw jako wiara prześladowana, potem jako religia triumfująca i wreszcie jako opresyjny państwowy system religijny. W tym samym zresztą kontekście widzi Bykow wynaturzenia katolicyzmu, zobrazowane genialnie w „Czarodziejskiej górze” przez Manna w postaci demonicznego Naphty.

Pisarz wytrwale poszukuje wspólnego pola łączącego wiarę i rozum, religię, kulturę i cywilizację. Ostatnio w audycji literackiej „Odin”, prowadzonej co tydzień o północy na falach opozycyjnego radia →

→ Echo Moskwy, sformułował oryginalną myśl, iż odnajdywanie nieusuwalnych konfliktów między kulturą a cywilizacją prowadzić może do archaicznego fałszyzmu.

Usprawiedliwienie ortografii

Bykow to nie tylko poeta, prozaik, dziennikarz, krytyk literacki, scenarzysta, a ostatnio i autor przekładu Molierowskiego „Mizantropa”, ale także znakomity wykładowca. Po raz pierwszy pojawił się na UJ w maju 2004 r., w grupie starszych od siebie pisarzy, pośród których byli dziś już nieżyjący dwaj giganci: Asar Eppel i Andriej Bitow. Działo się to w czasach wczesnoputiniowskich; pisarze z najbliższego Wschodu zostali zaproszeni do Warszawy na Targi Książki, gdzie Rosja występowała jako gość honorowy. Bykow był już wtedy znany jako obdarowany talentem poeta i autor dwóch oryginalnych powieści: „Usprawiedliwienie” (1998) i „Ortografia” (2003). Od razu też można było dostrzec, jak szeroko i dogłębnie zna on nie tylko literaturę ojczystą od Puszkina i Gogola aż po współczesność, ale także tę amerykańską, zachodnio-europejską, polską. Jak dobrze rozumie kino rosyjskie i światowe, Wajdy, Kieślowskiego, Zanussiego nie wyłączając.

Rolę prozy w XXI w. od samego początku pojmował Bykow w duchu wielkich zadań i tematów rosyjskiej „powieści idei” drugiej połowy XIX stulecia. Ma ona, bagatela, wykreować „prawdę o człowieku”. Jednak sam realizm, bez elementów fantastyki i groteski, dziś się nie obroni: „Możliwe, że już rzeczywistość XX w. była tak surrealistyczna, iż nie dało się przedstawić tej prawdy z pomocą naskórkowych, prostych środków. Bez baśni człowiek się tu nie obejdzie”.

To artystyczna teoria z 2016 r., jednakże Bykow jako prozaik urzeczywistnił ją już w pierwszej powieści „Usprawiedliwienie”. Rzec dzieje się w ZSRR w mrocznym roku 1938, gdy NKWD zdążyło zgromadzić materiał pozwalający uwięzić całą ludność kraju. W powieści niektóre ofiary Wielkiego Terroru – te, które nie dały się złamać na przesłuchaniach – nie zostały rozstrzelane, lecz zesłane do specjalnych obozów. Tam w głodzie i chłódzie władza wykuwała z nich gigantów, mających wygrać nadchodzącą wojnę i odbudować kraj ze zniszczeń.

„Usprawiedliwienie” ma ważną tezę ideową, ukrytą za pomyslową fabułą.

DMITRIJ BYKOW:

Możliwe, że już
rzeczywistość XX w.
była tak surrealistyczna,
że nie dało się przedstawić
tej prawdy z pomocą
naskórkowych, prostych
środków. Bez baśni
człowiek się tu nie obejdzie.

Pewne światło rzucają na nią odautorskie komentarze. W czerwcu 2016 r. w wywiadzie z samym sobą pt. „O cudownych skutkach awarii samochodu ziguli” Bykow mówi, że wdzięczny jest „Usprawiedliwieniu” za to, iż pozwoliło mu przezwyciężyć groźne przesady i manowce ideowe. Tu czegoś nie dopowiedział, lecz już wcześniej, w maju 2014 r., tak mówił w Krośnie na Podkarpaciu przy okazji swego wykładu o Okudźawie: „»Usprawiedliwienie« było dla mnie walką z własnym kompleksem imperialnym. Imperium umiało oddziaływać na mnie jakimś swoim czarem, teraz już jednak zupełnie to nie działa. I napisałem »Usprawiedliwienie«, żeby walczyć z imperialnymi ideami”.

A kropka nad i została postawiona dopiero ostatnio, w jego niedawnej księdze „100 wykładów o literaturze rosyjskiej XX wieku” (2019), w końcowym eseju poświęconym właśnie „Usprawiedliwieniu”: „Rzeczywiście, bardzo lubiłem ten projekt, ten obraz ogromnego kraju. Ulegałem pokusie jego usprawiedliwiania tym, iż wykuli się w nim jako rekompensata wielcy ludzie”. Objasniając genezę pierwszej powieści, Bykow polemizuje *ex post* ze świętokradczą wobec pamięci ofiar opinią Aleksandra Kożewnikowa – francuskiego heglisty z rosyjskich emigrantów – iż Stalin podjął jakoby represje, „aby zmienić rosyjską psychologię i zbudować superpaństwo złożone z nadludzi, a nie dlatego, iżby kogoś paranooidalnie podejrzewał”.

Jednakże zdaniem Bykowa wszelkie poszukiwania logiki terroru prowadzą nieuchronnie do uznania jego racji, co też wielu niestety w dzisiejszej Rosji czyni.

Dlatego kluczowy epizod jego powieści wygląda w autointerpretacji pisarza następująco: „Bohater Rogow widzi przed sobą, wydaje mu się, utopię – łagier czystych ludzi w siole o nazwie Czyste, widzi tam przepiękną letnią polanę, biegnie po tej polanie i zwała się w straszne, śmierdzące grzęzawisko”. Ten obraz stanowił przestrożę również dla samego pisarza. Dlatego tytuł „Usprawiedliwienie” – a nie „Uniewinnienie”, jak w polskim przekładzie – winien być rozumiany dwojako. Po pierwsze w cudzysłowie, czyli ironicznie, jako polemika ze stalinistami w Rosji (także współczesnymi), poszukującymi patriotycznej logiki w masowych zbrodniach. Po drugie zaś, wprost – jako samo-usprawiedliwienie twórcy za odrzucony już podziw dla „sowieckiego projektu”.

Pośród dziesięciu powieści Bykowa największą sławą cieszyła się „Ortografia” (2003). Znowu mamy tu do czynienia z historycznym realizmem przepuszczonym pomyslowo przez soczewkę groteski. Oto w realnej sowieckiej Rosji bolszewicy przeprowadzają w latach 1917–18 reformę starej ortografii, usuwając z alfabetu – obowiązującego jeszcze od cara Piotra I – kilka starych znaków z kultową dla tradycjonalistów literą *jat* (ѣ). Pisarz Priszwin notuje gorzko w dzienniku: „Tak, trzy lekkie literki usunęły, dali za to trzy twarde – paskudne Ge-Pe-U”. Tymczasem powieściowa władza bolszewicka nie tylko usuwa owe stare znaki, ale w ogóle likwiduje wszelkie zasady ortograficzne. Chłop i robotnik mogą wreszcie pisać tak, jak słyszą: „Likwidacja ortografii oraz interpunkcji przyjmowana była nie tylko przez naród, ale i przez radykalną część inteligencji jako niszczenie barier, sztucznie stawianych »nizinom społecznym« na szlaku wiodącym ku oświeceniu”. Dzisiaj Bykow mówi, że gdy w 1998 r. przystępował w Petersburgu do pisania „Ortografii”, widać już było w Rosji „oznaki owego powszechnego uproszczenia”.

© GRZEGORZ PRZEBINDA

Spotkanie z **DMITRIJEM BYKOWEM**, którego tematem będzie wpływ języka na sposób uprawiania polityki i rolę literatury w oporze przeciwko autorytarnym formom rządzenia, odbędzie się we wtorek, 22 października, a poprowadzi je Małgorzata Nocuń.

Ktoś musi opowiedzieć naszą historię

ALMUDENA GRANDES:

**Wierzę, że zaangażowanie jest nieodłącznym warunkiem pisania.
Pisanie to patrzeć na świat i opowiadanie tego, co się widzi.
Ten sam świat może zainspirować i stworzyć tysiące różnych opowieści.**

MARTA ELOY CICHOCKA: Dotychczas przetłumaczono na język polski trzy Pani powieści: „Las edades de Lulú” („Lulu”), „Los besos en el pan” („Pocałunki składane na chlebie”) i „Los pacientes del doctor García” („Pacjenci doktora Garcii”). Polscy czytelnicy, którzy czytają tylko w tym języku i nie znają pozostałych książek ani całej Pani twórczości, również felietonowej, mogą sobie zadawać pytanie: jak można tak przeskoczyć od powieści erotycznej do realistycznej powieści obyczajowej, a równolegle do powieści historycznej?

ALMUDENA GRANDES: Najłatwiej byłoby odpowiedzieć, że trzeba przeżyć trzydzieści lat. W takim okresie czasu zmieniają się zarówno poszczególne ludzkie, całe kraje, jak i otaczająca nas rzeczywistość. Ale prawda jest taka, że istnieje głęboka wewnętrzna spójność – aczkolwiek, być może, niełatwa do uchwycenia na pierwszy rzut oka dla niehiszpańskiego czytelnika – pomiędzy „Wiekami Lulu” (bo tak brzmi tytuł mojej debiutanckiej powieści) a „Epizodami niekończącej się wojny”, serią sześciu powieści, w której staram się zawrzeć pierwsze ćwierćwiecze dyktatury Franco widziane z perspektywy jej przeciwników, gdzie „Pacjenci doktora Garcii” zajmują czwarte miejsce.

Na czym ta spójność polega?

Warto pamiętać, iż państwo frankistowskie było tak nierozzerwalnie związane z Kościołem rzymskokatolickim, że posunięto się do tego, by pobbogosławić hiszpańską wojnę domową jako krucjatę prowadzoną w imię Boga. Tymczasem priorytetem dla Hiszpanów mojego pokolenia było to, żeby całkowicie odróż-

nić się od naszych rodziców, a to z kolei sprawiło, że nawet seks zmienił się w akt buntu politycznego. Życiowym mottem mojej generacji było zapewnienie sobie egzystencji pełnej ekscesów, bez późniejszego poczucia winy. W tym sensie również erotyczny związek między Pablem i młodzieńką Lulú skonfigurowany jest jako akt oporu. I zarówno pamięć historyczna, jak i walka z frankizmem czy wartości republikańskie są już w tej książce obecne, podobnie jak we wszystkich tych, które napisałam od tamtej pory.

Rozmawiając z pisarką, nie sposób nie zastanawiać się nad tym, kiedy i w jaki sposób zrodziło się w niej pragnienie zostania pisarką...

Jacy byli Pani ulubieni autorzy czy autorki? Jakie nazwiska lub tytuły wywarły na Panią największy wpływ lub odcisnęły piętno?

Szczerze mówiąc, nie pamiętam siebie z innym powołaniem niż pisarskie. Już jako małe dziecko, takie ośmioletnie czy dziewięcioletnie, chciałam zostać pisarką, ponieważ na całym świecie nie było nic, co kochałabym tak mocno jak czytanie.

W tym sensie „Odyseja”, którą podarował mi mój dziadek Manolo Grandes z okazji pierwszej komunii, jest nadal najważniejszą książką, jaką przeczytałam w życiu. Była to pierwsza rzecz napisana w pierwszej osobie liczby mnogiej, jaka trafiła w moje ręce. Bo gdy jakaś książka bardzo nam się podoba, znaczy to, że opowiada o naszym życiu. I nie ma znaczenia, czy autor pisał ją w XXI wieku, czy w IX wieku p.n.e. Nie ma też znaczenia, że nigdy nie byliśmy w kraju, w którym toczy się akcja, ani że nic nie wiemy o jego rzeczywistości. Książki, które trafiają do naszych serc, zawsze opowiadają

naszą własną historię. Ktoś to musi zrobić. Pierwszy raz przydarzyło mi się coś takiego właśnie podczas czytania tej dziecięcej wersji „Odysei”, gdzie znalazłam nie tylko historię Odyseusza, ale także własną.

To ja byłam z nim na tonącym statku, to ja wbiłam rozżarzony drąg w oko Poli-fema, to ja przywiązałam się do masztu, żeby nie uwiódł mnie śpiew syren. A kiedy bohater powrócił do Itaki, by się zemścić, poczułam, że ja również się mścę za te wszystkie razy, gdy czułam się samotna jak on, za wszystkie niesprawiedliwości, których doświadczyłam, za wszystkie moje strachy i obawy. To było najbardziej intensywne doświadczenie, jakiego kiedykolwiek doznałam w życiu.

Jak ewoluowały Pani gusta literackie i co czyta Pani obecnie?

Czytanie jest nadal moją ulubioną aktywnością, którą wolę od wszelkich innych. Lubię czytać nawet bardziej, niż pisać. Jestem czytelniczką żarłoczną i eklektyczną, choć czytam głównie prozę, często XIX-wieczną, ale również współczesną. Nie mam upodobań ani zbyt wybiórczych, ani fanatycznych. Lubię wielu autorów, którzy różnią się między sobą. Ale w tej akurat chwili nie czytam tylko i wyłącznie dla przyjemności. Znalazłam się w jury Nagrody Tusquets za najlepszą powieść i jestem dopiero w środku drugiej z czterech zakwalifikowanych do finału książek.

Czy wierzy Pani w koncepcję literatury narodowej lub właściwej danemu kontynentowi? Jak zdefiniowałaby Pani cechy ewentualnej literatury europejskiej wobec literatury latynoamerykańskiej?



⇒ Jestem Hiszpanką i piszę po hiszpańsku.

To czyni ze mnie, podobnie jak z wszystkich moich rodaków, autorkę o podwójnej tożsamości, ponieważ z jednej strony podzielam historyczne doświadczenie wspólne dla wielu europejskich autorów, a z drugiej strony piszę w języku wspólnoty liczącej 600 milionów użytkowników. Literatura łączy mnie z pisarzami, którzy mieszkają po drugiej stronie oceanu i którzy z kolei dzielą literaturę z innymi pisarzami

latynoamerykańskimi, mieszkającymi tysiące kilometrów stąd. Język literacki stwarza niezwykle silną i żywą więź. Czuję się zaszczycona, że mogę być częścią literatury hiszpańskojęzycznej. Równocześnie jednak jestem Europejką, mieszkam w Europie, mój styl życia podobny jest do życia innych autorów europejskich. Mam szczęście, że nie muszę wybierać między tymi światami.

Co sądzi Pani o współczesnej literaturze hiszpańskiej?

Współczesna literatura hiszpańska znajduje się aktualnie w interesującym momencie.

W moim kraju relacje między czytelnikami i autorami przyjęły formę idylli, co zdecydowanie ożywia literaturę narodową. W ostatnich latach pojawili się bardzo interesujący autorzy młodego pokolenia, tacy powieściopisarze jak Aroa Moreno czy Cristina Morales, a także poeci.

Czy zna Pani literaturę polską?



PATRICE NORMAND / OPALE / LEEIMAGE / EAST NEWS

■ Czytanie jest nadal moją ulubioną aktywnością, którą wolę od wszelkich innych. Lubię czytać nawet bardziej, niż pisać. Jestem czytelniczką żarłoczną i eklektyczną, czytam głównie prozę, często XIX-wieczną, ale również współczesną.

ALMUDENA GRANDES (ur. 1960) jest hiszpańską pisarką i felietonistką. Absolwentką geografii i historii madryckiego Uniwersytetu Complutense. Zadebiutowała w 1989 r. erotyczną powieścią „Lulu” (oryg. „Las edades de Lulu”), za którą otrzymała nagrodę La Sonrisa Vertical. Autorka wielu powieści, cenionych przez czytelników i krytykę, m.in. historycznej serii „Epizodów niekończącej się wojny”, poświęconej 25 latom frankizmu, pisanej z perspektywy jego przeciwników. Laureatka kilkunastu nagród literackich, m.in. Nagrody Fundacji Joségo Manuela Lary, Nagrody Księgarzy (w Madrycie i Sewilli), Premio Iberoamericano de Novela Elena Poniatowska, Premio Sor Juana Inés de la Cruz, Premio Liber 2018 i Premio Nacional de Narrativa 2018. Prywatnie żona wybitnego poety Luisa Garcíi Montero, mieszka w Madrycie i kibicuje klubowi Atlético.

Niestety, niewiele o niej wiem, zwłaszcza o tej współczesnej. Z jednym wyjątkiem: jestem oddaną czytelniczką Wiśławy Szymborskiej. Zawsze będę dziękować Akademii Szwedzkiej za to, że dała mi możliwość jej poznania.

Jaka jest Pani rutyna pisarska? Czy ma Pani swoje manie i fetysze? A może uważa Pani uprawianie literatury za zwyczajną formę aktywności, którą przy odrobinie szczęścia mógłby wykonywać każdy?

Jestem bardzo zdyscyplinowana i mam dość rygorystyczne zasady pracy. Piszę codziennie, od śniadania do obiadu, przez około pięć, sześć godzin. Traktuję pisanie dość zwyczajnie, jako pracę, bo tak właśnie jest, ale rzeczywiście mam pewne własne nawyki czy też małe manie. Nigdy nie daję nikomu powieści do przeczytania, dopóki nie jest skończona. Nigdy jej nie drukuję ani nie nadaję tytułu, nigdy też nie udostępniam żadnych cytatów, aż do chwili, w której stawiam ostatnią kropkę.

Jak sobie Pani radzi z blokadami pisarskimi, jeśli takie się Pani zdarzają?

Zazwyczaj nie cierpię na blokady pisarskie, bo mam specyficzny system pracy. Zanim napiszę pierwsze słowo nowej książki, szkicuję sobie całą powieść w zeszycie.

Zaczynam pisać dopiero wtedy, gdy mam już kompletną strukturę. Takie blokady zdarzają mi się w tej pierwszej fazie, fazie zeszytu, ale wtedy mnie nie martwią.

Opowiadając o serii „Epizodów niekończącej się wojny”, w jednym z wywiadów powiedziała Pani, że aby napisać taką powieść, należy osiągnąć idealną równowagę między wolnością twórczą a lojalnością wobec prawdy historycznej. Brzmi to jak założenie dość nierealne, ale Pani powieści dowodzą, że jest to możliwe. Skąd Pani wie w trakcie pisania, że udaje się Pani osiągnąć taką równowagę? Ile czasu poświęca Pani na badania historiograficzne? Kiedy musi Pani uzupełnić zebraną dokumentację źródłową własną wyobraźnią i inwencją?

Wiem, że zabrzmiało to dziwnie – ludzie mi nie wierzą, gdy to mówię – ale dla mnie praca dokumentacyjna jest częścią ciągłego procesu powstawania książki. Nigdy nie mówię sobie: „Jutro zabieram się za zbieranie dokumentacji źródłowej”.

Podobnie nigdy nie mówię: „Nie zacznę kolejnej pracy dokumentacyjnej, dopóki nie skończę książki, którą piszę teraz”. Od wielu lat, już przeszło piętnastu, czytam wszystko, co mogę na temat Republiki, wojny domowej i dyktatury Franco, przeplatając lektury *stricte* historiograficzne z bardziej literackimi. A gdy zaczynam pracę nad kolejną powieścią, wiem już, które książki muszę przeczytać ponownie, od deski do deski, zakreślając ich fragmenty i wypełniając marginesy notatkami.

Robię to wszystko w tym samym czasie i staram się mieć swoje źródła stale pod ręką, aby móc pisać swobodnie, ale bez manipulowania prawdą historyczną. Odtwarzam rzeczywiste postaci i łączę je z fikcyjnymi bohaterami, ale nigdy nie zmuszam ich do robienia lub mówienia rzeczy, których by nie powiedziały lub nie zrobiły w sytuacji takiej jak ta wymyślona przeze mnie.



„Sztuka daje głos temu, czemu historia zaprzeczyła, co uciszyła lub prześladowała. Sztuka ratuje prawdę z rąk kłamstw historii” – Carlos Fuentes pisał tak o Cervantesie, ale ten cytat stał się swoistym manifestem nowej powieści historycznej: takiej powieści, która świadomie bierze pod włos oficjalny dyskurs historyczny. Czy zgadza się Pani z Fuentesem?

Całkowicie! W rzeczywistości istotna wartość, jaką może mieć seria „Epizody niekończącej się wojny”, abstrahując od jakości *stricte* literackiej, jaką osiąga lub nie, polega na przywróceniu głosu grupie ludzkiej – opozycji antyfrankistowskiej – która pozostaje praktycznie poza oficjalną historią.

Niektórzy pisarze i poeci uważają, że poglądy polityczne danego artysty nigdy nie powinny wpływać na odbiór jego dzieła. Inni, przeciwnie, walczą o literaturę zaangażowaną. A Pani?

Wierzę, że zaangażowanie jest nieodłącznym warunkiem pisania. Pisanie to patrzeć na świat i opowiadanie tego, co się widzi. Ten sam świat może zainspirować i stworzyć tysiące różnych opowieści, ponieważ każdy człowiek przepuszcza rzeczywistość przez filtr swojej ideologii, swoich koncepcji dobra i zła, tego, co wydaje mu się sprawiedliwe lub niesprawiedliwe. Zawsze tak jest, a obiektywizm jest chimera, ponieważ od nikogo nie można wymagać wyrzeczenia się

■ Szczerze mówiąc, nie pamiętam siebie z innym powołaniem niż pisarskie. Już jako małe dziecko, takie ośmioletnie czy dziewięcioletnie, chciałam zostać pisarką, ponieważ na całym świecie nie było nic, co kochałabym tak mocno jak czytanie.

własnych idei, wszystkich uczuć czy subiektywnych doświadczeń, aby uzyskać rzekomo neutralny wgląd. Neutralne wglądy nie istnieją. W tym sensie literatura niekoniecznie musi mieć związek z polityką, bo to już jest osobisty wybór każdego autora, ale zawsze ma jakiś związek z ideami, z ideologią. Każda książka jest sama w sobie produktem ideologicznym, w prawidłowym znaczeniu tego słowa, czyli zawsze ma związek z zestawem idei, które ukształtowały osobowość jej autora. Autorzy, którzy udają, że nikomu nie przeszkadzają, a w obliczu rzeczywistości nie stają po niczyjej stronie, bynajmniej nie stanowią wyjątku od tej reguły. Ich książki są tak samo ideologiczne jak wszystkie inne. A ja stoję po stronie rzeczywistości. I właśnie to nazywam byciem pisarką zaangażowaną.

Czy nadal uważa się Pani za pisarkę antysystemową, chociaż bez dredów?

Jestem pisarką antysystemową w tym sensie, że bronię takiego odczytania najnowszej historii mojego kraju, które różni się od historii oficjalnej.

A wierzy Pani w moc literatury, która inspiruje społeczeństwo i doprowadza do zmiany obowiązującego systemu?

Owszem, wierzę w moc literatury, która potrafi zmieniać życie czytelników. Ważne książki to takie, które zmieniają nas w innych ludzi. Po ich lekturze nie jesteśmy już tacy jak niegdyś. W tym sensie książka, która zmieni światopogląd wielu czytelników, może stać się śmiertelnym zagrożeniem dla systemu.

Czy nadal kibicuje Pani drużynie klubu Atlético de Madrid?

Oczywiście, że tak! W naszym życiu można zmienić prawie wszystko – partiera, dom, przyjaciół, partię polityczną – ale nie drużynę piłkarską, której się kibicuje!

© Rozmawiała MARTA ELOY CICHOCKA

Spotkanie z **ALMUDENĄ GRANDES**, którego tematem będzie powieść historyczna i jej wpływ na społeczeństwo, nie tylko hiszpańskie, lecz globalne, odbędzie się we czwartek, 24 października, a poprowadzi je Marta Eloy Cichocka.

TYGODNIK POWSZECHNY

Zapraszamy
na „Lekcje
czytania”



„LEKCJE CZYTANIA” NA FESTIWALU CONRADA



Już 21 października rozpoczynamy kolejny cykl „Lekcji czytania” na Festiwalu Conrada.

W tym roku spotkania z uczestnikami ze Szczekocin, Łodzi, Nowego Targu, Szprotawy, Puław, Chojnic, Zakopanego i Krakowa poprowadzą

ANNA CIEPLAK, OLGA DRENDĄ, ALEKSANDRA HUDYMAC, ZOFIA KRÓL I KUBA WOYNAROWSKI.

Dyskusje będą dotyczyć m.in. „Lat” Virginii Woolf, „Szczeliny istnienia” Jolanty Brach-Czajny, „Listów” Bożeny Němcovej i „Rzeczy” Georges’a Pereca.

Rezerwacje: lekjeczytania@tygodnik.com.pl

Pełny program festiwalowych „Lekcji czytania” na www.conradfestival.pl

Chcesz zorganizować u siebie „Lekcję czytania” – napisz: lekjeczytania@tygodnik.com.pl

Więcej o akcji na [f](https://www.facebook.com/tygodnikpowsechny) / LekcjeCzytania



Brodząc w księżycowym pyłe

KRZYSZTOF ŻWIŃSKI

**Dlaczego coś, co było możliwe w erze przed wynalezieniem internetu i telefonii komórkowej, dziś wydaje się nierealne lub zbyt czyste?
Co mówi nam o kondycji współczesnego świata kres powszechnych marzeń o podróży na Księżyc?**

Czternaście dziarskich cheerleaderek w bokserkach wypycha ogromny metalowy pocisk do wyrzutni, po czym salutuje widowni do czapek przypominających studenckie berety. W środku grupa panów w surdutach, melonikach i z laseczkami szykuje się do pozaorbitalnego lotu. Złowrogo uśmiechający się na nieboskłonie Księżyc otrzymuje cios rakietą prosto w oko, po czym ukazuje się fantastyczny obraz formacji skalnych przypominających oszronione drzewa na grzbiecie Karakonoszy, ilustracje do bajek Braci Grimm lub dowolny pangermański landszaft. Tymczasem bohaterów podróży, którzy zdążyli już opuścić raketę i zejść na powierzchnię Księżyca, dopada zniecka gollumowaty stwór pychający pyłem.

Film „Voyage dans la Lune” („Wyprawa na Księżyc”) Georgesa Mélièsa z 1902 r. to tylko jedna z niezliczonych fantazji człowieka o zdobywaniu jedynego naturalnego satelity Ziemi. Dwunastominutowe dzieło różni od wcześniejszych spekulacji Jules’a Verne’a czy Herberta George’a Wellsa czystelne osadzenie akcji w ówczesnym kontekście politycznym. W nakręconym w czasie szczytu kolonialnej gorączki filmie nieprzypadkowo znalazła się scena, w której wystylizowani na nowoczesnych dandysów lunonauci trafiają na dwór władcy Księżyca, gdzie krzątają się „dzikusy” w ptasich maskach z włóczniami. Marzenia o pozaziemskich podróżach od zawsze szły w parze z pragnieniem władzy i dominacji.

Wszyscy chcą lecieć na Księżyc

Osoby pytane o skojarzenia związane z programem Apollo, agencją NASA i łą-



MATERIAŁY PRASOWE

VERONIKA JANATKOVÁ jest czeską reżyserką i producentką filmową. Aktywna głównie na polu filmu dokumentalnego, skupia się na problemach polityczno-społecznych. Zajmowała się tematami handlu materiałami tekstylnymi, dynamiką relacji globalnych Południa i Północy, współczesnymi ruchami feministycznymi w Rwandzie i realiami postsowieckiego Kaukazu. Była współzałożycielką i dyrektorką programową DokuBaku IDFF, pierwszego niezależnego festiwalu filmów dokumentalnych w Baku w Azerbejdżanie.

dowaniami na Księżycu wymieniają zazwyczaj Neila Armstronga, który na zdjęciu Buzza Aldrina mocuje w popielatym puchu proporzec z amerykańską flagą. Wspominają też rywalizację USA i Związku Radzieckiego, która tak skutecznie zmobilizowała prezydenta Kennedy’ego do wysłania człowieka na Księżyc, że cel został osiągnięty w ciągu zaledwie dziesięciu lat od ogłoszenia programu Apollo. Niektórzy przypominają też Sputnik, Jurija Gagarina, psa Łajkę

i inne postaci zaludniające atlasy geograficzne, na których wychowywali się Polacy do początku lat 90. XX w. Starsi opowiadają o dreszczyku emocji towarzyszącym transmisji telewizyjnej z lądowania 20 lipca 1969 r., o nieprzespanej nocy spędzonej w gronie znajomych i rodziny (nie wszyscy posiadali odbiorniki telewizyjne, więc trzeba było się do kogoś wprosić albo kogoś u siebie przyjąć).

Pasjonaci i specjaliści przypominają też Wernhera von Brauna oraz grupę niemieckich konstruktorów odpowiedzialnych za stworzenie rakiety V2, która miała kluczowe znaczenie dla rozwoju amerykańskiego programu kosmicznego. Dobrze zbadana i opisana praca von Brauna na usługach III Rzeszy w zakładach obozu koncentracyjnego Mittelbau-Dora nie pasuje do humanistycznego mitu podróży pozaorbitalnej. A jednak: von Braun – major SS – był jednym ze współzałożycieli NASA i głównym konstruktorem rakiety Saturn V, która zabrała Amerykę na Księżyc. Dennis Piszkiwicz, autor biografii Brauna, pisał o nim tak: „był genialnym inżynierem, wizjonerem i amerykańskim bohaterem narodowym. Ponadto jednak zobaczyłem, że to amoralny oportunist i najprawdopodobniej zbrodniarz, ponieważ wykorzystywał niewolniczą pracę. Być może przymknąłbym oko na jego wady i zaniedbania, ale trudno wybaczyć człowiekowi, który przyczynił się do zrujnowania i pozbawienia życia tylu ludzi. Stał się w moim wyobrażeniu osobą znacznie ciekawszą, ale znacznie mniej godną uznania”.

Podróże kosmiczne przełomu lat 60. i 70. można uznać za szczytowy przejaw Weberowskiej racjonalności instrumentalnej, tej kłopotliwej euroamerykańskiej →

→ koncepcji, zgodnie z którą cel determinuje dobór wszystkich środków. W oczach mocodawców NASA walka z komunizmem usprawiedliwiała każdy błąd i nadużycie. W szczytowym okresie rozwoju program lotów załogowych na Księżyc obciążał 5 proc. łącznego budżetu Stanów Zjednoczonych. Każda minuta spędzona na powierzchni Srebrnego Globu kosztowała amerykańskich podatników milion dolarów. Dwight Eisenhower, generał i weteran II wojny światowej, poprzednik Kennedy'ego na fotelu prezydenckim, nazwał program Apollo „szaleństwem”.

Jaka inna siła i jaka wiara jest w stanie skłonić całe społeczeństwo do zbiorowego wysiłku? By lepiej wyobrazić sobie sytuację, w jakiej znaleźli się Amerykanie i cały świat w drugiej połowie lat 60., wystarczy porównanie mocy przerobowych wszystkich komputerów wykorzystywanych przy misji Apollo 11. Równa się ona mocy obliczeniowej dwóch dzisiejszych telefonów komórkowych. A zatem to duch epoki, a nie rozwój technologiczny sprawił, że ludzie dotarli na Księżyc. „Też różni się skurczyła – stwierdza pisarz fantastycznonaukowy William Gibson na kartach książki Andrew Smitha „Księżycowy pył”, która opowiada o amerykańskich lunonautach. – Może przetrawienie wszystkiego zajmuje nam tyle czasu, że wielkie kultowe narracje, takie jak podbój kosmosu za mojego dzieciństwa, instynktownie wydają się niemożliwe. Coś się zatem zmieniło”. I trudno nie przyznać mu racji.

Warto pamiętać, że w techno-optimistycznej atmosferze lat 60. na Srebrny Glob chciało polecieć również wielu zwykłych śmiertelników. W swoim debiutanckim dokumencie „Bilet na Księżyc” Veronika Janatková, czeska producentka filmowa i reżyserka, opowiada historię linii lotniczych Pan American, która od 1968 r. zbierała zapisy na pierwsze komercyjne loty na Księżyc. Przeszło 93 tysiące osób wpisało się na listę, otrzymując numery i specjalne błoiczki. Pośród niedoszłych uczestników wycieczki znalazł się dziadek autorki filmu. Nie trzeba dodawać, że budżet nieistniejącego już przewoźnika nie wytrzymał takiego obciążenia. Prywatne loty na Księżyc, pozabawione szerokiego wsparcia politycznego i zaplecza militarnego, okazały się niemożliwe. Do dziś sytuacja nie uległa zmianie.

■ By lepiej wyobrazić sobie sytuację, w jakiej znaleźli się Amerykanie i cały świat w drugiej połowie lat 60. XX w., wystarczy porównanie mocy przerobowych wszystkich komputerów wykorzystywanych przy misji Apollo 11. Równa się ona mocy obliczeniowej dwóch dzisiejszych telefonów komórkowych. To duch epoki, a nie rozwój technologiczny sprawił, że ludzie dotarli na Księżyc.

■ W czasach mikroopowieści, mikrowypaw, powrotu do lokalności i nadciągającej katastrofy ekologicznej być może po prostu nie ma popytu na dalszy podbój kosmosu.

Innym efektem „ducha epoki” był męski charakter programu Apollo. Po Srebrnym Globie chodziło łącznie dwunastu mężczyzn. Wszyscy, jak skrupulatnie wylicza Smith, byli jednakami lub starszymi braćmi, słowem – osobowościami typu alfa. Selekcji NASA nie przeszła Trzynastka Mercury, grupa uzdolnionych lotniczek, a także zespół kalkulatorów afroamerykańskiego pochodzenia pod przewodnictwem Katherine Johnson. Nie dostała swojej szansy Geraldyn „Jerrie” M. Cobb, mimo doświadczenia zdobytego na 64 typach samolotów. Zgodnie z obowiązującymi wówczas przesądzeniami kobiety uznawano za niezdolne do ekstremalnego wysiłku.

Specjaliści z NASA byli przekonani, że nie wytrzymają psychicznego obciążenia. Obawiali się również, że wspólne przebywanie w ciasnej kabinie będzie dla mieszanych grup trudne do zniesienia (chodziło przede wszystkim o wyzwania natury fizjologicznej). W książce Smitha wątek prawie całkowitej nieobecności kobiet w programie Apollo został rozwinięty dopiero w epilogu. Jak dotąd eksploatacja Księżyca pozostaje, niestety, przeszczeniem przede wszystkim męskich ambicji i fantazji.

Powrót na Ziemię

Podobieństwa między astronautami, którzy dotarli na Srebrny Glob, stają się





Cape Canaveral przed startem Apollo 11, Floryda 16 lipca 1969 r.

uderzające, gdy czyta się wywiady przeprowadzone przez Smitha. Na temat programu Apollo i sześciu udanych wypraw na Księżyc powstały całe biblioteki, prawdopodobnie nie było jednak książki, która tak jak „Księżycowy pył” przybliżałaby nas do głównych aktorów kosmicznego spektaklu. Do dziś żyje czterech spośród nich. To zatem ostatni moment, by posłuchać ich opowieści. Niebawem na naszej planecie nie będzie nikogo, kto mógłby opowiedzieć o Księżycu, opierając się na własnych doświadczeniach.

W historiach spisanych przez Smitha przewijają się stale opowieści o doświadczeniach wojskowych i militarnych fascynacjach. Ciekawe, że tylko jeden luno-

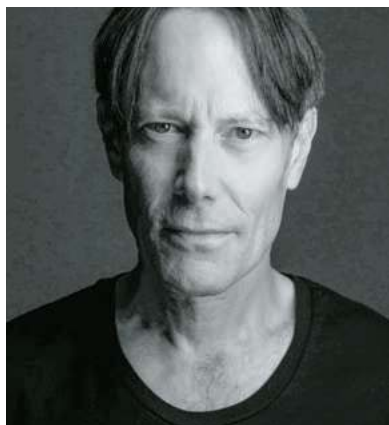
nauta był zawodowym geologiem (Harrison Schmitt, który znalazł się w składzie ostatniej misji Apolla 17 dzięki presji środowisk naukowych). Smith odwiedza sędziwych osiemdziesięciolatków, którzy w różny sposób poradzili sobie z oszalałą sławą. Pyta ich o wspomnienia i prosi, by oddzielili te własne od zbiorowych, które w dużej mierze zostały zderminowane przez oczekiwania odbiorców, podsunęte przez dziennikarzy, pisarzy i łowców autografów. Interesuje go także ich życie po powrocie na Ziemię. Czy szukali kolejnych ekstremalnych doświadczeń, a jeśli tak, to czy którekolwiek z nich można porównać z pobytem w kosmosie?

Pojawiające się tu i ówdzie na kartach książki Smitha porównania losu himalaistów i astronautów nie są przypadkowe. Przeżycia i jednych, i drugich wywołują efekt uzależnienia. O ile jednak miłośnicy gór zawsze mogą wyznaczyć sobie nowy cel, nawet jeśli zdobyli już wszystkie ośmiotysięczniki, o tyle lunonauki zbliżyli się lub wręcz przekroczyli granicę, poza którą nie ma już nic równie ekscytującego. Scenariusze ich życia były różne, przeważnie tragiczne: rozwody, nieudane inwestycje i rozmiękanie sławy. Niektórym jednak, jak np. Gene'owi Cernanowi, udało się wykorzystać popularność i zarobić duże pieniądze. Co ciekawe, wynagrodzenie, które przypadło im w udziale →

→ za lot na Księżyc, było niewielkie. Buzz Aldrin, towarzysz Neila Armstronga z misji Apollo 11, zachował nawet oprawiony w ramkę formularz zwrotu kosztów z tytułu uczestnictwa w misji: 30 dolarów i 31 centów za trasę Przylądek Kennedy'ego – Księżyc – Ocean Spokojny. Nic więc dziwnego, że próbowali się dorobić na różne sposoby. Aldrin kasował 250 dolarów za każdy autograf (500, jeśli na podpisywanej kartce czy gadżecie znajdował się autograf innego astronauty). W tym kontekście zrozumiałą staje się – uznany za skandaliczny przez NASA oraz opinię publiczną – gest Davida Scotta, Alfreda Wordena i Jamesa Irwina, uczestników misji Apollo 15, którzy zabrali w 1972 r. na Księżyc czterysta znaczków pocztowych, po czym sprzedali je kolekcjonerom z wielokrotnym zyskiem.

Osobnym przypadkiem jest historia pierwszego człowieka na Księżycu, którego do końca życia otaczała fama osoby absolutnie niedostępnej i unikającej jak ognia kontaktów z mediami. Także Andrew Smith nie dostał się za szczytu osobistej rozmowy z Neilem Armstrongiem, ograniczając się do żywej i intensywnej wymiany maili, którą szczegółowo opisał w książce. Faktem jest, że dla większości ludzi synonimem programu Apollo jest właśnie Armstrong. To on trafił na karty podręczników historii, choć o jego udziale w misji zdecydował przypadek, gdyż Waltera Shirre, jego najpoważniejszego konkurenta, wyeliminował katar! Jeśli kogoś to dziwi, proszę sobie wyobrazić, co się dzieje z zawartością zakatarzonego nosa w stanie nieważkości.

Grę na zwłokę prowadzoną do końca życia przez Armstronga można porównać do katuszy, jakie przeżywał Bob Dylan, próbując chronić swą prywatność. Tak jak na przełomie lat 60. i 70., w szczytowym okresie popularności Dylana, zdeperowany fan Alan Jules Weberman prowadził szczegółowe analizy zawartości kubła na śmieci, jaki wystawiał piosenkarz przed swój dom w Nowym Jorku, tak wielbiciele Armstronga nie odstępowały go na krok. W 2005 r. fryzjer sprzedał kosmyki włosów astronauty prywatnemu kolekcjonerowi za 3 tysiące dolarów. Po powrocie na Ziemię Armstrong wykladał na uniwersytecie w Cincinnati, a raczej próbował wykladać, gdyż przez niemal dekadę przeszło połowę czasu musiał przeznaczyć na podpisywanie au-



MATERIAŁY PRASOWE

ANDREW SMITH (ur. 1961) jest muzykiem, dziennikarzem i pisarzem. Pierwsze lata życia spędził w USA, a następnie wraz z rodziną przeprowadził się do Wielkiej Brytanii. Absolwent filozofii i politologii na Uniwersytecie w Yorku. Po ukończeniu studiów przeniósł się do Londynu, gdzie pracował w sklepach muzycznych, jako kierowca vana oraz jako muzyk – m.in. brał udział w przesłuchaniach do grupy The Clash. Publikował w „Melody Maker”, „The Face”, „The Guardian”, „The Sunday Times” i „The Observer”. Jego debiutancka książka „Księżycowy pył” ukazała się w 2002 r. i od razu zyskała status bestsellera, otrzymała też nominacje w dwóch kategoriach do Brytyjskiej Nagrody Książkowej przyznawanej przez Stowarzyszenie Księgarzy oraz zdobyła tytuł jednej z najlepszych książek pierwszej dekady XXI wieku w rankingu „The Times”.

tografów dla tłumnie przybywających na uczelnię fanów.

Deficyt wyobraźni

Od pomyślnego wodowania misji Apollo 17 w 1972 r. wielokrotnie pojawiały się zapewnienia, że człowiek powróci na Księżyc. Żadna z deklaracji nie doczekała się realizacji. Obietnice składali Ronald Reagan i obaj prezydenci USA z rodziny Bushów. Z programu lotów załogowych nie zrezygnowała do dzisiaj Rosja i agencja Roskosmos. 3 stycznia 2019 r. chińska sonda Czang-e 4 wylądowała na niewidocznej z Ziemi półkuli Księżyca. Chińczycy zapowiedzieli przy tej okazji dalsze misje, także z udziałem ludzi. O pry-

watnych lotach załogowych na Marsa marzą miliarder i twórca serwisu PayPal Elon Musk (agencja SpaceX) i Holender Bas Lansdorp (firma Mars One). Dlaczego wciąż niewykonalne jest coś, co było wykonalne w czasach przed narodzinami internetu i telefonii komórkowej? Czy wystarczające jest racjonalne uzasadnienie, że ludzie na Księżycu nie są już potrzebni, bo w badaniach jego powierzchni i genezy dużo lepiej sprawdzają się mechaniczne sondy? A może żyjemy w czasach swojego deficytu zbiorowej wyobraźni?

To paradoks, że drugie emblematiczne dla lat 60. XX w. wydarzenie – narodziny kontrkultury i ruchu dzieci kwiatów – wychodziło z całkowicie innych założeń i krytycznie odnosiło się do idei podboju kosmosu. Z jednej strony wyścig zbrojeń i ostatni akord epoki kolonialnej, z drugiej – lato miłości, dekonstrukcja i początki świadomości ekologicznej. Armstrong na Księżycu i studencki karnewał 1968 roku. Smith jest zdania, że nie było do dziś dwóch równie przełomowych i porywających masową wyobraźnię momentów w dziejach ludzkości.

Nie było takich momentów i wiele wskazuje, że szybko ich nie będzie. W czasach mikroopowieści, mikrowypaw, powrotu do lokalności i nadciągającej katastrofy ekologicznej być może po prostu nie ma popytu na dalszy podbój kosmosu. Bez szerokiego politycznego poparcia, porównywalnego do mobilizacji, jaka ogarnęła amerykańskie społeczeństwo pół wieku temu, obecność człowieka poza orbitą okołozemską pozostaje fanaberią niepoprawnych optymistów, kaprysem miliarderów lub elementem imperialnej propagandy rosyjskich czy chińskich przywódców. Czy ziszczenie odwiecznych marzeń o locie na Księżyc było tylko ubocznym skutkiem zimnowojennej gorączki? Sublimacją bezpośredniej konfrontacji militarnej? Wszystko na to wskazuje.

© KRZYSZTOF ŻWIRSKI

Dyskusja z udziałem **VERONIKI JANATKOVEJ** i **ANDREW SMITHA**, której tematem będą marzenia o podróży na Księżyc i ich wpływ na sposób funkcjonowania współczesnych społeczeństw, odbędzie się we środę, 23 października, a poprowadzi ją Grzegorz Jankowicz

JACEK MAJCHROWSKI
PREZYDENT MIASTA KRAKOWA
ZAPRASZA



rzeczywistości

**21–27.10.2019 pałac czeczotka
międzynarodowy festiwal literacki**

www.conradfestival.com

znajdź nas: #conradfestival   

partner strategiczny: 23. międzynarodowe targi książki w krakowie
www.ksiazka.krakow.pl

Organizatorzy:



Partner dla Krakowa:



Wsparcie:





Belle Epoque Residence ****
aparthotel w Krakowie

GOŚCIE CONRAD FESTIVAL 2019 JUŻ WYBRALI NASZE WNĘTRZA



24/7

RECEPCJA



KAMIENICA
XIX/XX w.



SAUNA



PATIO



STARE MIASTO



ŚNIADANIA



MINI FITNESS



OCENA: 5,0

Zarezerwuj na: www.belleepoquekrakow.pl

+48 12 638 02 12, biuro@apartart.pl

ul. H. Siemiradzkiego 2, Kraków



Apartamenty w Polsce ApartArt



[apartamenty_w_polsce](https://www.instagram.com/apartamenty_w_polsce)